

**N!EW!
DZIAŁNE
POTWOR**

**CHUCK
PALAHNIUK**

Chuck Palahniuk

Niewidzialne potwory

Tłumaczył Lech Jęczmyk

Tytuł oryginału Invisible Monsters

Dla Geoffa, który mi powiedział: „Tak się kradnie prochy”.

I dla Iny, która mi powiedziała: „To jest konturówka”.

I dla Janet, która mi powiedziała: „To jest jedwabna żorzeta”.

I dla mojej redaktorki, Patricii, która mi powtarzała: „To trzeba poprawić”.

Rozdział pierwszy

Wyobraź sobie, że jesteś w jakimś wspaniałym pałacyku w West Hills, gdzie ma się odbyć wspaniałe przyjęcie weselne.

Wszędzie kwiaty i półmiski z faszerowanymi pieczarkami. To się nazywa miejsce akcji: miejsce, gdzie występują wszyscy, żywi i nieżywi. To jest wielka chwila Evie Cottrell na jej weselnym przyjęciu. Stoi w połowie wspaniałych schodów w hallu pałacyku, goła wewnątrz tego, co pozostało z jej sukni ślubnej, i nadal trzyma w rękach strzelbę.

Co do mnie, to stoję u podstawy schodów, ale tylko w sensie fizycznym. Gdzie jest mój umysł, nie mam pojęcia.

Nikt nie jest jeszcze do końca nieżywy, ale powiedzmy sobie, że zegar tyka.

Nie, żeby ktoś w tym wielkim dramacie był w pełni żywą osobą. Wszystko w wyglądzie Evie Cottrell da się sprowadzić do jakiejś telewizyjnej reklamy organicznego szamponu, tyle że teraz ze spalonej sukni ślubnej Evie pozostała jedynie drucziana konstrukcja otaczająca jej biodra i małe drucziane szkieleciki jedwabnych kwiatów, które miała wpięte we włosy. I blond włosy Evie, wielka, natapirowana, zaczesana do tyłu tęcza we wszystkich odcieniach blond, usztywniona lakierem, cóż, fryzura Evie też spłonęła.

Jedyną postacią oprócz niej jest Brandy Alexander, która leży postrzelona u podnóża schodów i wykrwawia się na śmierć.

Mówię sobie, że ta czerwona fontanna, tryskająca z otworu w

ciele Brandy, to nie tyle krew, ile jakieś społeczno-polityczne narzędzie. Ja i Brandy Alexander też jesteśmy wyjęte z różnych reklam szamponu. Zastrzelenie kogoś w tym pokoju jest moralnym ekwiwalentem zamordowania samochodu albo odkurzacza, albo lalki Barbie. Skasowania dysku komputerowego. Spalenia książki. Prawdopodobnie dotyczy to zabicia kogokolwiek w tym świecie. Wszyscy jesteśmy takimi produktami.

Brandy Alexander, długonoga, luksusowa superkrólowa, gwiazda życia towarzyskiego z najwyższej półki, wypuszcza swoje płyny przez dziurę w zachwycającym żakiecie. Tę oszałamiającą białą garsonkę od Boba Mackiego z obcisłą długą spódnicą, która nadaje jej tyłkowi idealny kształt wielkiego serca, Brandy kupiła w Seattle. Nie uwierzylibyście, ile ta garsonka kosztowała. Sama marża wynosiła miliony procent. Żakiet ma krótką baskinkę oraz szerokie klapy i ramiona. Jest jednorzędowy, skrojony symetrycznie z wyjątkiem otworu tryskającego krwią.

Nagle Evie, stojąc w połowie schodów, zaczyna łkać. Evie, ten śmiercionośny wirus chwili. To jest sygnał dla nas wszystkich, żebyśmy spojrzeli na biedną Evie, biedną, smutną Evie, pozbawioną włosów i nie mającą na sobie nic prócz popiołu, zamkniętą w drucianej klatce spalonej krynoliny. Potem Evie upuszcza strzelbę. Kryjąc umorusaną twarz w brudnych dłoniach, Evie siada i zaczyna beczeć, jakby płacz mógł tu coś pomóc. Strzelba, to jest nabita strzelba kalibru trzydzieści ileś tam, ze stukotem zjeżdża po stopniach na środek hallu i tu się obraca, celując to we mnie, to w Brandy, to w

płaczącą Evie.

Nie jestem jakimś zobojętniałym królikiem doświadczalnym, przyzwyczajonym do aktów przemocy, ale moim pierwszym odruchem jest sprawdzenie, czy można jeszcze wywabić plamy z krwi wodą sodową.

Przez większość dorosłego życia stałam na bezcieniowym tle za kupę szmalu na godzinę, wystrojona, prosto od fryzjera i jakiś sławny fotograf od mody mówił mi, co mam czuć.

Pokaż mi pożądanie, mała, krzyczał.

Błysk.

Pokaż mi złość.

Błysk.

Pokaż mi obojętne egzystencjalne znużenie.

Błysk.

Pokaż mi drapieżny intelektualizm jako mechanizm obronny.

Błysk.

Może to wstrząs spowodowany widokiem mojego największego wroga, który zabija mojego drugiego największego wroga.

Bach i jest podwójna wygrana. To i przebywanie w towarzystwie Brandy rozwinęło we mnie zamiłowanie do teatru.

To tylko tak wygląda, jakbym płakała, ale wkładam chusteczkę pod woalkę, żeby przez nią oddychać. Żeby filtrować powietrze gęste od dymu, bo wspaniały dom Evie stoi wokół nas w płomieniach.

Kłęcząc obok Brandy, mogę sięgnąć gdziekolwiek do swojej wieczorowej sukni i wyciągnąć pigułki darvonu, demerolu i darvocetu

100. To jest znak dla wszystkich, żeby na mnie patrzyli.

Moja suknia to tania kopia Całunu Turyńskiego, głównie w kolorze białym i brązowym, tak skrojona i udrapowana, żeby błyszczące czerwone guziki przechodziły przez stygmaty. Mam jeszcze na sobie jardy woalu z czarnej organdy, owiniętego wokół głowy i usianego ręcznie szlifowanymi gwiazdkami austriackiego kryształu. Nikt nie wie, jak wygląda moja twarz, bo jest niewidoczna, i o to właśnie chodzi. Ogólne wrażenie to bluźniercza elegancja, która daje mi poczucie świętości i nieśmiertelności.

Ostatni krzyk mody.

Ogień pełźnie w dół po tapecie w hallu. To ja podpaliłam dom dla wzbogacenia scenografii. Efekty specjalne nasilają nastrój, a poza tym, to nie jest prawdziwy dom. To, co się pali, to rekonstrukcja rekonstrukcji, wzorowana na skopiowanej kopii pałacyku w stylu pseudotudoriańskim. Jest o sto pokoleń oddalony od jakiegokolwiek oryginału, ale czyż nie dotyczy to nas wszystkich?

Na chwilę przed tym, nim Evie z krzykiem wybiegła na schody i zastrzeliła Brandy Alexander, wylałam chyba z galon Chanel N° 5, przyłożyłam zapalone zaproszenie na ślub i bum, biodegradacja.

To zabawne, ale kiedy się zastanowić, to nawet najbardziej tragiczny pożar jest tylko długotrwałą reakcją chemiczną. Utlenienie Joanny d'Arc.

Wciąż okręcając się na podłodze, strzelba celuje we mnie, celuje w Brandy.

Inna sprawa, to choćby nie wiadomo jak kogoś się kochało,

człowiek się cofa, kiedy kałuża krwi jest coraz bliżej.

Niezależnie od tych wysoce dramatycznych wydarzeń pogoda jest naprawdę piękna. Jest ciepło, słonecznie i drzwi frontowe są otwarte na taras i trawnik za nim. Ogień na górze wciąga do hallu z zewnątrz zapach świeżo skoszonej trawy i głosy gości weselnych. Wszyscy wzięli sobie prezenty, które im się spodobały, kryształ i srebra, i wyszli na trawnik w oczekiwaniu na strażaków i ratowników.

Brandy otwiera ciężką, upierścienioną dłoń i dotyka otworu, z którego tryska krew, zalewając marmurową podłogę.

- Cholera. Bon Marche za nic nie przyjmie zwrotu tego kostiumu
- mówi Brandy.

Evie podnosi głowę, jej twarz przypomina malowany sadzą, smarkami i łzami bohomaz.

- Nienawidzę tego swojego nudnego życia! - krzyczy. I do Brandy Alexander: - Zarezerwuj dla mnie w piekle stolik przy oknie!

Łzy wypłukują czyste smugi na policzkach Evie.

- Przyjaciółko! - krzyczy. - Powinnaś coś wrzeszczeć do mnie w odpowiedzi!

I jakby tu było za mało dramatu, dramatu, dramatu, Brandy spogląda na mnie, a ja przy niej klęczę. Ciemnofiołkowe oczy Brandy rozszerzają się do granic możliwości.

- Czy Brandy Alexander teraz umrze?

Evie, Brandy i ja współzawodniczymy teraz o miejsce w świetle jupiterów. Każda z nas mówi ja, ja, ja najważniejsza. Morderczyni, ofiara, świadek, każda z nas myśli, że gra główną rolę.

Pewnie to dotyczy każdego na świecie.

Wszystko to jest lustreczko, powiedz przecie... bo uroda daje władzę, tak samo jak pieniądze i strzelba.

W dzisiejszych czasach, kiedy widzę w gazecie zdjęcie dwudziestoparoletniej dziewczyny, którą porwano, zgwałcono, obrabowano i zamordowano, a na pierwszej stronie jest jej młoda, uśmiechnięta twarz, to zamiast myśleć, jaka to wielka i ponura zbrodnia, automatycznie odnotowuję, że byłaby z niej prawdziwa bomba, gdyby nie ta wielka klupa na miejscu nosa. Następną reakcją jest, że powinnam sobie zrobić dobre zdjęcie głowy i ramion, na wypadek, gdybym, no wiecie, została porwana i zgwałcona na śmierć. Moja trzecia reakcja to, cóż, przynajmniej o jedną konkurentkę mniej.

Gdyby tego nie było dość, mój krem nawilżający to zawiesina obojętnych chemicznie materiałów płodowych w utwardzonym oleju mineralnym. Chodzi mi o to, że jeśli mam być szczerą, moje życie dotyczy tylko mnie.

Chodzi mi o to, że kiedy licznik bije i jakiś fotograf wykrzykuje: Pokaż mi empatię.

Potem błysk lampy stroboskopowej.

Pokaż mi sympatię.

Błysk.

Pokaż brutalną szczerłość.

Błysk.

- Nie pozwól mi umrzeć tu na podłodze - mówi Brandy i chwytam mnie swoimi wielkimi dłońmi. - Moje włosy - mówi.

- Przyklepią się z tyłu.

Chodzi mi o to, że Brandy prawdopodobnie za chwilę umrze, ale nie potrafię się tym przejąć.

Evie łka coraz głośniej. Na domiar wszystkiego dalekie głosy syren straży ogniowej koronują mnie na królową Miasta Migren.

Strzelba nadal obraca się na podłodze, ale coraz wolniej.

- Brandy Alexander nie tak chciała zakończyć życie - mówi Brandy. - Najpierw miała zostać sławna. Wiesz, miała być w telewizji w przerwie meczu Super Bowl, naga, pijąc dietetyczną colę w zwolnionym tempie, zanim zginie.

Strzelba przestaje się obracać i nie mierzy w nikogo.

- Zamknij się! - krzyczy Brandy do łkającej Evie.

- Sama się zamknij! - odkrzykuje Evie. Za jej plecami ogień zbliża się, pożerając wyściełający schody dywan.

Słysząc, jak syreny wyją i krążą po całych West Hills. Ludzie gotowi są się pozabijać, żeby zadzwonić pod 911 i zostać bohaterami dnia. Nikt nie jest przygotowany na przyjazd wielkiej ekipy telewizyjnej, która powinna się zjawić lada chwila.

- To twoja ostatnia szansa, kochanie - mówi Brandy, a jej krew zalewa wszystko dookoła. - Kochasz mnie? - pyta.

W chwili, kiedy ktoś zadaje ci takie pytanie, tracisz miejsce w blasku jupitera.

Tym sposobem jesteś spychany do roli najlepszego aktora drugoplanowego.

Ważniejsze od tego, że dom stoi w płomieniach, jest to wielkie

oczekiwanie, że muszę wypowiedzieć trzy najbardziej wyświechtane słowa, występujące w każdym scenariuszu. Te słowa sprawiają, że czuję się, jakbym sama siebie dotykała. A to tylko słowa. Nic nie znaczące. Słownik. Dialog.

- Powiedz mi - nalega Brandy. - Jak to jest? Czy ty mnie naprawdę kochasz?

Brandy przez całe życie grała w ten szmirowaty sposób. Nieustający teatr żywej akcji w wykonaniu Brandy Alexander, tyle że coraz mniej żywej.

Dla efektu dramatycznego biorę Brandy za rękę. To ładny gest, ale zaraz wpadam w panikę z powodu zagrożenia przenoszonymi przez krew patogenami i nagle, bum, zapada się sufit w jadalni, a nas zasypują iskry i popiół wpadające przez drzwi.

- Nawet, jeśli nie możesz mnie kochać, opowiedz mi moje życie - mówi Brandy. - Dziewczyna nie może umrzeć, jeżeli życie nie przemknie jej przed oczami.

Prawie nikt nie doznaje zaspokojenia swoich potrzeb emocjonalnych.

Akurat wtedy ogień pełźnie po dywanie na schodach do gołego tyłka Evie, która zrywa się z krzykiem i zbiega w swoich osmalonych białych szpilkach. Naga i bezwłosa, ubrana w druty i popiół, Evie Cottrell wybiega przez drzwi frontowe do większego audytorium, do swoich gości weselnych, do sreber, kryształów i nadjeżdżających wozów strażackich. Taki jest świat, w którym żyjemy. Warunki się zmieniają, a my podlegamy mutacji.

Tak więc wszystko to będzie o Brandy, ja będę gospodarzem programu, a gościnnie wystąpią Evelyn Cottrell i śmiertelny wirus aids. Brandy, Brandy, Brandy. Biedna, smutna Brandy leży na plecach i dotyka otworu, którym życie wypływa z niej na marmurową podłogę.

- Proszę - mówi. - Opowiedz mi moje życie. Powiedz mi, jak się tu znalazłyśmy.

Tak więc jestem tu i łykam dym, żeby udokumentować tę chwilę z życia Brandy Alexander.

Pokaż mi uwagę.

Błysk.

Pokaż mi podziw.

Błysk.

Zaczynamy.

Błysk.

Rozdział drugi

Nie oczekuj, że będzie to jedna z tych opowieści, które mówią: a potem, a potem, a potem.

To, co tu się wydarzy, przypomni raczej stylem magazyny mody, takie jak „Vogue” albo „Glamour”, z chaotyczną numeracją na co drugiej, co piątej albo co trzeciej stronie. Z wysypującymi się saszetkami perfum i wyłaniającymi się znikąd nagimi kobietami, które chcą ci sprzedać puder.

Nie szukaj spisu treści, ukrytego gdzieś na dwudziestej stronie.

Nie spodziewaj się, że znajdziesz coś od razu. Nie ma tu żadnej logiki. Artykuły się zaczynają, a po trzech akapitach: Ciąg dalszy na stronie którejś tam.

A potem, cofnij się do strony tej a tej.

To będzie dziesięć tysięcy oddzielnych sztuk garderoby, które się miesza i dobiera tak, żeby uzyskać może z pięć gustownych strojów. Milion modnych dodatków, apaszek i pasków, pantofli, kapeluszy i rękawiczek, i żadnych prawdziwych ubrań, z którymi można by je nosić.

I musisz naprawdę, ale to naprawdę przywyknąć do tego uczucia, tutaj, na autostradzie, w pracy, w małżeństwie. To jest świat, w którym żyjemy. Trzymaj się tekstu na monitorze.

Przeskok o dwadzieścia lat wstecz do białego domku, w którym dorastałam, w którym nasz ojciec kręcił ośmiomilimetrowe filmy, jak mój brat i ja biegamy po ogródku.

Przeskok do chwili obecnej, kiedy moi rodzice siedzą wieczorem na ogrodowych krzesłach i oglądają po dwudziestu latach te same ośmiomilimetrowe filmy na białej ścianie tego samego białego domku. Dom jest ten sam, ogródek ten sam, okna z filmu wpasowują się idealnie w prawdziwe okna, trawa z filmu łączy się z prawdziwą trawą, a mój filmowy brat i ja jako maluchy biegamy przed kamerą jak szaleni.

Przeskok na mojego starszego brata, nieszczęsnego i zmarłego na aids, wielką plagę.

Przeskok na mnie, dorosłą i zakochaną w policyjnym

detektywie, mieszkającą już gdzie indziej i przymierzającą się do roli słynnej supermodelki.

Pamiętaj tylko, że zupełnie tak samo jak we wspaniałym magazynie „Vogue”, niezależnie od tego, z jaką uwagą śledzisz przeskoki:

Ciąg dalszy na stronie którejś tam.

Niezależnie od tego, jak będziesz uważna, odniesiesz wrażenie, że coś przegapiłaś, jakoś podskórnie poczujesz, że coś zostało przeoczone. Poczujesz żal, że umknęły chwile, którym należało poświęcić więcej uwagi.

Cóż, przyzwyczaj się do tego uczucia. Kiedyś tak spojrzysz na całe swoje życie.

To wszystko tylko wprawka. Nie ma większego znaczenia.

Dopiero się rozgrzewamy.

Przeskok do chwili obecnej. Brandy Alexander wykrwawia się na śmierć na podłodze, ja klęczę obok niej i opowiadam tę historię w oczekiwaniu na ratowników.

Przeskok tylko o parę dni wstecz do salonu bogatego domu w Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej. Pomieszczenie jest wyłożone rokokowymi boazeriami z rzeźbionego w zawijasy mahoni na marmurowym cokole, ma marmurową podłogę i wymyślnie rzeźbiony marmurowy kominek. W bogatych domach bogatych starych ludzi wszystko jest takie, jak się wydaje.

Rdzawe lilie w emaliowanych wazonach są prawdziwe, a nie jedwabne. Kremowe zasłony są z jedwabiu, a nie z gładzonej

bawełny. Mahoń to nie jest sosna pociągnięta mahoniową bejcą.

Żyrandole to nie cięte szkło pozujące na kryształ. Skóra to nie jest winyl.

Wszędzie wokół są te zestawy fotel - kanapa - fotel w stylu Ludwika xiv.

Przed sobą mamy kolejną naiwną agentkę od nieruchomości i Brandy wyciąga dłoń: grubokościsty i żylasty przegub, łańcuch górski kostek, suche palce, błysk zielonych i czerwonych owalnych kamieni na pierścieniach, połyskujący róż na porcelanowych paznokciach.

- Czarujące - mówi.

Jeżeli trzeba zacząć od jakiegoś szczegółu, to muszą to być dłonie Brandy. Ozdobione pierścieniami - co sprawia, że wyglądają na jeszcze większe - dłonie Brandy są ogromne. Ozdobione pierścieniami, jakby miały być od tego jeszcze bardziej oczywiste, dłonie są jedyną częścią Brandy Alexander, której chirurgzy nie mogli zmienić.

Dlatego Brandy nawet nie próbuje ukrywać swoich dłoni.

Nie potrafię zliczyć, w ilu takich domach już byliśmy, i pośredniczka od nieruchomości jest zawsze uśmiechnięta. Ta ma na sobie standardowy uniform, granatowy kostium z czerwono-białobłękitną apaszką na szyi. Na nogach granatowe pantofle na obcasie, a granatowa torebka zawieszona w zgięciu łokcia.

Kobieta od nieruchomości przenosi wzrok z wielkiej dłoni Brandy Alexander na signore Alfa Romeo stojącego u jej boku i zostaje zauroczona jego nieodparcie błękitnymi oczami. Te oczy

nigdy się nie zamykają i nie patrzą w bok, w tych oczach kryje się niemowlę albo bukiet kwiatów, coś pięknego albo delikatnego, co sprawia, że w tym pięknym mężczyźnie można się bezpiecznie zakochać.

Alfa jest ostatnim z kolekcji mężczyzn zebranych w trwającej rok wyprawie, mężczyzn oszalałych na punkcie Brandy, a każda inteligentna kobieta wie, że piękny mężczyzna jest najlepszym dodatkiem do stroju. W taki sam sposób, w jaki by się prezentowało nowy model samochodu albo toster, dłoń Brandy przeciąga w powietrzu linię od swojego uśmiechu i wielkich cycków do Alfy.

- Pozwolę sobie przedstawić - mówi Brandy. - Signore Alfa Romeo, profesjonalny męski towarzysz księżnej Brandy Alexander.

Teraz dłoń Brandy prowadzi niewidzialną linię od swoich trzepoczących rzęs i bujnych włosów do mnie.

Jedyne, co pośredniczka od nieruchomości zobaczy, to moje woale, muślin i wycinany aksamit, brąz i czerwień, tiul przetykany srebrną nicią i tyle warstw tego, że w środku mogłoby nikogo nie być. Nie ma we mnie nic do oglądania i dlatego większość ludzi nic nie widzi. Jest to widok, który mówi: Dziękuję za brak zainteresowania.

- Pozwolę sobie przedstawić - mówi Brandy. - Panna Kay Maclsaac, osobista sekretarka księżnej Brandy Alexander.

Kobieta od nieruchomości w swoim granatowym kostiumie z mosiężnymi guzikami od Chanel i z apaszką na szyi, żeby ukryć obwisłą skórę, uśmiecha się do Alfy.

Kiedy nikt na was nie patrzy, możecie wzrokiem przewiercić w

nich dziurę na wylot. Zauważając wszystkie te drobne szczegóły, których nigdy nie miałibyście czasu wypatrzyć, gdyby ten ktoś odwzajemnił spojrzenie. To jest moja zemsta. Przez moje woale pośredniczka, rozmazana po brzegach, promieniuje czerwienią i złotem.

- Panna Maclsaac - mówi Brandy z wielką dłonią nadal zwróconą w moją stronę - panna Maclsaac jest niemową i dlatego się nie odzywa.

Pośredniczka ze szminką na zębach, z pudrem i korektorem, pomarszczonym jak krepa pod oczami, z zębami pretaporter i peruką do prania w pralce, uśmiecha się do Brandy Alexander.

- A ja... - Wielka upierścieniona dłoń Brandy dotyka jej piersi jak dwie torpedy.

- Ja... - Dłoń Brandy zwija się, żeby dotknąć pereł na szyi.

- Ja... - Ogromna dłoń unosi się, żeby dotknąć burzy kasztanowych włosów.

- A ja... - Palce dotykają wydatnych wilgotnych warg.

- Ja - mówi Brandy - jestem księżną Brandy Alexander.

Pośredniczka pada na jedno kolano w czymś pomiędzy dygiem a tym, co robi się przed ołtarzem. Przyklęka.

- To wielki zaszczyt - mówi. - Jestem przekonana, że to jest właściwy dom dla księżnej. Nie sposób nie kochać tego domu.

Brandy, która potrafi być zimną suką, kiwa tylko głową i odwraca się w stronę frontowego hallu, skąd przed chwilą weszliśmy.

- Jej wysokość i panna Maclsaac - mówi Alfa - chciałyby same

obejrzeć dom, podczas gdy pani i ja porozmawiamy o szczegółach. -
Drobne dłonie Alfy trzepoczą, pomagając w wyjaśnieniach.
-...przekaz należności... kurs wymiany lira na kanadyjskie dolary.

- Głuptaki - mówi pośredniczka.

Brandy, ja i Alfa zastygamy. Czyżby ta kobieta nas przejrzała?

Może po miesiącach spędzonych w podróży i tuzinach eleganckich domów, które obrobiliśmy, ktoś wreszcie nas rozszyfrował.

- Głuptaki - powtarza kobieta i jeszcze raz dyga. - Tak nazywamy nasze dolary - mówi i zanurza rękę w swojej granatowej torebce. - Pokażę państwu. Jest na nich rysunek ptaka - mówi.

- To głuptak.

Brandy i ja wracamy do wyniosłości i zaczynamy się oddalać, z powrotem w stronę frontowego hallu. Między zestawami fotel - kanapa - fotel i rzeźbionymi marmurami. Nasze rozmazane, niewyraźne odbicia przesuwają się pod wieloletnim osadem cygarowego dymu po mahoniowej boazerii. Towarzyszą księżnej Brandy Alexander z powrotem do frontowego hallu, a tymczasem głos Alfy zajmuje uwagę pośredniczki w granatowym kostiumie pytaniami o kąt padania porannych promieni słońca w jadalni i czy rząd prowincji zezwoli na budowę prywatnego lądowiska dla helikopterów przy basenie.

W stronę schodów podążają wytworne plecy superkrólowej Brandy, etola ze srebrnych lisów udrapowana na jej ramionach, jardy jedwabnej brokatowej szarfy owinięte wokół burzy kasztanowych

włosów. Głos superkrólowej i woń L'Air du Temps stanowią niewidzialny tren, ciągnący się za wszystkim, co tworzy świat Brandy Alexander.

Burza tych jej kasztanowych włosów w obramowaniu szarfy z brokatowego jedwabiu przypomina mi wielkie ciastko z wiśniowym kremem. To jest jak jakiś poziomkowokasztanowy grzyb atomowy, wznoszący się nad atolem na Pacyfiku.

Stopy księżnej uwięzione są w dwóch pułapkach ze złotej lamy z cienkimi złotymi paseczkami i złotymi łańcuszkami. Te uwięzione złote stopy na rusztowaniu wysokich obcasów pokonują pierwsze z około trzystu stopni, prowadzących z frontowego hallu na piętro. Potem księżna wznosi się na następny stopień i na następny, aż cała jest o tyle wyżej nade mną, że może zaryzykować spojrzenie do tyłu. Dopiero wtedy odwraca poziomkowe ciastko głowy. Te wielkie torpedy jej biustu rysują się na tle ściany, nieziemskie piękno jej profesjonalnych ust jest widoczne en face.

~ Właścicielka tego domu - mówi Brandy - jest bardzo stara, uzupełnia braki hormonów i nadal tu mieszka.

Dywan pod moimi stopami jest tak gruby, jakbym wspinała się po świeżo skopanej ziemi. Krok za krokiem po luźnym, osypującym się i niepewnym gruncie. My, Brandy, Alfa i ja, od tak dawna używamy angielskiego jako drugiego języka, że zapomnieliśmy go jako nasz pierwszy.

Nie mam już języka ojczystego.

Nasze oczy są teraz na poziomie zakurzonych kamieni ciemnego

kandelabru. Po drugiej stronie poręczy szara, marmurowa podłoga hallu wygląda, jakbyśmy wspinały się po schodach w chmurach. Krok za krokiem. Gdzieś w oddali Alfa wymagającym tonem rozprawia o piwnicach na wino i pomieszczeniach dla naszych chartów syberyjskich. Nieustanne żądania Alfy, przykuwające uwagę pośredniczki, są coraz słabiej słyszalne, jak telefony od słuchaczy w programie telewizyjnym, odbite echem z kosmosu.

-...księżna Brandy Alexander - napływają z dołu ciepłe i ciemne słowa Alfy - potrafi zrzucić z siebie ubranie i rzeć jak oszalała kobyła nawet w pełnej gości restauracji...

Wyszukany głos superkrólowej i powiew L'Air du Temps.

- W następnym domu - mówią jej grafitowe wargi - Alfa będzie niemową.

-...pani piersi - mówi Alfa do pośredniczki - ma pani piersi młodej dziewczyny...

Żadne z nas nie ma ojczystego języka.

Przeskok na naszą obecność na piętrze.

Przeskok na to, że wszystko jest teraz możliwe.

Podczas gdy pośredniczka tonie w błękitnych oczach signore Alfa Romeo, przeskakujemy do miejsca, w którym zaczyna się prawdziwa robota. Sypialnia właściciela zawsze jest w głębi korytarza, w kierunku najlepszego widoku z okna. Ta sypialnia jest wyłożona różowymi lustrami, wszystkie ściany, sufit też. Księżna Brandy i ja jesteśmy wszędzie, odbite w każdej powierzchni.

Widać Brandy, jak siedzi na różowym blacie po jednej stronie

toaletki, ja siedzę po drugiej stronie.

Jedna z nas siedzi po każdej stronie wszystkich toaletek we wszystkich lustrach. Jest tyle tych Brandy Alexander, że nie można ich wszystkich policzyć i wszystkie są moimi szefowymi.

Wszystkie otwierają swoje białe torby z cieleją skóry i setkami upierścienionych wielkich dłoni wyjmują nowe egzemplarze Vademecum lekarza w czerwonych okładkach, grube jak Biblia.

Setki podkreślonych cieniami w kolorze ciemnego fioletu oczu patrzą na mnie ze wszystkich stron.

- Znasz regulamin - komenderują setki jej grafitowych ust. Te jej wielkie dłonie zaczynają otwierać szafki i szuflady. - Pamiętaj, gdzie co jest, i odkładaj wszystko dokładnie na miejsce - mówią usta. - Najpierw leki, potem kosmetyki. Zaczynaj polowanie.

Wyjmuję pierwszą buteleczkę. To valium. Podnoszę buteleczkę tak, żeby Brandy całą setką oczu mogła przeczytać etykietkę.

- Bierz tyle, ile możemy wziąć bez zwracania uwagi - mówi Brandy - a potem zabieraj się do następnej buteleczki.

Wytrząsam kilka małych niebieskich pigułek do kieszonki w torebce, w której trzymam valium. W następnej buteleczce jest darvon.

- Kochanie, to jest niebo w gębie. - Wszystkie odbicia Brandy wpatrują się w buteleczkę, którą trzymam. - Czy możemy sobie pozwolić, żeby wziąć tego więcej?

Data ważności na etykietce mija za miesiąc, a buteleczka jest prawie pełna. Uznaję, że możemy wziąć połowę.

- Tutaj. - Wielka upierścieniona dłoń wyciąga się do mnie ze wszystkich stron. Sto wielkich odwróconych dłoni wyciąga się w moją stronę. - Daj Brandy parę. Księżna ma znów bóle w dole kręgosłupa.

Wytrząsam dziesięć i setka dłoni wrzuca tysiąc przeciwbólowych kapsulek na czerwone dywany języków w tych grafitowych ustach. Samobójcza dawka darvonu znika w ciemnym wnętrzu kontynentów, składających się na świat Brandy Alexander.

W następnej buteleczce są małe owalne pastylki w kolorze fioletowym, dwuipółmiligramowe porcje premarinu.

To skrót od Pregnant Mare Urine, mocz klaczy w ciąży. Symbol tysięcy nieszczęsnych klaczy w Dakocie Północnej i Kanadzie Centralnej, które muszą stać w ciemnych, ciasnych boksach z wetkniętymi cewnikami, wysysającymi z nich każdą kroplę moczu i wyjmowanymi tylko po to, żeby mogły zostać ponownie pokryte. Zabawne, że można tak opisać każdy dłuższy pobyt w szpitalu, w każdym razie takie były moje doświadczenia.

- Nie patrz tak na mnie - mówi Brandy. - Fakt, że nie wezmę tych pigułek, nie wskrzesi ani jednego źrebięcia.

W następnej buteleczce są okrągłe, przedzielone na pół, małe brzoskwiniowe tabletki stumiligramowego aldactonu. Nasza właścicielka domu jest niewątpliwie ćpunką żeńskich hormonów.

Środki przeciwbólowe i estrogen to właściwie jedyne pożywienie Brandy.

- Daj mi, daj mi, daj mi - mówi. Przegryza kilkoma pastylkami

estinyłu w różowej powłoce. Wrzuca do ust parę turkusowych tabletek estrace'u. Używa dopochwowego premarinu jako kremu do rąk.

- Panno Kay? - mówi. - Nie mogę zacisnąć dłoni, kochanie.

Czy mogłabyś dokończyć wszystko sama, a ja się troszkę położę.

Setki moich klonów, odbitych w różowych lustrach łazienki, robi ze mną przegląd kosmetyków, podczas gdy księżna oddała się do głównej sypialni na drzemkę we wspaniałości łoża z baldachimem w kolorze róży stulistnej. Znajduję darvocet i percodan, compazin, nembutal i percocet. Doustne estrogeny. Antyandrogeny. Progesteron. Plastry z estrogenem transdermalnym.

Nie znajduję żadnych kolorów Brandy, żadnego różu o barwie rdzawej róży. Żadnego cienia w kolorze ciemnego fioletu. Znajduję za to wibrator ze wzdętymi i ciekącymi bateriami.

Domyślam się, że właścicielka tego domu jest starą kobietą.

Zapomniane, starzejące się i naszpikowane narkotykami stare kobiety, z każdą minutą coraz starsze i coraz bardziej niewidoczne, nie stosują zbyt wiele makijażu. Nie bywają w miejscach, gdzie coś się dzieje. Nie szaleją na parkietach. Mój oddech zrobił się gorący i kwaśny wewnątrz moich woalów, wewnątrz wilgotnych warstw jedwabiu, siatki i bawełnianej żorzety, które unoszę tego dnia po raz pierwszy. I w lustrach widzę różowe odbicie tego, co pozostało z mojej twarzy.

Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy na świecie?

Zła królowa była głupia, że rywalizowała z Królowną Śnieżką.

Przychodzi wiek, kiedy kobieta musi poszukać innego rodzaju władzy. Na przykład, pieniędzy. Albo broni palnej.

Żyję życiem, które kocham, mówię sobie, i kocham życie, którym żyję.

Zasłużyłam na to, mówię sobie.

To jest dokładnie to, czego chciałam.

Rozdział trzeci

Dopóki nie spotkałam Brandy, bardzo chciałam, żeby ktoś mnie spytał, co się stało z moją twarzą.

„Ptaki mi ją wydziobały”, chciałam odpowiedzieć.

Ptaki wydziobały mi twarz.

Ale nikt się nie zainteresował. Nikt z wyjątkiem Brandy Alexander.

Nie myślcie, że to był jakiś wielki zbieg okoliczności. Musiałyśmy się spotkać, Brandy i ja. Tyle nas łączyło. Łączyło nas prawie wszystko. Poza tym, u niektórych ludzi zdarza się to szybko, u innych wolno, wypadki albo grawitacja, ale wszyscy kończymy zniekształceniami. Większość kobiet zna to uczucie stawania się z dnia na dzień coraz bardziej niewidocznymi. Brandy spędziła w szpitalu długie miesiące tak jak i ja, a nie ma zbyt wiele szpitali dokonujących poważnych operacji kosmetycznych.

Cofnijmy się do zakonnice. Najgorsze było, że zakonnice zawsze na coś nalegały, te zakonnice pielęgniarki. Jedna zakonnica

opowiadała mi o jakimś pacjencie na innym piętrze, zabawnym i czarującym. Był prawnikiem i potrafił robić sztuczki magiczne, posługując się tylko rękami i papierowymi serwetkami. Ta pielęgniarka dzienna należała do zakonnicy, które noszą białą, szpitalną wersję swoich habitów, i opowiedziała temu prawnikowi wszystko o mnie. To była siostra Katherine. Powiedziała mu, że jestem zabawna i inteligentna, i powiedziała, że byłoby wspaniale, gdybyśmy się spotkali i zakochali w sobie do szaleństwa.

To były jej własne słowa.

Patrzyła na mnie przez zsunięte do połowy nosa okulary w drucianych oprawkach, z prostokątnymi szklami, jak preparaty do mikroskopu. Koniec nosa miała czerwony od popękanych naczynek. Nazywała to trądzikiem różowatym. Pasowałaby bardziej do domku z piernika niż do klasztoru. Jako żona Świętego Mikołaja, a nie Boga. Wykrochmalony fartuch, jaki nosiła na habicie, był tak olśniewająco biały, że kiedy mnie przywieziono, prosto z mojego poważnego wypadku samochodowego, pamiętam, że plamy mojej krwi wydawały się na nim czarne.

Dali mi papier i długopis, żebym mogła się porozumiewać.

Owinęli głowę bandażami, całymi jardami gazy przytrzymującej opatrunki, z metalowymi zaciskami na szwach, żebym się nie popruła. Posmarowali mnie grubą warstwą antybiotykowego żelu, klaustrofobicznego i toksycznego pod opatrunkową watą.

Włosy, zapomniane i przepocone pod bandażami, ściągnęli mi do tyłu, gdzie nie miałam do nich żadnego dostępu. Niewidzialna

kobieta.

Kiedy siostra Katherine wspomniała o tym drugim pacjencie, zastanawiałam się, czy przypadkiem gdzieś go nie widziałam, tego jej prawnika, uroczego, zabawnego magika.

- Nie mówiłam, że on jest uroczy - powiedziała.

- Jest wciąż jeszcze trochę nieśmiały - dodała siostra Katherine.

„Wciąż jeszcze?”, napisałam w bloku.

- Od czasu swojej niefortunnej kraksy - powiedziała i uśmiechnęła się, unosząc brwi, z wszystkimi podbródkami wciśniętymi w szyję. - Nie zapiął pasa.

- Samochód przetoczył się po nim - dodała.

- Dlatego tak pasuje do ciebie - powiedziała jeszcze.

Zaraz na początku, kiedy byłam pod narkozą, ktoś zabrał lustro z mojej łazienki. Wydawało się, że pielęgniarki trzymały mnie z daleka od wszelkich gładkich powierzchni, tak jak się trzyma niedoszłych samobójców z dala od noży. Albo alkoholików od alkoholu. Najbliższą namiastką lustra była telewizja, ale tam pokazywano tylko, jak wyglądałam kiedyś.

Kiedy prosiłam pielęgniarkę dzienną o pokazanie mi zdjęć policyjnych z wypadku, słyszałam „Nie”. Trzymali te zdjęcia w kartotece w dyżurce pielęgniarek i mógł je oglądać chyba każdy oprócz mnie.

- Doktor uważa, że dość się nacierpiałś, jak na razie - powiedziała pielęgniarka.

Ta sama pielęgniarka próbowała wyswatać mnie z księgowym,

który stracił włosy i uszy po wpadce z propanem. Poznała mnie z magistrantem, który stracił krtań i zatoki po kontakcie z rakiem. Z robotnikiem myjącym okna, po koziołku z trzeciego piętra głową na beton.

To były wszystko jej słowa: wpadka, kontakt, koziołek. Niefortunna kraksa prawnika. Mój poważny wypadek.

Siostra Katherine co sześć godzin przychodziła sprawdzić moje parametry. Sprawdzić mój puls z sekundową wskazówką na swoim męskim zegarku, grubym i srebrnym. Żeby owinać mi ramię mankietem do mierzenia ciśnienia. Żeby zmierzyć mi temperaturę, wpychała mi jakiś elektryczny pistolet do ucha.

Siostra Katherine należała do tych zakonnicek, które noszą ślubną obrączkę.

A osoby zameężne i żonate zawsze uważają, że miłość jest odpowiedzią na wszystko.

Cofnijmy się do dnia mojego poważnego wypadku, kiedy wszyscy byli dla mnie tacy mili. Ludzie, którzy mnie przepuszczali w izbie przyjęć. Czego zażądała policja. Dali mi szpitalne prześcieradło z napisem „Własność szpitala La Paloma”, wydrukowanym nieusuwalnymi granatowymi literami wzdłuż boku.

Najpierw dali mi dożylnie morfinę. Potem posadzili mnie na wózku.

Niewiele z tego pamiętam, ale pielęgniarka dzienna powiedziała mi o zdjęciach policyjnych.

Na tych zdjęciach, dużych, błyszczących, osiem na dziesięć,

pięknych jak te, które mam w swoim portfolio reklamowym.

Czarnobiałych, powiedziała pielęgniarka. Tyle, że na tych osiem na dziesięć siedzę na szpitalnym wózku, oparta plecami o ścianę w izbie przyjęć. Dyżurna pielęgniarka przez dziesięć minut cięła na mnie sukienkę małymi chirurgicznymi nożyczkami jak do manikiuru. To rozcinięcie pamiętam. To była moja letnia sukienka z bawełnianej krepy od Espre. Pamiętam, że kiedy ją zamawiałam z katalogu, omal nie zamówiłam dwóch, takie są wygodne, luźne, każdy podmuch wpada przez otwory na ręce i próbuje unieść dół do pasa. Jeżeli nie było powiewu, pociłaś się i ta bawełniana krepa oblepiała ciało jak jedenaście ziół i przypraw, tyle że sukienka była wtedy prawie przezroczysta.

Wchodziłaś na taras, to było wspaniałe uczucie i milion reflektorów wybierało cię z tłumu, albo jak wchodziłaś do restauracji, kiedy na dworze był upał i wszyscy się odwracali i patrzyli, jakbyś dopiero co otrzymała jakąś strasznie ważną nagrodę za całokształt.

Tak się wtedy czułam. Pamiętam tego rodzaju podziw. Zawsze się czułam, jakby był upał.

I pamiętam moją bieliznę.

Przepraszam, mamusiu, przepraszam, Boże, ale nosiłam tylko ten wąski pasek materiału z przodu z gumką w pasie i jeden sznureczek biegnący między pośladkami do dolnej części tego paseczka z przodu. W kolorze cielistym. Ten jeden sznureczek, ten między pośladkami, wszyscy nazywają dupną nitką. Nosiłam to pasemko zamiast majtek ze względu na momenty, kiedy ta letnia

sukienka z bawełnianej krepy staje się prawie przezroczysta.

Nikt nie przewiduje, że skończy w izbie przyjęć, gdzie będą rozcinać na nim sukienkę, a policjanci będą mu robić zdjęcia, jak póleży na wózku szpitalnym z kroplówką morfiny w jednym ramieniu, a franciszkańska zakonnica wrzeszczy mu nad uchem:

„Róbcie te swoje zdjęcia! Byle szybko. Ona wciąż traci krew!”.

Nie, naprawdę, to było śmieszniejsze, niż kiedy teraz to opowiadam.

Było jeszcze śmieszniej, kiedy leżałam rozwalona na tym wózku jako anatomicznie bezbłędna szmaciana lalka, ubrana tylko w ten wąski paseczek materiału i z twarzą taką, jaką mam teraz.

Policjanci poprosili zakonnice, żeby zasłoniła arkuszem papieru moje piersi. Chcieli zrobić zdjęcie mojej twarzy, ale wstydzili się, że ja tak leżę rozwalona bez stanika.

Przeskok do momentu, kiedy odmawiają mi pokazania zdjęć i jeden z policjantów mówi, że gdyby pocisk trafił dwa cale wyżej, byłabym trupem.

Nie rozumiałam, czego chcą dowieść.

Dwa cale niżej i smażyłabym się w tej swojej sukience z bawełnianej krepy, usiłując skontaktować się z facetem od ubezpieczenia, żeby wykluczył udział własny i wstawił mi nową szybę. Potem stałabym gdzieś nad basenem, ubrana w emulsję do opalania i opowiadała paru przystojniakom, jak to jechałam autostradą w swoim stingrayu i nie wiem, co to było, kamień czy coś innego, ale boczna szyba po mojej stronie rozsypała się w drobny mak.

A przystojniacy wydaliby jęk podziwu.

Przeskok na innego policjanta, tego, który przeszukiwał mój wóz, żeby znaleźć pocisk, odłamki kości i inne takie, i który widział, jak prowadziłam z szybą do połowy opuszczoną. Szyba w samochodzie, mówi mi ten facet nad zdjęciami osiem na dziesięć, na których jestem ubrana w biały arkusz papieru, szyba w samochodzie powinna być albo zamknięta, albo całkiem otwarta. Nie pamięta, ilu zmotoryzowanym szyby odcięły głowy podczas wypadków.

Jak mogłam się nie roześmiać?

To było jego słowo.

Tak powiedział: zmotoryzowani.

Przy tym, co się stało z moimi ustami, jedynym dźwiękiem, jaki mogłam wydać, był śmiech. Nie mogłam się nie roześmiać.

Przeskok na po tych zdjęciach, kiedy ludzie przestali na mnie patrzeć.

Mój chłopak Manus przyszedł tamtego wieczoru, po izbie przyjęć, po tym, jak zawieziono mnie na moim wózku na salę operacyjną, po tym, jak krwawienie ustało i znalazłam się sama w pojedynczym pokoju. Zjawił się Manus. Manus Kelley, który był moim narzeczoną, póki nie zobaczył, co ze mnie zostało.

Manus usiadł i patrzył na czarnobiałe fotosy mojej nowej twarzy, tasował i tasował je wciąż na nowo, przekręcał do góry nogami i z boku na bok, jak się przegląda te obrazki ze złudzeniami optycznymi, na których raz jest piękna kobieta, a za chwilę BabaJaga.

- O Boże - mówi Manus.

Potem:

- O słodki, słodki Jezu.

A potem:

- O Chryste.

Pierwszą randkę mieliśmy, kiedy jeszcze mieszkałam z rodzicami. Manus pokazał mi swoją odznakę. W domu miał pistolet.

Był policyjnym detektywem i odnosił sukcesy w obyczajówce. To było spotkanie młodości z dojrzałością. Manus miał dwadzieścia pięć lat, a ja osiemnaście, ale chodziliśmy ze sobą. W takim świecie żyjemy. Kiedyś popłynęliśmy żaglówką i miał na sobie majtki speedo, a każda inteligentna kobieta powinna wiedzieć, że to oznaka co najmniej biseksualisty.

Moją najlepszą przyjaciółką jest modelka Evie Cottrell. Evie mówi, że piękni ludzie nigdy nie powinni ze sobą chodzić. Razem zwracają na siebie za mało uwagi. Evie mówi, że kiedy tacy ludzie są razem, następuje przesunięcie w standardzie urody.

To się wyczuwa, mówi Evie. Kiedy oboje jesteście piękni, żadne z was nie jest piękne. Razem, jako para, znaczą mniej niż suma waszych części.

Nikt wtedy naprawdę nie zostaje zauważony.

W każdym razie kiedyś nagrywaliśmy jedną taką inforeklamę, jeden z tych długich programów reklamowych, kiedy myślisz, że to się lada chwila skończy, bo to przecież w końcu tylko reklama, a to się ciągnie przez pół godziny. Ja i Evie jesteśmy wynajęte do roli chodzących mebli seksualnych, mamy przez całe popołudnie nosić

obcisłe suknie wieczorowe i zachęcać widownię telewizyjną do kupowania krakersów Fabryki Kanapek Mniam Mniam.

Manus przychodzi i siada na widowni w studiu, a po zdjęciach mówi: „Jedźmy na żaglówki”, a ja na to: „Świetnie!”.

Poszliśmy więc na żagle, a ja zapomniałam swoich okularów przeciwsłonecznych i Magnus kupił mi okulary na moło. Moje nowe okulary przeciwsłoneczne są takie same jak okulary Manusa od Vuarneta, tyle że moje są produkcji koreańskiej, a nie szwajcarskiej i kosztują dwa dolary.

Wyłynęliśmy trzy mile, a ja wpadam na pokładzie na różne rzeczy. Przewracam się. Manus rzuca mi linę, a ja jej nie łapię.

Rzuca mi piwo, a ja nie mogę złapać piwa. Ból głowy, dostaję takiego bólu głowy, jakim Bóg karał w Starym Testamencie. Nie mam pojęcia, że jedno szkło w moich okularach jest ciemniejsze od drugiego, prawie nieprzezroczyste. Z tego powodu jestem ślepa na jedno oko i nie mam poczucia głębi.

Nie wiedziałam wtedy, że mam tak spieprzoną orientację. To wszystko słońce, mówiłam sobie i dalej nosiłam te okulary, potykałam się o własne nogi i głowa mi pękała.

Przeskok do drugich odwiedzin Manusa w szpitalu. Mówi do fotosów, przedstawiających mnie w prześcieradle „Własność szpitala La Paloma”, że powinnam myśleć o powrocie do życia. Powinnam zacząć robić plany. Wiesz, mówi, zapisać się na jakieś kursy. Dokończyć studia.

Siedzi przy moim łóżku i trzyma te zdjęcia między nami, tak że

nie widzę ani ich, ani jego. W moim bloku piszę do niego ołówkiem, żeby mi je pokazał.

- Jak byłem mały, mieliśmy hodowlę dobermanów - mówi zza tych zdjęć. - Kiedy szczeniak ma około sześciu miesięcy, przycina się mu uszy i ogon. Taki jest obowiązujący wygląd u tych psów. Jedzie się do motelu, gdzie człowiek podróżujący od stanu do stanu obcina uszy i ogony tysiącom szceniaków dobermanów, bokserów albo terierów.

„co to ma do rzeczy?”, piszę w swoim bloku.

I podtykam mu go pod nos.

- Chodzi o to, że kiedy ktoś obetnie ci uszy, będziesz go nienawidzić do końca życia - mówi. - Nie chcesz, żeby to zrobił twój stały weterynarz i dlatego płacisz nieznajomemu.

Nadal oglądając zdjęcie po zdjęciu, Manus dodaje:

- Dlatego nie mogę ci ich pokazać.

Gdzieś poza tym szpitalem, w pokoju motelowym pełnym zakrwawionych ręczników, z torbą skalpeli i strzykawek, albo na autostradzie w drodze do swojej następnej ofiary, albo klęcząc nad nieprzytomnym i pokaleczonym psem w brudnej wannie, jest człowiek znieawidzony przez milion psów.

- Musisz odłożyć do archiwum swoje marzenia o karierze dziewczyny z okładki - mówi Manus, siedząc przy moim łóżku.

Fotograf mody w mojej głowie wykrzykuje: Pokaż mi litość.

Błysk.

Pokaż mi jeszcze jedną szansę.

Błysk.

To była moja praca przed wypadkiem. Możecie nazwać mnie wielką kłamczuchą, ale przed tym wypadkiem mówiłam ludziom, że jestem studentką. Kiedy mówisz, że jesteś modelką, ludzie się zamykają. Uważają, że nawiązali kontakt z niższą formą życia. Zaczynają mówić jak do małego dziecka. Głupieją.

A jak powiesz, że jesteś studentką, to natychmiast robi wrażenie. Możesz studiować cokolwiek i nie musisz się na niczym znać.

Wystarczy, że powiesz: toksykologia albo biokineza oceanów, i osoba, z którą rozmawiasz, zaczyna mówić o sobie. Jeżeli to nie zadziała, wspomnij synapsy nerwowe albo gołębice embrionalne.

Kiedyś naprawdę byłam studentką w college'u. Mam około tysiąca sześciuset punktów na licencjat z osobistego treningu fitness. Rodzice mi powtarzają, że do tego czasu mogłabym mieć już doktorat.

Przepraszam, mamusiu.

Przepraszam, Panie Boże.

Swego czasu Evie i ja chodziłyśmy do klubów tanecznych i barów, a mężczyźni czekali pod damską toaletą, żeby nas poderwać. Mówili, że kompletują obsadę do reklamy telewizyjnej. Facet dawał mi wizytówkę i pytał, w jakiej jestem agencji.

Kiedyś przyjechała do mnie z wizytą mamusia. Mamusia pali i pierwszego popołudnia, kiedy wróciłam do domu po zdjęciach, pokazała mi kartonik zapalek.

- Jak mam to rozumieć? - spytała.

- Proszę, powiedz mi - mówiła - że nie jesteś dziwką jak twój

biedny, nieżyjący brat.

Na kartoniku było nazwisko jakiegoś nieznanego faceta i numer telefonu.

- To nie jest jedyny, który znalazłam - mówiła mamusia. - Co ty tu prowadzisz?

Powiedziałam jej, że nie palę. Te kartoniki i wizytówki gromadzą się, bo jestem zbyt dobrze wychowana, żeby ich nie przyjmować, i zbyt oszczędna, żeby je wyrzucić. Dlatego mam ich pełną szufladę w kuchni, tych wszystkich mężczyzn, których nie pamiętam, i ich numerów telefonów.

Przeskok do jakiegoś zwykłego dnia w szpitalu, pod drzwiami szpitalnego logopedy. Pielęgniarka, trzymając mnie pod rękę, prowadziła po korytarzu w ramach ćwiczeń i kiedy skręciłyśmy za róg, za otwartymi drzwiami gabinetu, bum, siedziała Brandy Alexander we wspaniałej pozie księżnej Alexander w opalizującym kocim kostiumie od Vivienne Westwood, mieniającym się przy każdym jej ruchu.

„Vogue” w plenerze.

Fotograf mody w mojej głowie wykrzykuje: Pokaż mi coś cudownego, mała.

Błysk.

Pokaż mi coś zdumiewającego.

Błysk.

- Brandy - mówił logopeda - możesz podwyższyć tonację głosu, jeżeli podniesiesz chrząstkę krtaniową. To jest ten guzek w gardle,

który przesuwa się w górę, kiedy śpiewasz gamę wznoszącą. Jeżeli potrafisz utrzymać krtań wysoko, twój głos powinien się zmieścić między G a środkowym C. To około 160 herców.

Brandy Alexander i to, jak wyglądała, spychało resztę świata do wirtualnej rzeczywistości. Zmieniała barwy w zależności od kąta spojrzenia. Jeden mój krok i była zielona. Następny i robiła się czerwona. Potem zrobiła się srebrna i złota, a potem straciłyśmy ją z oczu, znikła.

- Biedne, żalodne, zbłąkane stworzenie - powiedziała siostra Katherine i splunęła na podłogę. Spojrzała na mnie, jak wyciągam szyję, żeby obejrzeć się za siebie, i spytała, czy mam jakąś rodzinę.

„Tak, mam brata geja, ale on zmarł na aids”, napisałam.

- No, to tym lepiej, prawda? - powiedziała siostra.

Przeskok w tydzień po ostatniej wizycie Manusa, ostatniej, czyli pożegnalnej, kiedy do szpitala wpada Evie. Evie ogląda fotografie i zwraca się do Boga i Jezusa Chrystusa.

- Wiesz - mówi Evie do mnie ponad stosem „Vogue” i „Glamour”, które mi przyniosła i trzyma na kolanach - rozmawiałam w agencji i powiedzieli mi, że jeżeli przerobimy twoje portfolio, zastanowią się nad zatrudnieniem cię do prac ręcznych.

Evie ma na myśli modelkę od rąk, reklamującą pierścionki cocktailowe, tenisowe bransoletki z brylantami i podobne gówna.

Jakbym chciała tego słuchać.

Mówić nie mogę.

Mogę się odżywiać tylko płynami.

Nikt nie chce na mnie patrzeć. Jestem niewidzialna.

Chcę tylko jednego - żeby ktoś spytał mnie, co się stało. Wtedy będę mogła żyć dalej.

- Zapraszam cię, żebyś zamieszkała u mnie, kiedy stąd wyjdiesz - mówi Evie do stosu czasopism. Rozpina swoją płócienną torbę na krawędzi mojego łóżka i sięga do niej obiema rękami.

- Będzie fajnie - mówi. - Zobaczysz. Mam dosyć mieszkania w samotności.

- Przeniosłam już twoje rzeczy do mojej gościnnej sypialni - mówi.

- Jadę teraz na zdjęcia - mówi Evie z głębi swojej torby. - Nie masz przypadkiem jakichś talonów agencji, żeby mi pożyczyć?

Ołówkiem piszę w bloku:

„czy masz na sobie mój sweter?”

I podsuwam jej blok pod nos.

- Tak - mówi - ale wiedziałam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Piszę:

„ale to jest szóstka”.

Piszę:

„a ty nosisz rozmiar dziewięć”.

- Posłuchaj - mówi Evie. - Muszę tam być na drugą. Może wpadnę kiedyś, kiedy będziesz w lepszym humorze.

- Przykro mi, że tak się stało - mówi do swojego zegarka.

- Nie było w tym niczyjej winy.

Każdy dzień w szpitalu jest taki sam: Śniadanie. Lunch. Obiad.
A w przerwach siostra Katherine.

W telewizji jest tylko jeden program, w którym dzień i noc lecą same inforeklamy, a w nich nie tylko Evie i ja, razem. Mamy kupę szmalu. Dla Fabryki Kanapek Mniam Mniam obnosimy wielkie gwiazdorskie uśmiechy, które z twarzy robią przenośne grzejniki. Jesteśmy ubrane w suknie z cekinów, które w świetle reflektorów błyskają, jakby milion reporterów robiło nam zdjęcia. Są takie olśniewające. Stoję w tej ważącej dwadzieścia funtów sukni, robię ten wielki uśmiech i wrzucam szczątki zwierząt do pleksiglasowego lejka na czubku Fabryki Kanapek Mniam Mniam. Z tego czegoś wyskakują jak szalone małe kanapki, a Evie musi przedzierać się wśród widzów w studiu i wmuszać w nich te kanapki.

Ludzie zjedzą wszystko, żeby ich pokazano w telewizji.

- Jedźmy na żagle - mówi Manus poza kamerą.

- Dobrze - mówię.

Byłam idiotką, że nie wiedziałam, co się dzieje.

Przeskok na Brandy siedzącą na składanym krześle w gabinecie logopedy, jak opiłowuje paznokcie draską od zapalek. Jej długie nogi mogłyby zmiażdżyć motocykl, a prawnie determinująca ją część jest owinięta we frotowy rozciągliwy materiał w lamparcie cętki i aż krzyczy, żeby z niego wyskoczyć.

- Mówiąc, trzymaj krtań częściowo otwartą - instruuje logopeda.

- W ten sposób Marilyn Monroe śpiewała Happy Birthday prezydentowi Kennedy'emu. Wtedy twój oddech omija struny

głosowe, uzyskując bardziej kobiece, bezbronne brzmienie.

Pielęgniarka prowadzi mnie korytarzem w moich tekturowych kapciach, w moich ciasnych bandażach i z moją głęboką depresją, a Brandy Alexander podnosi w ostatniej chwili wzrok i mruga do mnie. Tak mógłby mrugać Bóg. Jak ktoś, kto robi ci zdjęcia. Pokaż mi radość. Pokaż mi ciepło. Pokaż mi miłość.

Błysk.

Anioły w niebie powinny posyłać całusy tak, jak to robi Brandy Alexander, rozjaśniając mi resztę tygodnia.

„kto to jest?”, piszę już w swoim pokoju.

- Nikt, z kim chciałabyś mieć coś wspólnego - mówi pielęgniarka. - Masz dość własnych problemów.

„ale kim ona jest?”, piszę.

- Możesz mi nie wierzyć - mówi pielęgniarka - ale to coś jest co tydzień czymś innym.

To po tej rozmowie siostra Katherine zaczęła mnie swatać.

Żeby mnie uratować przed Brandy Alexander, proponuje mi prawnika bez nosa. Proponuje mi dentystę - alpinistę, którego palce i rysy twarzy są na skutek odmrożenia zredukowane do małych, twardych, błyszczących guzków. Misjonarza z ciemnymi pasmami jakichś tropikalnych grzybów pod skórą. Mechanika, który pochylił się nad akumulatorem w chwili, kiedy ten wybuchł, i kwas spalił mu wargi i policzki, odsłaniając jego żółte zęby w nieustannym upiornym uśmiechu.

Patrzę na ślubną obrączkę zakonniczy i piszę:

„chyba złapałaś ostatniego niewybrakowanego faceta”.

Przez cały pobyt w szpitalu w żaden sposób nie mogłam się zakochać. Po prostu jeszcze do tego nie dojrzałam. Nie potrafiłam zgodzić się na mniej. Nie chciałam się do niczego zniżyć.

Nie chciałam zbierać skorup. Obniżać oczekiwań. Kontynuować mojego mniej niż życia. Cieszyć się z tego, że jeszcze żyję. Zacząć się jakoś zbierać. Chciałam tylko odzyskać twarz, jeżeli to możliwe, ale to nie było możliwe.

Kiedy nadszedł czas, żeby mnie przestawić na pokarmy stałe, znowu ich słowa, dostawałam puree z kurczaka i przecieraną marchewkę. Pokarm dla niemowląt. Wszystko tłuczone, mielone albo rozdrobnione.

Człowiek staje się tym, co je.

Pielęgniarka przynosi mi ogłoszenia towarzyskie z biuletynu. Siostra Katherine patrzy wzdłuż nosa przez okulary i czyta: Mężczyźni poszukują zgrabnych, żądnych przygód dziewczyn w celach zabawowych i romantycznych. I tak, to prawda, żaden z nich nie wyklucza odrażających, okaleczonych dziewczyn z rosnącymi rachunkami szpitalnymi.

- Możesz korespondować z tymi mężczyznami w więzieniu, bo oni nie muszą wiedzieć, jak wyglądasz - mówi mi siostra Katherine.

Wyjaśnianie jej moich uczuć na piśmie przerasta moje możliwości.

Siostra Katherine czyta mi kolumnę „samotny poszukuje”, podczas gdy ja jem łyżeczką rostbef. Proponuje mi podpalaczy.

Włamywaczy. Oszustów podatkowych.

- Myślę, że nie zechcesz umawiać się z gwałcicielem - mówi - nie tak od razu. Nikt nie jest aż tak zdesperowany.

Między samotnymi mężczyznami, uwięzionymi za napad z bronią w rękę i za zabójstwo drugiego stopnia, siostra zatrzymuje się, żeby mnie spytać, o co chodzi. Bierze mnie za rękę i mówi do nazwiska na mojej plastikowej bransoletce, taką już jestem ręczną modelką, cocktailowe pierścionki, plastikowe bransoletki identyfikacyjne tak piękne, że nawet oblubienica Chrystusa nie może od nich oderwać wzroku.

- Co z tobą? - pyta.

To śmieszne.

- Nie chcesz się zakochać? - pyta.

Fotograf w mojej głowie mówi: Pokaż mi cierpliwość.

Błysk.

Pokaż mi spokój.

Błysk.

Chodzi o to, że mam pół twarzy.

Pod bandażami z mojej twarzy wciąż sączą się do opatrunków małe kropelki krwi. Jeden z lekarzy, ten, który co rano przychodzi na obchód i sprawdza moje opatrunki, mówi, że moja rana wciąż płacze. To jego słowa.

Nadal nie mogę mówić.

Nie mam już zawodu.

Mogę jeść tylko odżywki dla niemowląt. Nikt już nigdy nie

spojrzy na mnie, jakbym wygrała jakąś wielką nagrodę.

„nic”, piszę w moim bloku.

„wszystko w porządku”.

- Nie rozpaczałaś - mówi siostra Katherine. - Musisz się porządnie wypłakać i żyć dalej. Jesteś w tym wszystkim zbyt spokojna.

Piszę:

„nie rozśmieszaj mnie, moja twarz - piszę - doktor mówi, że szwy mi popękają”.

Jednak w końcu ktoś zauważył. Przez ten cały czas byłam spokojna. Byłam wzorem spokoju. Nigdy, ani na moment nie spanikowałam. Widziałam w chwilę po wypadku swoją krew, smarki i zęby, rozbryzgane po tablicy rozdzielczej, ale histeria wymaga audytorium. Panikować w samotności to to samo, co śmiać się w pustym pokoju. Człowiek czuje się wtedy głupio.

Jak tylko zdarzył się ten wypadek, wiedziałam, że muszę zjechać pierwszym zjazdem z autostrady, skręcić w prawo na Northwest Gower, przejechać dwanaście przecznic i skręcić na parking przed izbą przyjęć szpitala La Paloma. Zaparkowałam. Wzięłam kluczyki, torbę i poszłam. Szklane drzwi rozsunęły się przede mną, zanim zdążyłam się w nich przejrzeć. Tłum w środku, wszyscy ci ludzie, czekający z połamanymi nogami i dławiącymi się niemowlętami, wszyscy oni też się rozsunęli, kiedy mnie zobaczyli.

Potem dożylna morfina. Małe jak do manikiuru chirurgiczne nożyczki tną moją sukienkę. Miniaturowe cieliste stringi. Policyjne

zdjęcia.

Detektyw, który poszukiwał w moim samochodzie odłamków kości, ten, który widział tyle głów odciętych półotwartymi szybami, wraca któregoś dnia i mówi, że nie ma tam czego szukać. Ptaki, mewy, może też sroki. Dostały się do zaparkowanego samochodu przez wybitą szybę. Sroki wyjadły to, co detektyw nazywa dowodami z miękkiej tkanki. Kości pewnie zabrały.

- Wie, pani - mówi - żeby porzbić je na skałach i dobrać się do szpiku.

Piszę ołówkiem w bloku:

„ha, ha, ha”.

Przeskok na chwilę tuż przed zdjęciem bandażu, kiedy logopeda mówi, że powinnam na kolanach dziękować Bogu, że został mi nieuszkodzony język. Siedzimy w jego gabinecie, którego połowę zajmuje oddzielające nas biurko, i logopeda uczy mnie mówić jak brzuchomówca. Otóż brzuchomówca nie może poruszać ustami.

Nie mogąc używać warg, formułuje słowa, przyciskając język do podniebienia.

Zamiast okna logopeda ma plakat z kociakiem, zaplątanym w spaghetti, nad hasłem:

Akcentuj pozytywy

Logopeda mówi, że jeżeli nie możesz wyartykułować bez pomocy warg pewnych dźwięków, należy je zastąpić podobnymi, mówi logopeda. Na przykład, zastąp głoskę r głoską l. Kontekst, w którym użyjesz tej głoski, sprawi, że zostaniesz zrozumiana.

- Chciałbym pójść na lyby - mówi logopeda,
„co cię trzyma?”, piszę.

- Nie - mówi logopeda - powtórz.

Gardło mam stale chropowate i wysuszone, nawet po cysternach płynów pitych cały dzień przez słomkę. Cała tkanka wokół mojego nieuszkodzonego języka jest stwardniała, pokryta bliznami.

- Chciałbym pójść na lyby - mówi logopeda.

- Salgrew jfwoiew fjfowi sokifj - mówię.

- Nie, nie tak - mówi logopeda. - Robisz to niewłaściwie.

- Solfjf gjoie ddd oslidjf? - pytam.

- Nie, też nie tak.

Logopeda spogląda na zegarek.

- Digri vrrior gmjgi g giel - mówię.

- Musisz dużo ćwiczyć, ale już sama - mówi logopeda. - A teraz jeszcze raz.

- Jrogier fi fkgoewir mfofeinf fcfd - mówię.

- Dobrze! Znakomicie! Widzisz, jakie to łatwe?

„Pierdol się”, piszę ołówkiem w bloku.

Przeskok do dnia, kiedy zdejmują mi bandaż.

Nie wiesz, czego się spodziewać, ale wszyscy lekarze, pielęgniarki, salowe i kucharki zatrzymują się w drzwiach, żeby zerknąć do środka, a kiedy zostaną na tym przyłapani, wykrzykują: „Gratulacje” i kąciaki ich ust rozjeżdżają się szeroko i drżą w sztywnym, wodnistym uśmiechu. Z wytrzeszczem. Tak to nazywam. A ja podnoszę ten sam kawałek kartonu, na którym mówię:

„dziękuję”.

A potem uciekłam. To jest po tym, jak przysłali moją nową letnią sukienkę z bawełnianej krepy od Espre. Siostra Katherine stała nade mną przez całe rano z lokówką, aż wyrosła mi na głowie wielka fryzura jak lukrowany tort, wielka, odsłaniająca twarz fryzura. Potem Evie przyszła z zestawem do makijażu i zrobiła mi oczy. Włożyłam moją nową seksowną sukienkę i nie mogłam się doczekać, kiedy zacznę się pocić. Przez całe to lato nie widziałam lustra, a jeżeli tak, to nie zdawałam sobie sprawy, że widzę swoje odbicie. Nie widziałam też zdjęć policyjnych.

- De foil iowa fog geoff - powiedziałam, kiedy Evie i siostra Katherine skończyły.

- Nie ma za co - powiedziała Evie.

A siostra Katherine:

- Przecież dopiero co jadłaś lunch.

Najwyraźniej nikt mnie tutaj nie rozumie.

- Kong wimmer nay pee goiły - mówię.

- Tak, to są twoje buty - mówi Evie - ale nic im nie będzie.

A siostra Katherine mówi:

- Nie, nie było jeszcze poczty, kochanie, ale możemy napisać do więźniów później, jak się zdrzemniesz.

Wyszły. I. Zostałam sama. I. Jak straszna może być moja twarz?

Przecież czasami okaleczenia mogą działać na twoją korzyść.

Wszyscy ci ludzie pokolczykowani, wytatuowani, z piętnami i bliznami... Chodzi mi o to, że czego się nie robi, żeby zwrócić na

siebie uwagę.

Po wyjściu na dwór pierwszy raz czuję, że coś straciłam. To znaczy, całe lato gdzieś się podziało. Wszystkie te imprezy na basenie i leżenie na metalowych pokładach motorówek. Łapanie słońca. Podrywanie facetów ze sportowymi wozami. Rozumiem, że wszystkie te pikniki, gry w piłkę i koncerty przeniosły się, można powiedzieć, na parę zdjęć, których Evie nie wywoła aż gdzieś do Dnia Dziękczynienia.

Jak się wychodzi na dwór, świat jest niezwykle kolorowy po białym na białym w szpitalu. To jest jak chodzenie po tęczy.

Wchodzę do supermarketu i robienie zakupów jest jak zabawa z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką. Są tu wszystkie moje ulubione marki produktów, wszystkie znane mi kolory. French Mustard, Rice A Roni, Top Ramen, wszystko usiłuje przykuwać moją uwagę.

Ach, te kolory! Zupełne przesunięcie w standardach piękna, tak że nic już się nie wyróżnia.

Całość stała się mniejsza niż suma części.

Wszystkie kolory w jednym miejscu.

Poza tą tęczę nazw produktów nie ma na co patrzeć. Ilekroć spojrzę na człowieka, zawsze widzę tylko tył jego głowy. Nawet jeżeli odwracam się bardzo szybko, mogę tylko dostrzec czyjeś odwracające się ucho. I dużo ludzi mówi do Boga.

- O Boże - mówią. - Widziałeś to?

Albo:

- Czy to była maska? Chryste, chyba jeszcze za wcześnie na Halloween.

Wszyscy są pochłonięci czytaniem etykiet na musztardzie i ryżu.

A ja biorę indyka.

Sama nie wiem dlaczego. Nie mam przecież pieniędzy, a biorę indyka. Grzebię w zamrażarce w tych wielkich lodowatych indykach, w tych wielkich cielistego koloru kawałkach lodu. Przewracam w nich, aż znajduję największego indyka i przytulam go jak niemowlę w jego żółtej plastikowej siatce.

Idę w stronę wyjścia, przechodzę przez kasy i nikt mnie nie zatrzymuje. Nikt nawet nie patrzy. Wszyscy mają nosy w gazetach, jakby szukali tam złota.

- Sejgfn di ofo utnbg - mówię. - Nei wucj iswisn sdnsud.

Nikt nie podnosi wzroku.

- evsf uyyb iuh - mówię najwyraźniej jak umiem swoim głosem brzuchomówcy.

Nikt się nawet nie odezwie. Może z wyjątkiem kasjerek.

- Czy ma pan dwa dokumenty ze zdjęciem? - pytają osoby płacące czekiem.

- Fgjrj iufnv si vuv - mówię. - Xidi cniwuw sis sacnc!

I wtedy się to dzieje.

- Patrzcie! - mówi mały chłopiec.

Wszyscy, którzy nie patrzą i nic nie mówią, wstrzymują oddech.

- Zobacz, mamó, spójrz tam! - mówi ten mały chłopiec.

- Tamten potwór kradnie jedzenie!

Wszyscy kulą się zawstydzeni. Chowają głowy w ramiona i wyglądają, jakby chodzili o kulach. Czytają tytuły w gazetach z jeszcze większym zainteresowaniem.

„Dziewczyna potwór kradnie świątecznego ptaka”.

A ja tam stoję, zamrożona w swojej sukience z krepy, z dwudziestopięcioletnim indykiem w objęciach, z indyka cieknie woda, moja sukienka jest prawie przezroczysta. Moje sutki, twarde jak kamienie, wbijają się w żółtego indyka, którego trzymam w ramionach. Na głowie mam tę fryzurę jak lukrowany tort. Nikt nie patrzy na mnie, jakbym wygrała jakąś wielką nagrodę.

Wysuwa się dłoń i daje klapsa dzieciakowi, który zanosi się płaczem.

Chłopiec płacze jak ktoś, kto nie zrobił nic złego, a i tak został ukarany. Na dworze zachodzi słońce. W środku panuje martwa cisza, poza tym cienkim głosikiem, który wykrzykuje: „Dlaczego mnie bijesz? Ja nic nie zrobiłem. Dlaczego mnie bijesz? Co ja zrobiłem?”.

Zabrałam tego indyka i poszłam najszybciej jak mogłam z powrotem do szpitala La Paloma. Było już prawie ciemno.

Tuląc do piersi tego indyka, powtarzam sobie: indyki. Mewy.

Sroki.

Ptaki.

Ptaki zjadły moją twarz.

Już w szpitalu natykam się na korytarzu na siostrę Katherine, która prowadzi mężczyznę i jego stojak z kroplówką. Mężczyzna jest cały zawinięty w bandaż, obwieszony drenami i plastikowymi

torbami z żółtymi i czerwonymi płynami, które wpływają i wypływają z jego ciała.

Ptaki zjadły moją twarz.

Siostra Katherine wykrzykuje z coraz bliższej odległości: - Halo! Mam tu kogoś specjalnego, kogo na pewno zechcesz poznać!

Ptaki zjadły moją twarz.

Między mną a nimi jest gabinet logopedy i kiedy chowam się do środka, zastaję tam po raz trzeci Brandy Alexander. Królowa wszystkiego, co piękne i dobre, ma na sobie sukienkę bez rękawów Versace z modnym w tym sezonie dojmującym poczuciem rozpacz i zdemoralizowanej rezygnacji. Ciało świadome, ale poniżone. Prężne, ale kalekie. Superkrólowa jest czymś najpiękniejszym, co kiedykolwiek widziałam, stoję więc w drzwiach i gapię się z zachwytem.

- Mężczyźni - mówi logopeda - akcentują przymiotnik. Na przykład - mówi logopeda - mężczyzna powie: „Jesteś dzisiaj taka piękna”.

Brandy jest taka piękna, że można by odrąbać jej głowę i wystawić na granatowym aksamicie w witrynie Tiffany’ego, a ktoś na pewno kupiłby ją za milion dolarów.

- A kobieta powie: „Jesteś dzisiaj taka piękna” - mówi logopeda.
- Teraz ty, Brandy. Ty to powiedz. Zaakcentuj określenie, a nie przymiotnik.

Brandy Alexander spogląda swoimi oczami w kolorze ciemnego fioletu na mnie, jak stoję w drzwiach.

- Modelko - mówi - jesteś taka potwornie brzydka. Pozwoliłaś, żeby słoń usiadł ci na twarzy, czy co?

Głos Brandy, prawie nie słyszę, co ona mówi. W tym momencie przepełnia mnie uwielbienie. Wszystko w niej jest tak dobre, jakbym była piękna i przeglądała się w lustrze. Brandy jest z miejsca moją rodziną królewską. Moim wszystkim, dla czego warto żyć.

- Cfoieb svns ois - mówię i kładę zimnego, ociekającego wodą indyka na kolanach logopedy, przyciskając go dwudziestoma pięcioma funtami nieżywego mięsa do obrotowego, skórzanego fotela.

- Juhuu! - woła siostra Katherine już całkiem blisko na korytarzu.

- Mriuvn wsi sjaoi aj - mówię i wytaczam logopedę z jego fotelem na korytarz. - Jownd winc sm fdo dcncw - mówię.

- Nie musisz mi dziękować - uśmiecha się do mnie logopeda.

- Za to mi płacą.

Nadeszła siostra ze swoim mężczyzną i stojakiem na kroplówkę, z nowym mężczyzną bez skóry albo ze zmiażdżoną twarzą, albo z wybitymi zębami, mężczyzną, który idealnie by do mnie pasował. Miłość mojego życia. Mój zdeformowany, pokiereszowany albo chory książę z bajki. Moje nieszczęście na zawsze.

Moja odrażająca przyszłość. Potworna reszta mojego życia.

Zatrzasnę drzwi gabinetu i zamykam się na klucz z Brandy Alexander. Chwytam leżący na biurku notes logopedy i piszę:

„ratuj mnie” i pokazuję notes Brandy.

„błagam”, piszę.

Przeskok na ręce Brandy Alexander. Wszystko zawsze zaczyna się od jej rąk. Brandy Alexander wyciąga rękę, jedną z tych jej owłosionych dłoni z wydatnymi kostkami i żyłami splecionymi i ściśniętymi aż do łokcia różnokolorowymi bransoletami. Sama w sobie Brandy Alexander jest takim naruszeniem norm piękna, że nic się w niej nie wyróżnia.

Nawet ty.

- Więc tak, dziewczyno - mówi Brandy. - Co się stało z twoją twarzą?

Ptaki.

Piszę:

„ptaki, ptaki zjadły moją twarz”.

I wybucham śmiechem.

Brandy się nie śmieje.

- Jak mam to rozumieć? - pyta.

A ja nadal się śmieję.

„jechałam autostradą”, piszę.

I nadal się śmieję.

„ktoś wystrzelił ze strzelby pocisk kaliber trzydzieści”.

„pocisk urwał mi dolną szczękę”.

Nadal się śmieję.

„przyszłam do szpitala”, piszę.

„i nie umarłam”.

Śmieję się.

„nie mogli poskładać mojej szczęki, bo zjadły ją mewy”.

I przestaję się śmiać.

- Dziewczyno, masz okropny charakter pisma - mówi Brandy. -

A teraz powiedz mi, co jeszcze.

Zaczynam płakać.

„co jeszcze, piszę, to, że muszę jeść papki dla niemowląt”,

„nie mogę mówić”,

„nie mam pracy”,

„nie mam domu”,

„narzeczony mnie rzucił”,

„nikt na mnie nie patrzy”.

„wszystkie moje rzeczy zniszczyła moja najlepsza przyjaciółka”.

Wciąż płaczę.

- Co jeszcze? - pyta Brandy. - Opowiedz mi wszystko,

„chłopiec”, piszę.

„mały chłopiec w supermarkecie nazwał mnie potworem”.

Te oczy w kolorze ciemnego fioletu patrzą na mnie jak żadne inne oczy nie patrzyły na mnie przez całe lato.

- Masz zupełnie popierdoloną percepcję świata - mówi Brandy. - Potrafisz tylko mówić o bzdurach, które już się zdarzyły.

- Nie możesz opierać swojego życia - mówi - na przeszłości albo na teraźniejszości.

- Opowiedz mi o swojej przyszłości - mówi Brandy.

Brandy Alexander wstaje na swoich sandałach z paskiem ze złotej lamy. Superkrólowa wyjmuje ze swojej kopertówki wysadzaną drogimi kamieniami puderniczkę i otwiera ją z trzaskiem, żeby się

przejrzeć w lusterku.

- Ten logopeda - mówią jej grafitowe wargi - potrafi być strasznie głupi w takich sytuacjach.

Wielkie, ozdobione biżuterią, umięśnione ramię Brandy sadza mnie na krześle jeszcze gorącym od jej tyłka i pokazuje mi otwartą puderniczkę. Zamiast pudru jest w niej pełno białych kapsulek. Tam, gdzie powinno być lustro, jest zdjęcie uśmiechniętej i wyglądającej wspaniale Brandy Alexander.

- To jest vicodina, kochanie - mówi. - Według szkoły medycyny Marilyn Monroe odpowiednia dawka każdego środka leczy każdą chorobę.

- Sięgnij i poczęstuj się - mówi.

Fotografia Brandy, szczupłej i ponadczasowej bogini, uśmiecha się do mnie znad morza środków przeciwbólowych. Tak poznałam Brandy Alexander. Tak znalazłam siłę, żeby nie kontynuować swojego poprzedniego życia. Tak znalazłam odwagę, żeby nie zbierać potłuczonych skorup.

- A teraz - mówią te grafitowe wargi - opowiesz mi swoją historię tak, jak to już zrobiłaś. Napisz to wszystko. Opowiadaj tę historię jeszcze raz i jeszcze raz. Opowiadaj mi swoją smutnodupną historię przez całą noc. - I Brandy superkrólowa kieruje na mnie długi, kościsty palec.

- Kiedy dotrze do ciebie - mówi Brandy - że to, co opowiadasz, to tylko opowieść, ona przestanie być rzeczywistością.

Kiedy zrozumiesz, że historia, którą opowiadasz, to tylko słowa,

kiedy będziesz mogła ją zmiąć i wyrzucić swoją przeszłość do kosza na śmieci - mówi Brandy - wtedy zastanowimy się, kim będziesz.

Rozdział czwarty

Przeskok na granicę kanadyjską.

Przeskok na naszą trójkę w wynajętym lincolnie town, oczekującą na przejazd na południe z Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej, do Stanów Zjednoczonych, z signore Romeo za kierownicą, z Brandy oczekującą obok niego na przednim siedzeniu i ze mną, oczekującą samotnie z tyłu.

- Policja ma tu mikrofony - informuje nas Brandy.

Plan jest taki, że jeżeli uda się nam przedostać przez granicę, to pojedziemy na południe do Seattle, gdzie są nocne kluby i dyskoteki, gdzie gogo boys i gogo girls będą się ustawiać w kolejce, żeby wykupić zawartość kieszeni w mojej torbie. Musimy siedzieć cicho, bo policja ma mikrofony po obu stronach granicy amerykańskiej i kanadyjskiej. W ten sposób mogą podsłuchiwać ludzi czekających na przekroczenie granicy. Moglibyśmy przewozić kubańskie cygara. Świeże owoce. Diamenty. Choroby.

Narkotyki, mówi Brandy. Kazała nam się zamknąć milę przed granicą i czekamy w kolejce, milcząc.

Brandy odwija z głowy jardy i jardy brokatowego szala. Brandy strząsa włosy do tyłu i zawiązuje szal wokół ramion, żeby zakryć swój dekolt z torpedami. Brandy zakłada skromne złote kolczyki. Zdejmuje perły i zawiesza na szyi łańcuszek ze złotym krzyżykiem. Na moment

przed strażnikiem. Strażnik siedzi na swoim stanowisku za terminalem komputera, z notatnikiem, w granatowym mundurze i z za swoich lustrzanych okularów i złotej odznaki pyta:

- Państwa narodowość?

- Sir - mówi Brandy, a jej nowy głos ma południowy zaśpiew i jest prząsny jak kasza bez masła i soli. - Sir - mówi - jesteśmy obywatelkami Stanów Zjednoczonych Ameryki, nazywanym najwspanialszym krajem na Ziemi, dopóki homoseksualiści i propagatorzy pornografii dziecięcej...

- Nazwisko? - pyta strażnik.

Brandy przechyla się przez Alfę, żeby spojrzeć na strażnika.

- Mój mąż - mówi - jest niewinny.

- Państwa nazwiska, proszę - mówi strażnik, niewątpliwie sprawdzając nasze tablice rejestracyjne i stwierdzając, że jest to samochód wynajęty trzy tygodnie temu w Billings, w stanie Montana, a może też dowiadując się, kim naprawdę jesteście.

Może czyta informację za informacją z całej zachodniej Kanady o trójce wariatów, kradnących narkotyki z bogatych domów wystawionych na sprzedaż. Może wszystko to wyświetla się teraz na ekranie jego komputera, a może nie. Nigdy nie wiadomo.

- Jestem zamężna - Brandy prawie krzyczy, żeby zwrócić uwagę strażnika. - Jestem żoną wielebnego Scootera Alexandra - mówi, nadal przewieszając się przez kolana Alfy.

- A to - mówi i przeprowadza niewidoczną linię od swojego uśmiechu do Alfę - to jest mój zięć Seth Thomas. - Jej wielka dłoń

frunie w moją stronę na tył samochodu. - A to jest moja córka BubbaJoan.

Czasem nienawidzę, gdy Brandy zmienia nam życiorysy bez ostrzeżenia. Czasem dwa razy w ciągu tego samego dnia człowiek musi się dostosować do nowej tożsamości. Do nowego imienia. Nowych powiązań. Kalectw. Nie bardzo mogę sobie przypomnieć, jako kto zaczynałam tę wyprawę.

Tego typu stres niewątpliwie odczuwa nieustannie mutujący wirus hiv.

- Proszę pana? - zwraca się strażnik do Setha, znanego poprzednio jako Alfa Romeo, poprzednio jako Chase Manhattan, poprzednio jako Nash Rambler, poprzednio jako Wells Fargo, poprzednio jako Eberhard Faber. - Czy wwozi pan do Stanów Zjednoczonych jakieś rzeczy nabyte za granicą? - pyta strażnik.

Ostry czubek mojego pantofla sięga pod przednie siedzenie i dźga mojego nowego męża. Jesteśmy otoczeni przez szczegóły.

Z jednej strony rozciąga się błotnista równina odsłonięta przez odpływ, małe fale napływają jedna za drugą. Kwietne rabaty z przeciwnej strony układają się w słowa, które dają się odczytać jedynie z dużej odległości. Z bliska to tylko pewna liczba czerwonych i żółtych begonii.

- Niech pan nie mówi, że nigdy pan nie oglądał Sieci chrześcijańskiej terapii - mówi Brandy i bawi się złotym krzyżykiem na szyi. - Gdyby pan oglądał choć jeden program, wiedziałby pan, że Bóg w swojej mądrości uczynił mego syna niemową i on nie może

panu odpowiedzieć.

Strażnik kilka razy szybko klika w klawiaturę. Może wpisał hasło przestępczość. Albo narkotyki. Albo zastrzelić.

Mogło tO być PRZEMYTNICY. Albo ARESZTOWAĆ.

- Ani mrumru - szepcze Brandy do ucha Setha. - Odezwij się, a w Seattle zostaniesz Harveyem Wallbangerem.

- Żeby państwa wpuścić do Stanów Zjednoczonych - mówi strażnik - muszę zobaczyć państwa paszporty.

Brandy oblizuje wargi, żeby były wilgotne i błyszczące, jej oczy lśnią. Brokatowa apaszka obsuwa się, odsłaniając głęboki dekolt.

- Mógłby pan chwilkę poczekać? - pyta, patrząc z dołu na strażnika.

Brandy wraca na swój fotel, a szyba Setha podjeżdża do góry.

Wielkie torpedy Brandy robią głęboki wdech i wydech.

- Tylko bez paniki - mówi i otwiera szminkę. Wydyma wargi w lusterku wstecznym i dotyka szminką skrajów swoich wielkich grafitowych ust, a drży tak, że jedną ciężką dłonią musi przytrzymać tę ze szminką.

- Mogę nam załatwić powrót do Stanów - mówi - ale będę potrzebować kondomu i miętówki.

- BubbaJoan - mówi przez szminkę - bądź tak kochana i podaj mi jedną estradermę.

Seth podaje jej miętówkę i kondom.

- Ciekawe, ile czasu zajmie mu wessanie do dupy tygodniowego ładunku dziewczęcej spermy - mówi.

- Oklej mnie, proszę - mówi, zatrzasnąwszy szminkę.
Podaję jej chusteczkę i plasterki estrogenu.

Rozdział piąty

Przeskok do pewnego dnia przed Domem Towarowym Brumbacha, gdzie przechodnie ze mną i Evie włącznie są zachęceni, żeby przyglądać się, jak czyjś pies podnosi nogę na bożonarodzeniową szopkę. Potem pies siada, przewraca się na grzbiet i liże swój własny, wystający odbyt o psim smaku, a Evie szturcha mnie łokciem. Gapie biją brawo i rzucają monety.

- Dlaczego psy liżą same siebie? - pytam, kiedy już jesteśmy w domu towarowym i testujemy szminki na wierzchu dłoni.

- Po prostu dlatego, że mogą... - mówi Evie. - One są inne niż ludzie.

To się dzieje tuż po tym, jak zabiliśmy ośmiogodzinny dzień w szkole modeli na oglądaniu swojej skóry w lustrach, jestem więc nastawiona na „Evie, nawet o tym nie myśl”.

Zdałam w szkole modeli tylko dlatego, że Evie obciągnęła w dół średnią. Używała odcieni szminek, których można się było spodziewać u nasady penisów. Pakowała tyle cienia na oczy, jakby była jakimś zwierzęciem doświadczalnym. Od samego jej lakieru do włosów nad Akademią Modeli Taylora Robbertsa ziała dziura w warstwie ozonowej.

To było przed moim wypadkiem, kiedy uważałam, że wszystko mi się dobrze układa.

W Domu Towarowym Brumbacha, gdzie zabijałyśmy czas po szkole, całe dziewiąte piętro zajmują meble. Wszędzie dookoła są pokoje wystawowe: sypialnie, jadalnie, salony, zestawy wypoczynkowe, biblioteki, pokoje dziecięce, pokoje rodzinne, kredensy na porcelanę, gabinety do pracy, wszystkie otwarte do wnętrza sklepu. Jakby miały niewidzialną czwartą ścianę. Wszystkie idealne, wysprzątane i z dywanami, pełne gustownych mebli, przegrzane od reflektorów i zbyt wielu lamp. Z ukrytych głośników sączy się biały szum. Klienci przechodzą pogrążonymi w półmroku, wyłożonymi linoleum drózkami między wnękami wystawowymi i po oświetlonych od dołu wyspach, zajmujących środek piętra, gdzie są kąćki do rozmów i zestawy kanap, ustawione wokół odpowiednio dobranych dywanów, lamp stojących i sztucznych roślin. Ciche oazy światła i koloru w mroku, rojące się od nieznanym.

- Tu jest jak w hali zdjęciowej - mawiała Evie. - Te małe scenografie są przygotowane do zdjęć następnym epizodów, a studyjne audytorium ogląda cię z ciemności.

Klienci przechodzili obok, a Evie i ja rozkładałyśmy się na różowym łóżku z baldachimem i sprawdzałyśmy w telefonie komórkowym swoje horoskopy. Albo zwijałyśmy się na tweedowej kanapie, pogryzałyśmy popcorn i oglądałyśmy na wielkim kolorowym telewizorze swoje ulubione seriale. Evie podciągała swój T-shirt, żeby mi zademonstrować nowy kolczyk w pępku. Albo naciągała bluzkę pod pachą, żeby pokazać blizny po nowych implantach.

- W moim prawdziwym domu czuję się zbyt samotna - mówiła

Evie. - Nie znoszę tego poczucia nierzeczywistości, kiedy ludzie na mnie nie patrzą.

I jeszcze mówiła:

- Nie przychodzę do Brumbacha w poszukiwaniu prywatności.

W swoim mieszkaniu miałam Manusa z jego pisemkami.

Mówił, że musi kupować pornosy facetów na facetach ze względu na swoją pracę. Co rano przy śniadaniu pokazywał mi błyszczące zdjęcia facetów, którzy ssą samych siebie. Skuleni, z łokciami szcepionymi za kolanami, z szyjami wyciągniętymi, żeby dławić się samym sobą, każdy z nich był zamknięty w swoim własnym zaklętym kręgu. Pewnie prawie każdy facet na świecie próbował tej sztuki.

- To jest coś, czego chce każdy chłop - mówił Manus.

Pokaż mi romantyczne uczucie.

Błysk.

Pokaż mi odrzucenie.

Manus wskazywał swoim tostem na te zdjęcia facetów tak gibkich albo z wystarczająco długimi kutasami, żeby nikt inny nie był już im potrzebny, i mówił:

- Ci faceci nie potrzebują pracy ani związków z innymi ludźmi. -

Manus przeżuwał, wpatrując się w te czasopisma. Nabierając jajecznicę z samych białek, mówił: - Można w ten sposób żyć i umrzeć.

Potem jechałam do centrum, by doskonalić się w Szkole Modelek Taylora Robbertsa. Psy liżą swoje odbyty. Evie sama się

okalecza. Całe to gapienie się we własny pępek. Evie nie miała w domu nikogo, ale miała tony rodzinnych pieniędzy.

Kiedy po raz pierwszy pojechałyśmy miejskim autobusem do Brumbacha, dała kierowcy kartę kredytową i poprosiła o miejsce przy oknie. Martwiła się, że jej torba może być za duża do kabiny.

Ja i Manus albo ona sama, trudno powiedzieć, które z nas miało w domu gorzej.

Ale u Brumbacha Evie i ja ucinałyśmy sobie drzemki w dowolnej z tuzina idealnych sypialni. Wkładałyśmy watę między palce stóp i malowałyśmy sobie paznokcie, siedząc w eleganckich fotelach klubowych. Potem uczyłyśmy się z podręcznika modelowania Taylora Robbertsa przy długim, lśniącym stole obiadowym.

- Tutaj jest tak samo jak w tych imitacjach naturalnych środowisk w ogrodach zoologicznych - mówiła Evie. - Wiesz, te betonowe lody arktyczne albo lasy deszczowe z pospawanych rur, kryjących spryskiwacze.

Każdego popołudnia Evie i ja występowałyśmy w naszym własnym, osobistym nienaturalnym środowisku. Ekspedienci ulatniali się w poszukiwaniu seksu do męskiej toalety, a my syciłyśmy się uwagą publiczności w naszym własnym, małym świecie popołudniowych występów.

Jedyne, co pamiętam z Taylora Robbertsa, to, że kiedy idę, mam wysuwać biodra do przodu. Ramiona do tyłu. Przy reklamowaniu różnych produktów uczyli nas przeprowadzać niewidzialną linię od

siebie do przedmiotu. Przy opiekaczach prowadźcie w powietrzu linię od waszego uśmiechu do opiekacza.

Przy kuchence prowadźcie linię od swoich piersi. Przy nowym modelu samochodu ciągnijcie niewidzialną linię od swojej waginy. Istota zawodowego modelowania sprowadza się do tego, że za odpowiednią zapłatą reaguje się przesadnie na takie rzeczy, jak ciastka ryżowe albo nowe buty.

U Brumbacha pijałyśmy dietetyczną colę na wielkim różowym łożu. Albo siedziałyśmy przed toaletką, zmieniając sobie kształt twarzy za pomocą różu, podczas gdy słabo widoczny szpaler gapiów przyglądał się nam z mroku w odległości paru kroków. Czasem górne światła odbiły się w czyichś okularach.

Kiedy każdy nasz najmniejszy ruch zwracał uwagę, każdy gest, każde nasze słowo, łatwo było dać się ponieść urokowi tej popularności.

- Tu jest tak bezpiecznie i spokojnie - mówiła Evie, wyglądając różową, satynową kołdrę i wstrząsając poduszki. - Nic bardzo złego nie może ci się tu przydarzyć. Nie tak jak w szkole.

Albo w domu.

Przyglądali się nam jacyś całkowicie obcy faceci w płaszczach.

To jest tak samo jak z tymi wyznaniem w programach telewizyjnych - łatwo być szczerym, kiedy ma się odpowiednio dużo słuchaczy. Można powiedzieć wszystko, jeżeli słucha cię wystarczająco liczne audytorium.

- Evie, kochanie - mówiłam - w naszej grupie jest dużo gorszych

modelek. Musisz tylko bardziej rozetrzeć ten róż. - Przyglądałyśmy się sobie w lustrze toaletki, z tyłu obserwowały nas trzy rzędy gapiów.

- Masz, kochanie - mówiłam, podając jej małą gąbkę - wycieniuj to.

A Evie wybuchała płaczem. Przy dużym audytorium wszystkie emocje ulegają nasileniu. Albo śmiech, albo łzy, nic pośrodku. Te tygrysy w ogrodach zoologicznych pewnie przez cały czas przeżywają istne opery.

- Nie chodzi o to, że chcę zostać słynną modelką - mówiła Evie - tylko robi mi się smutno, kiedy pomyślę o swoim dorastaniu. - Evie stłumiła szloch. - Kiedy byłam mała - mówiła, ściskając tę małą gąbkę - rodzice chcieli, żebym była chłopcem.

- Nie chcę już nigdy być taka nieszczęśliwa - mówiła.

Kiedy indziej przychodziłyśmy na wysokich obcasach i udawałyśmy, że bijemy się po twarzach z powodu jakiegoś faceta.

W inne popołudnia wyznawałyśmy sobie, że jesteśmy wampirzycami.

- Tak - mówiłam - moi rodzice też mnie molestowali.

Trzeba grać pod publikę.

Evie kręciła włosy na palcach.

- Idę sobie przekłuć quiche - mówiła. - To jest ta fałdka skóry między odbytem a dolną częścią pochwy.

Ja rzucałam się na łóżko, pośrodku sceny, ściskając w objęciach poduszkę i wpatrując się w czarną płataninę przewodów wentylacyjnych i rur spryskiwaczy, zastępujących sufit sypialni.

- Nie, żeby mnie bili albo zmuszali do picia satanistycznej krwi czy czegoś takiego - mówiłam. - Ale bardziej kochali mojego brata, bo on był okaleczony.

Wtedy Evie wychodziła na środek sceny obok stolika nocnego w stylu wczesnoamerykańskim, żeby mnie usunąć w cień.

- Miałaś okaleczonego brata? - pytała.

Ktoś z gapiów odkaszlnął. Może światło odbiło się od jego zegarka.

- Tak, był dość mocno okaleczony, ale nie w jakiś seksualny sposób. Na szczęście wszystko skończyło się szczęśliwie - mówiłam. - Już nie żyje.

- Jak on był okaleczony? - dopytywała się Evie zaciekawiona.

- Czy to był twój jedyny brat? Młodszy czy starszy?

Na to ja zrywałam się z łóżka i potrząsałam włosami.

- Nie, to zbyt bolesne.

- Nie, naprawdę - nalegała Evie. - Pytam poważnie.

- Był starszy ode mnie o dwa lata. Miał całą twarz poparzoną po wypadku z lakierem do włosów i można by pomyśleć, że moi rodzice zapomnieli o swoim drugim dziecku. - Wycierałam oczy w poduszkę i mówiłam do słuchaczy: - No to wychodziłam ze skóry, żeby mnie pokochali.

- O, cholera! O, cholera! - mówiła Evie zapatrzona w przestrzeń. I jej aktorstwo, jej przekaz były tak prawdziwe, że gasiła mnie całkowicie.

- Tak - mówiłam. - On nie musiał się starać. On miał w życiu

łatwo. Samo to, że był poparzony i pochlastany bliznami, ściągało na niego całe uczucie.

Evie zbliżała się do mnie.

- I gdzie on teraz jest? - pytała. - Ten twój brat? Czy chociaż wiesz?

- Nie żyje - mówiłam i zwracałam się do publiczności:

- Zmarł na aids.

- Jesteś pewna? - dopytywała się Evie.

- Evie!

- Nie, naprawdę - mówiła ona. - Pytam, bo mam powód.

- Nie żartuje się na temat aids.

- To jest takie prawie niemożliwe - mówiła Evie.

To pokazuje, z jaką łatwością fabuła zaczyna żyć własnym życiem. Wobec wszystkich tych klientów, żądnych prawdziwego dramatu, oczywiście myślę, że Evie zmyśla.

- Ten twój brat - mówi - czy widziałaś na własne oczy, jak umiera? Naprawdę? Albo czy widziałaś go nieżywego? Wiesz, w trumnie, przy muzyce? Albo świadectwo zgonu?

Wszyscy ci ludzie słuchają.

- Tak - mówię. - Właściwie tak. Czy myślisz, że bym cię okłamywała?

Evie mnie dociska.

- Więc widziałaś go nieżywego czy nie?

Wszyscy ci ludzie słuchają.

- Umierającego.

- Gdzie? - pyta Evie.

- To jest zbyt bolesne - mówię i przechodzę przez scenę do saloniku.

Evie mnie nie odstępuje.

- Gdzie? - pyta.

- W hospicjum - mówię.

- W jakim hospicjum?

Przechodzę do następnego saloniku, do następnej jadalni, następnej sypialni, zestawu wypoczynkowego, gabinetu pracy, Evie depta mi po piętach, a za nami podąża całe audytorium.

- Wiesz, jak to jest - mówię. - Jeżeli nie widzisz geja przez dłuższy czas, to sprawa jest prawie pewna.

- Więc nie wiesz tak naprawdę, czy on umarł? - pyta Evie.

Szybkim krokiem przechodzimy przez następną sypialnię, salonik, pokój dziecięcy.

- To jest aids, Evie - mówię. - Kurtyna.

Wtedy Evie nagle staje.

- Dlaczego? - pyta.

Gapie zaczynają się rozchodzić we wszystkie strony.

Dlatego, że ja naprawdę, naprawdę, naprawdę chcę, żeby mój brat nie żył. Bo moi rodzice chcą, żeby on nie żył. Bo życie jest łatwiejsze, jeżeli on nie żyje. Bo wtedy ja jestem jedynym dzieckiem. Bo teraz jest moja kolej, do cholery. Moja kolej.

- Czemu to jest dla ciebie takie ważne? - pytam.

A Evie już odchodzi ode mnie, zostawia mnie samą i mówi:

- Bez powodu.

Zagubiona w swoim własnym zamkniętym kręgu, liżąc własny odbyt, mówi:

- Nic takiego. Nie ma o czym mówić.

Rozdział szósty

Na planecie Brandy Alexander wszechświatem rządzi dość skomplikowany układ bogów i bogiń. Niektórzy z nich są źli.

Inni są samą dobrocią. Marilyn Monroe, na przykład. Jest jeszcze Nancy Reagan i Wallis Warfield Simpson. Część tych bogów i bogiń nie żyje. Część żyje. Wielu z nich to chirurdzy plastyczni.

Układ ulega zmianom. Bogowie i boginie przychodzą i odchodzą albo przeskakują jedni nad drugimi, poprawiając swoją pozycję.

Abraham Lincoln przebywa w swoim niebie i zmienia nasz samochód w pachnącą nowością płynącą bańkę mydlaną, poruszającą się gładko niczym egzemplarz okazowy. Marlena Dietrich, mówi Brandy, zarządza teraz pogodą, teraz mamy jesień naszej melancholii. Niesie nas wzdłuż międzystanowej piątki pod szarym niebem, w granatowej trumnie wynajętego lincolna town car. Prowadzi Seth. Zawsze tak siedzimy, Brandy z przodu, ja z tyłu. Mamy przed sobą trzy godziny pięknego krajobrazu między Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej, a Seattle. Asfalt i spalanie wewnętrzne niosą nas i lincolna town car na południe.

Taka jazda jest jak oglądanie świata w telewizji. Elektryczne

szyby są szczelnie zamknięte, planeta Brandy Alexander ma więc atmosferę ciepłego, spokojnego, cichego błękitu. Temperatura wynosi dwadzieścia parę stopni i cały zewnętrzny świat drzew i skał przewija się w miniaturze za wypukłym szkłem.

Na żywo z satelity. Jesteśmy małym światem Brandy Alexander, mknącym przez to wszystko.

- Czy przyszło wam kiedyś do głowy, że życie jest metaforą telewizji? - pyta Seth, prowadząc, prowadząc.

Mamy zasadę, że kiedy Seth prowadzi, nie włączamy radia.

Chodzi o to, że kiedy puszcza piosenkę Dionne Warwick, Seth zaczyna strasznie płakać, płyną mu wielkie filmowe łzy, wstrząsają nim wielkie telewizyjne łkania. Jeżeli Dionne Warwick śpiewa piosenkę Burt Bacharacha, musimy zjeżdżać na pobocze, w przeciwnym wypadku kraksa murowana.

Te łzy, sposób, w jaki jego ciastowata twarz zatraciła ostre cienie, które gromadziły się pod jego brwiami i kośćmi policzkowymi, sposób, w jaki dłoń Setha ukradkiem ściska przez koszulę sutek, a przy tym szczęka mu opada i oczy wznoszą się w górę, to wszystko hormony. Sprężone estrogeny, premarin, estradiol, ethinyl estradiol, wszystko to znalazło się w dietetycznej coli Setha. Oczywiście istnieje niebezpieczeństwo uszkodzenia wątroby przy jego obecnych nieprawdopodobnych dawkach. Może już ma uszkodzoną wątrobę albo raka, albo zakrzepy, czyli zakrzepicę, jeżeli jesteś lekarzem, ale ja tam jestem gotowa podjąć to ryzyko. Przecież to wszystko dla draki. Patrzeć, jak mu rosną piersi. Widzieć, jak jego, tak pociągające

dziewczyny, zawadiactwo obrasta tłuszczkiem i jak zaczyna ucinać sobie po południu drzemki. Wszystko to bardzo piękne, ale gdyby zginął, mogłabym zainteresować się czymś innym.

- Czy nie myślicie, że w pewien sposób telewizja robi z nas Boga? - pyta Seth, prowadząc, prowadząc.

Te introspekcje to u niego coś nowego. Zarost mu pojaśniał.

To widocznie skutek antyandrogenów tłumiących jego testosteron. Retencją wody może się nie przejmować. Zmiany nastrojów. W lusterku wstecznym łza wymyka mu się z oka i sływa po policzku.

- Czy tylko ja jeden przejmuję się tymi sprawami? - pyta.

- Czy tylko ja w tym samochodzie odczuwam coś prawdziwego?

Brandy czyta książkę w miękkiej oprawie. Zazwyczaj Brandy czyta jakieś błyszczące broszury reklamowe chirurgów plastycznych o waginach z kolorowymi zdjęciami, demonstrującymi, jak powinna być ustawiona cewka moczowa, żeby strumień moczu kierował się idealnie w dół. Inne zdjęcia pokazują, jak powinna być okryta fałdem skórnym wysokiej jakości lechtaczka. To są pięciocyfrowe waginy po dziesięć i dwadzieścia tysięcy dolarów, lepsze od naturalnych i zwykle Brandy wszystkie te zdjęcia pokazuje.

Przeskok o trzy tygodnie wstecz, kiedy wizytowaliśmy wielkie domostwo w Spokane, w stanie Waszyngton. Znajdowaliśmy się w granitowym pałacu na South Hill, a Spokane rozpościerało się przed oknami łazienki. Wytrząsałam z brązowej buteleczki percodany do specjalnej kieszeni na percodany w mojej torbie.

Brandy Alexander myszkowała pod umywalką w poszukiwaniu pilnika do paznokci i znalazła tę książkę.

Teraz wszyscy inni bogowie i boginie zostali zaćmieni nowym bóstwem.

Przeskok na Seta, który gapi się w lusterku wstecznym na moje piersi.

- Telewizja naprawdę robi z nas Boga - mówi.

Pokaż mi tolerancję.

Błysk.

Pokaż mi zrozumienie.

Błysk.

Nawet po wszystkich tych tygodniach, które spędziliśmy razem w podróży, wspaniałe, niewinne niebieskie oczy Seta unikają moich oczu. Może sobie darować te swoje nowe rzewne introspekcje. Jego oczy zdradzają już skutki uboczne środków doustnych, rogówki tak się uwypukliły, że nie chcą mu się trzymać soczewki kontaktowe. To pewnie działanie mieszanki estrogenów w porannym soku pomarańczowym, ale na to też może nie zwracać uwagi.

To najwidoczniej androcur w mrożonej herbacie przy lunchu, ale w tym nigdy się nie zorientuje. Nigdy mnie nie złapie.

Brandy Alexander, jej stopy w nylonowych pończochach na tablicy rozdzielczej, superkrólowa czyta swoją powieść.

- Kiedy oglądasz seriale w dzień - mówi Seth - możesz sobie patrzeć, na kogo chcesz. Na każdym kanale jest jakieś inne życie i prawie co godzina to życie się zmienia. Tak samo jak w programach

na żywo w sieci. Można sobie oglądać cały świat, a on nic o tym nie wie.

Brandy czyta tę książkę od trzech tygodni.

- Telewizja pozwala ci podglądać nawet erotyczne epizody życia każdego człowieka - mówi Seth. - Czyż to nie ma głębokiego sensu?

Może, ale tylko, jeżeli łykasz codziennie pięćset miligramów mikronizowanego progesteronu.

Parę minut krajobrazu przesuwa się za szybą. Jakieś piętrzące się góry, stare martwe wulkany, przeważnie rzeczy z rodzaju tych, które znajdują się na dworze. Ponadczasowe przyrodnicze cuda przyrody. Surowce w stanie pełnej surowości. Bez ulepszaczy. Nieregulowane rzeki. Zapuszczone góry. Brud. Rośliny rosnące w brudnej ziemi. Pogoda.

- A jeśli wierzysz, że fantastycznie rozporządzamy wolną wolą, to wiesz, że Bóg naprawdę nie ma nad nami władzy - mówi Seth. Dłonie Seta nie trzymają kierownicy, tylko trzepoczą, uzupełniając jego słowa. - A skoro Bóg nie ma nad nami władzy - mówi - to może nas tylko oglądać i zmieniać kanały, kiedy się znudzi.

Gdzieś tam w niebie żyjemy na wideo w sieci, żeby Bóg mógł sobie surfować.

Film o Brandy.

Brandy, jej sandały na podłodze, ślini palec wskazujący i powoli odwraca stronę.

Starożytne naskalne rysunki aborygenów i wszelkie śmiecie śmigają za oknem.

- Chodzi mi o to - mówi Seth - że może telewizja robi z nas Boga - mówi Seth. - I możliwe, że jesteśmy tylko telewizją Boga.

Na zwirowym poboczu jakieś łosie czy coś takiego człapią przed siebie na czworakach.

- Albo Świętego Mikołaja - mówi Brandy z nosem w książce.

- Święty Mikołaj widzi wszystko.

- Święty Mikołaj to tylko bajka - mówi Seth. - Łączę na Boga.

Święty Mikołaj nie istnieje.

Przeskok do polowania na narkotyki trzy tygodnie wcześniej w Spokane, w stanie Waszyngton, kiedy Brandy Alexander zaległa w głównej sypialni i zaczęła czytać. Ja tymczasem zgarnęłam trzydzieści dwa nembutale. Trzydzieści dwa nembutale powędrowały do mojej torby. Ja tego nie biorę. Brandy wciąż czytała. Wypróbowałam na grzbiecie dłoni wszystkie szminki, a Brandy wciąż leżała oparta na setkach koronkowych poduszek pośrodku ogromnego wodnego łóżka. Nadal czytała.

Schowałam do torby przeterminowany estradiol i pół sztyftu grafitowej szminki. Pośrednik od nieruchomości krzyczał z dołu, pytając, czy wszystko w porządku.

Przeskok na nas na międzystanowej numer pięć z billboardem za oknem.

Zdrowe jedzenie i rodzinne ceny w kawiarni Zajazdu Karvera

Przeskok do miejsca w Spokane, gdzie nie ma ciemnofioletowego cienia ani różu Rdzawa Róża, ani Bakłażanowych Marzeń.

On nie chce nas przynaglać, wołał z dołu pośrednik, ale może chcemy się czegoś dowiedzieć? Czy mamy jakieś pytania?

Wetknęłam głowę do sypialni, gdzie na wodnym łóżku z białą kołdrą leżała zaczytana Brandy Alexander i gdyby nie oddech, można by sądzić, że nie żyje.

Och, ten liliowy atlas spódnicy, wykończony sznurem drobnych perełek.

Och, ten podwójny bursztynowy kaszmir, obszyty fasetowanymi piórkami marabuta w kolorze topazu.

Och, to lśniące bojerko z nerek.

Musimy iść.

Brandy przytuliła otwartą książkę do sterczących torped swoich cycków. Twarz w kolorze Rdzawej Róży, otoczona chmurą kasztanowych włosów na koronkowej poduszce, jej bakłażanowe oczy są rozszerzone jak po przedawkowaniu thorazyny.

Przede wszystkim muszę wiedzieć, co ona brała.

Miękka okładka książki przedstawiała ładną blond laskę.

Szczupłą jak makaron. Z ładnym, wąskim półuśmiechem. Jej włosy wyglądały jak satelitarne zdjęcie huraganu Blondynka przy zachodnim wybrzeżu jej twarzy. A miała twarz greckiej bogini z długimi rzęsami, z wielkimi podkreślonymi eyelinerem oczami, takimi samymi, jak miały Betty i Veronica, i wszystkie pozostałe dziewczyny Archiego w naszej szkole w Riverdale. Na rękach i na szyi ma sznury białych pereł. Tu i ówdzie błyska coś, co może być brylantem.

Na okładce widnieje tytuł Miss Rona.

Sandały Brandy Alexander ubrudziły białą kołdrę na wodnym łóżku.

- Odkryłam, kto jest prawdziwym Bogiem - powiedziała Brandy. Pośrednik był oddalony o dziesięć sekund.

Przeskok na wszystkie cuda natury migające za oknem, króliki, wiewiórki, spadające wodospady. I to jest najgorsze. Susły kopiące pod ziemią podziemne nory. Ptaki gniazdujące w gniazdach.

- Księżna Be A jest Bogiem - mówi do mnie Seth w lusterku wstecznym.

Przeskok do miejsca, kiedy pośrednik w Spokane krzyczy do nas z dołu. Właściciele granitowego zamku podjeżdżali do domu.

- Rona Barrett. Rona Barrett jest moją nową Najwyższą Istotą - powiedziała Brandy Alexander z rozszerzonymi źrenicami i z zamierającym oddechem.

Przeskok do Brandy w lincolnie, jak mówi:

- Rona Barrett jest Bogiem.

Wszędzie wokół nas szerzy się erozja i owady pożerają świat, nie wspominając o ludziach i skażeniach. Wszystko ulega biodegradacji, czy się do tego przyczyniasz, czy nie. Sprawdzam, czy mam w torbie dość spironolactonu na popołudniową przekąskę dla Seta. Mijamy kolejny billboard:

Pyszne magiczne otręby - weź do ust coś dobrego - W swojej autobiografii pod tytułem Miss Rona - zeznaje Brandy Alexander - wydanej przez Bantam Books w porozumieniu z Nash Publishing Corporation na Sunset Boulevard w Los Angeles, w stanie

Kalifornia... - tu Brandy bierze głęboki wdech pachnącego nowym samochodem powietrza -...copyright 1974, Miss Rona opowiada nam, jak zaczynała życie jako mała gruba Żydówka w Queens z wielkim nosem i tajemniczą chorobą układu mięśniowego.

- Ta mała gruba czarnula - mówi Brandy - przekształca się w blond supergwiazdę z pierwszych stron gazet, którą męski symbol seksu błaga, żeby pozwoliła wsunąć mu w siebie penisa choć na jeden cal.

Nikt z nas już nie ma ojczystego języka.

Kolejny billboard:

Następna lodziarnia: Domagaj się mlecznego deseru Tootera!

- Przez co ta kobieta przeszła! - mówi Brandy. - Tutaj, na stronie sto dwudziestej piątej omal nie utopiła się we własnej krwi! Rona miała wtedy operację nosa. Płacono jej tylko po pięćdziesiąt dolarów za opowiadanie, ale ta kobieta potrafiła zbierać tysiąc dolarów na operację nosa! To był jej pierwszy cud.

Więc Rona jest w szpitalu po tej operacji, z głową obandażowaną jak mumia, kiedy odwiedza ją znajomy i mówi, że w Hollywood uważają ją za lesbijkę. Miss Rona i lesbijka! Oczywiście, że to nieprawda. Ta kobieta jest wcieleniem kobiecości, zaczyna więc krzyczeć i krzyczy, i krzyczy, aż pęka jej arteria w gardle.

- Alleluja - mówi Seth, znowu cały we łzach.

- A tutaj - Brandy ślini swój wielki palec wskazujący i przerzuca kilka stron - na stronie dwieście dwudziestej drugiej Rona zostaje ponownie porzucona przez łajdaka partnera od jedenastu lat. Miała od

kilku tygodni kaszel, połknęła więc garść pigułek i znaleziono ją półprzytomną i umierającą. Nawet kierowca...

- Bogu niech będą dzięki - mówi Seth.

Różne miejscowe rośliny rosną sobie, gdzie popadło.

- Seth, kochanie - mówi Brandy. - Nie przerywaj mi - mówią jej grafitowe usta. - Nawet kierowca karetki myślał, że dowiezie trupa.

Chmury złożone z pary wodnej znajdują się, no wiesz, na niebie.

- Teraz, Seth - mówi Brandy.

- Alleluja! - odpowiada Seth.

Dzikie stokrotki i indiańskie pędzle migające za oknem to tylko genitalia różnych form życia.

- To co mówiłaś? - odzywa się Seth.

- W tej książce Miss Rona, copyright z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego - mówi Brandy - Rona Barrett, której wyrosły ogromne piersi, kiedy miała dziewięć lat, i chciała je sobie obciąć nożyczkami, pisze w prologu do swojej książki, że czuje się jak ten królik w czasie wiwisekcji, z otwartym brzuchem, wszystkie wnętrzności błyszczą i drżą, wicie, w rodzaju wątroby i jelita grubego. Taka demonstracja, wszystko ocieka krwią i pulsuje. W każdym razie mogłaby poczekać, aż ktoś przyjdzie i ją zaszyje, ale wie, że nie ma na kogo liczyć. Musi wziąć igłę z nitką i sama sobie poradzić.

- Ohydne - mówi Seth.

- Miss Rona twierdzi, że nie ma rzeczy ohydnych - mówi Brandy. - Miss Rona pisze, że jedyna droga do prawdziwego szczęścia

polega na podjęciu ryzyka całkowitego rozcięcia.

Wygląda na to, że stadka pochłoniętych sobą lokalnych ptaszków mają obsesję na punkcie poszukiwania jedzenia i podnoszą je ustami.

Brandy przestawia lusterko wsteczne tak, żebym się w nim znalazła.

- BubbaJoan, kochanie?

Wszystko wskazuje na to, że miejscowe ptaki same muszą sobie budować gniazda własnej roboty, korzystając z dostępnych w okolicy materiałów. Patyczki i liście są zrzucone na stos.

- BubbaJoan - mówi Brandy Alexander. - Może byś się tak otworzyła przed nami i coś o sobie opowiedziała?

- Pamiętacie, jak w Missoula księżna tak się nawaliła, że najadła się owiniętych w złotą folię czopków nebalino, bo myślała, że to migdały w czekoladzie? - pyta Seth. - I co tu mówić o półprzytomnych pasażerkach karetek.

Sosny wytwarzają szyszki. Wiewiórki i inne ssaki wszystkich płci spędzają całe dni, próbując zorganizować sobie kopulację.

Albo urodzić młode. Albo je pożreć.

- Seth, kochanie? - odzywa się Brandy.

- Tak, mamusiu.

To, co tylko wygląda jak bulimia, to sposób, w jaki amerykańskie orły karmią swoje młode.

- Jak to jest, że musisz uwodzić każde napotkane stworzenie?

- pyta Brandy.

Kolejny billboard:

Nubby barbecue: Tu musisz się zatrzymać na soczyste, pachnące skrzydełka z grilla

Kolejny billboard:

Mleczny przysmak - guma o smaku dietetycznego prawdziwego sera

Seth chichocze. Seth czerwieni się i okręca włosy wokół palca.

- Mówisz, jakbym był seksualnie nieodparty.

Litości. W porównaniu z nim czuję się babochłopem.

- Mój mały - mówi Brandy - ty nie pamiętasz połowy osób, z którymi byłeś. Cóż - mówi - ja mogę tylko marzyć, żeby zapomnieć.

- Pytamy innych ludzi, jak spędzili weekend, tylko po to, żeby im opowiedzieć, jak my spędziliśmy nasz - mówi Seth do moich piersi w lusterku wstecznym.

Myślę, że jeszcze kilka dni zwiększonych dawek tego mikronizowanego progesteronu i Sethowi powinna wyskoczyć własna para pięknych cycków. Uboczne efekty, na które powinnam zwracać uwagę, to mdłości, wymioty, żółtaczka, migrena, skurcze mięśni brzucha i zawroty głowy. Próbuję pamiętać dokładne dawki powodujące zatrucie, ale co tam.

Mijamy tablicę: Seattle 130 mil.

- Dalej, zobaczmy te połyskujące, drżące wnętrzości, BubbaJoan - rozkazuje Brandy Alexander, Bóg i matka nas wszystkich. - Podziel się z nami swoją osobistą ohydłą opowieścią.

- Wywal, co tam masz. A potem się zaszyj. - I wręcza mi

bloczek z receptami i kredkę do brwi o nazwie Bakłażanowe Marzenia.

Rozdział siódmy

Przeskok wstecz do ostatniego Dnia Dziękczynienia przed moim wypadkiem, kiedy przyjeżdżam do domu, żeby zjeść obiad z rodzicami. Wtedy miałam jeszcze twarz, nie było więc problemu z pokarmami w stanie stałym. Na świątecznym stole leży obrus, którego nie pamiętam, naprawdę piękny obszuty koronką granatowy adamaszek. Nie spodziewałabym się, że mama kupi coś takiego, spytałam więc, czy ktoś dał jej to w prezencie.

Mama przysuwa się do stołu i rozkłada granatową adamaszkową serwetkę, a między nami, to jest nią, mną a moim tatą, wszystko paruje. Słodkie ziemniaki pod warstwą pasty ślazowej.

Wielki brązowy indyk. Bułki w pikowanym ocieplaczu w kształcie kury. Żeby wyjąć bułkę, podnosi się skrzydła. Jest kryształowa tacka ze słodkimi marynatami i selerami nadziewanymi masłem orzechowym.

- Co mi dał? - pyta mama.

Ten nowy obrus. Jest naprawdę piękny.

Ojciec wzdycha i wbija nóż w indyka.

- Z początku to nie miał być obrus - mówi mama. - Twój ojciec i ja zrezygnowaliśmy z naszego pierwotnego planu.

Nóż zadaje cios za ciosem i ojciec zaczyna dzielić indyka.

- Czy wiesz, co to jest kapa ku czci ofiar aids? - pyta mama.

Przeskok na to, jak nienawidzę w tej chwili brata.

- Kupiłam ten materiał, bo pomyślałam, że to będzie ładna kapa dla Shanea - mówi mama. - Kiedy się zastanawialiśmy, jak ją ozdobić, pojawiły się problemy.

Pokaż mi amnezję.

Błysk.

Pokaż mi nowych rodziców.

Błysk.

- Twoja matka nie chciała nikomu nadebrać na odcisk - mówi tata, po czym ukręca nogę i zaczyna zeskrobywać mięso na talerz. - Z gejami trzeba bardzo uważać, bo w ich tajnym kodzie wszystko coś znaczy. Chodzi o to, że nie chcieliśmy nikogo wprowadzać w błąd.

Mama nachyla się, żeby mi nałożyć ziemniaków.

- Twój ojciec chciał dać czarne obramowanie, ale czarne na granatowym oznaczałoby, że Shane był miłośnikiem skóry, wiesz, bondage i dyscyplina, sadomasochizm. Te kapy mają pomagać tym, którzy zostali - mówi.

- Obcy ludzie widzieliby nas i nazwisko Shane'a - mówi tata.

- Nie chcieliśmy, żeby sobie nie wiadomo co myśleli.

Półmiski zaczynają krążyć wokół stołu zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Nadzienie. Oliwki. Żurawina.

- Chciałam dać różowe trójkąty, ale na wszystkich kapach są różowe trójkąty - mówi mama. - To nazistowski symbol na oznaczenie homoseksualistów. Twój ojciec - mówi - proponował czarne trójkąty, ale to by znaczyło, że Shane był lesbijką. To wygląda jak kobiece

włosy łonowe. Ten czarny trójkąt.

- Potem chciałem dać obramowanie zielone - mówi mój ojciec - ale jak się okazało, to by znaczyło, że Shane był męską prostytutką.

- Prawie już wybraliśmy czerwone obramowanie - mówi mama - ale to by znaczyło fisting. Brązowe oznaczałoby albo skatologię, albo rimming, nie mogliśmy ustalić co.

- Żółty - mówi mój ojciec - oznacza sporty wodne.

- Niebieski - mówi mama - oznaczałby normalny seks oralny.

- Biały - mówi mój ojciec - oznaczałby seks analny. Kolor biały mógłby też oznaczać, że Shane podniecał się mężczyznami w damskiej bieliźnie. Nie pamiętam już co.

Matka podaje mi pikowaną kurę z nadal ciepłymi bułkami w środku.

Mamy siedzieć i jeść z trupem Shane'a na stole przed naszymi nosami.

- W końcu zrezygnowaliśmy - mówi mama - i zrobiłam z tego materiału ładny obrus.

Tata spogląda na swój talerz między półmiskami ziemniaków i nadzieniem.

- Czy wiesz, co to jest rimming. - pyta.

Wiem, że nie mówi się o tym przy jedzeniu.

- Afisting? - pyta moja mama.

Mówię, że wiem. Nie wspominam Manusa i jego zawodowych pornosów.

Siedzimy tam wszyscy wokół granatowego całunu z indykiem,

który jest bardziej niż kiedykolwiek upieczonym trupem dużego zwierzęcia z nadzieniem pełnym wciąż rozpoznawalnych organów, serce, żołądek i wątroba, sos gęsty od gotowanego tłuszczu i krwi. Kwiaty pośrodku stołu mogłyby równie dobrze leżeć na trumnie.

- Możesz mi podać masło, proszę? - mówi moja matka. A ojca pyta: - Czy wiesz, co to jest felching?

Tego już za dużo. Shane nie żyje, ale jest teraz bardziej w centrum uwagi niż kiedyś. Rodzice dziwią się, że ich nie odwiedzam, i to jest właśnie powód. Cała ta chora, okropna rozmowa o seksie przy świątecznym obiedzie. W Dniu Dziękczynienia nie trawię tego. Cały czas Shane to i Shane tamto. To smutne, że Shane nie żyje, ale to nie moja wina. Wiem, wszyscy myślą, że to przeze mnie. Prawda jest taka, że to Shane zniszczył tę rodzinę. Shane był zły i miał paskudny charakter, a teraz nie żyje. A ja jestem dobra i posłuszna, i nikt na mnie nie zwraca uwagi.

Milczenie.

Miałam wtedy czternaście lat. Ktoś przez pomyłkę wyrzucił do śmieci pełen pojemnik lakieru do włosów. Palenie śmieci należało do Shane'a. On miał piętnaście lat. Wrzucał śmieci z kuchni do metalowej beczki, w której paliły się już śmieci z łazienki, i lakier do włosów wybuchł. To był wypadek.

Milczenie.

Chciałam, żeby teraz moi rodzice rozmawiali o mnie. Opowiedziałabym im, jak Evie i ja kręciłyśmy nową inforeklamę. Jak rozwija się moja kariera modelki. Chciałabym im opowiedzieć o

moim nowym chłopaku Manusie, ale nie. Dobry czy zły, żywy czy martwy, Shane nadal skupia na sobie całą uwagę. Mnie zawsze zostaje tylko złość.

- Słuchajcie - mówię. To się ze mnie wyrywa. - Ja - mówię - jestem waszym ostatnim dzieckiem pozostałym przy życiu, lepiej więc zacznijcie mi poświęcać trochę uwagi.

Milczenie.

- A jeśli chodzi o felching... - zniżam głos i jestem teraz spokojna. - Felching to jest kiedy facet pierdoli drugiego faceta w dupę bez gumki. Spuszcza się, a potem przykładła usta do odbytu i wysysa swoją własną ciepłą spermę i co tam się jeszcze znajduje. To jest felching.

Milczenie.

Pokaż mi opanowanie. Pokaż mi spokój. Pokaż mi powściągliwość.

Błysk.

Bataty są takie jak lubię, cukrowo słodkie, ale z chrupiącą skórką. Nadzienie jest trochę za suche. Podaję matce masło.

Ojciec odchrząkuje.

- Myślę, że twojej matce chodziło o słowo fletching, co oznacza krojenie indyka na bardzo cienkie plastry.

Milczenie.

- To przepraszam - mówię.

Jemy.

Rozdział ósmy

Nie spodziewaj się, że kiedyś opowiem rodzicom o swoim wypadku. Wiesz, międzymiastowy atak płaczu o pocisku i izbie przyjęć. Nic z tych rzeczy. Kiedy już mogłam utrzymać długopis, napisałam starym, że wyjeżdżam do Canciin w Meksyku na zdjęcia do katalogu Espre.

Sześć miesięcy zabawy, piasku, a ja próbuję wyssać cząstki cytryny z długich szyjek meksykańskiego piwa. Faceci uwielbiają patrzeć, jak dziewczyny to robią. Wiadomo, faceci.

Ona uwielbia rzeczy od Espre, odpisuje mi moja matka. Pisze, że skoro będę w katalogu Espre, to może mogłabym załatwić jej rabat przy zamówieniu na Boże Narodzenie.

Przepraszam, mamusiu. Przepraszam, Panie Boże.

Pisze mi kartkę: „Bądź dla nas piękna. Kochamy Cię, całuski”.

Zwykle jest dużo lepiej, jeżeli świat nie wie, co się stało. Moi starzy nazywają mnie Kuleczką. Byłam taką „kuleczką” w brzuchu mamy przez dziewięć miesięcy i mówili na mnie Kuleczka jeszcze przed moim narodzeniem. Mieszkają o dwie godziny jazdy ode mnie, ale nigdy ich nie odwiedzam. Przecież nie muszą wiedzieć o mnie zaraz wszystkiego.

W jednym liście mama napisała:

„Z Twoim bratem przynajmniej wiemy, czy żyje, czy nie”.

Mój świętej pamięci brat, król pedałów. We wszystkim uznawany za najlepszego. Król koszykówki, aż w wieku szesnastu lat

zbadali go na zapalenie gardła i okazało się, że to rzeżączka.

Wiem tylko, że go nienawidziłam.

„To nie jest tak, że cię nie kochamy - pisze mi mama w jednym z listów - tylko Ci tego nie okazujemy”.

Poza tym histeria jest możliwa tylko przed publicznością.

Wiesz, co musisz zrobić, żeby przeżyć. Starzy tylko cię roztrzęsą swoimi reakcjami, że niby jakie to okropne, co się stało. Najpierw ludzie w izbie przyjęć przepuszczają cię bez kolejki. Potem wrzeszczy ta zakonnica. A potem policja ze swoim raportem.

Przeskok do czasu, kiedy byłeś małym dzieckiem i mogłaś jeść tylko niemowlęce zupki. Tuptałaś do małego stolika. Musisz przebierać tymi nóżkami jak parówki, żeby nie upaść. Wreszcie dochodzisz do stolika i walisz tą wielką, miękką główką o kant blatu.

Leżysz i jejku, jejku, to boli. Ale nie jest to jeszcze żadna tragedia, póki nie przybiegną mama z tatą.

Och, biedne, dzielne maleństwo.

Dopiero wtedy wybuchasz płaczem.

Przeskok na Brandy, mnie i Setha, jak wjeżdżamy na szczyt Kosmicznej Iglicy w Seattle, w stanie Waszyngton. To jest nasz pierwszy przystanek od kanadyjskiej granicy, nie licząc krótkiego postoju, żebym mogła pobiec i kupić Sethowi kawę - śmietanka, cukier i chmara, i jeszcze coca cola z dodatkiem estrace, bez lodu. Jest jedenasta, Kosmiczną Iglicę zamykają o północy, a Seth mówi, że na świecie są dwa rodzaje ludzi.

Księżna Alexander chciała znaleźć najpierw przyzwoity hotel, ze

strzeżonym parkingiem i kafelkami w łazience. Moglibyśmy się zdrzemnąć, zanim księżna będzie musiała wyjść i sprzedawać narkotyki.

- Gdybyście brały udział w teleturnieju - mówi Seth o tych dwóch typach ludzi. Seth już zjechał z autostrady i przejeżdżamy między ciemnymi magazynami, kierując się w stronę ukazującej się co jakiś czas Kosmicznej Iglicy. - Więc zwyciężasz w tym teleturnieju i masz do wyboru pięcioczęściowe wyposażenie pokoju dziennego od Broyhilla, sugerowana cena detaliczna trzy tysiące dolarów albo... dziesięciodniowa wycieczka do uroków starego świata w Europie.

Większość osób, mówi Seth, wybrałaby meble.

- Po prostu ludzie chcą mieć dowód swojego sukcesu - mówi Seth. - Jak faraonowie ze swoimi piramidami. Gdyby dać im wybór, bardzo niewiele osób wybrałoby wycieczkę, nawet jeżeli mają już ładnie urządzone pokój dzienny.

Nikt nie parkuje na ulicach wokół centrum Seattle, wszyscy siedzą w domu i oglądają telewizję albo są telewizją, jeżeli ktoś wierzy w Boga.

- Pokażę wam, gdzie skończyła się przyszłość - mówi Seth.

- Chcę, żebyśmy byli tymi nielicznymi, którzy wybierają wycieczkę.

Według Seta przyszłość skończyła się w roku 1962 podczas Wystawy Światowej w Seattle. Tu jest wszystko, co mieliśmy odziedziczyć: człowiek na Księżycu w tym dziesięcioleciu - azbest jest naszym cudownym przyjacielem - napędzanym energią nuklearną

i paliwami kopalnymi świat Ery Kosmicznej, w którym możesz odwiedzić apartamentowiec Jetsonów w kształcie latającego spodka, a potem kolejką jednoszynową pojechać do śródmieścia na wystawę zabawnych kapeluszy w Bon Marche.

Wszystkie te nadzieje, nauka, badania i świetność leżą tutaj w ruinie:

Kosmiczna Iglica.

Centrum Naukowe z jego azurowymi kopułami i wiszącymi kulami latarni.

Pędząca kolejka jednoszynowa, kryta polerowanym aluminium.

Tak miało wyglądać nasze życie.

Jedźcie tam. Wybierzcie się na wycieczkę, mówi Seth. To złamie wasze serca, bo to jest tak, jakby Jetsonowie ze swoją mechaniczną służącą Rosie, z latającymi samochodami i składanymi łózkami, które ich rano zrzucają, podnajęli Kosmiczną Iglicę Flintstonom.

- Wiecie - mówi Seth - Fredowi i Wilmie. Zsyp na odpadki w postaci świni leżącej pod zlewem. Wszystkie ich meble zrobione z kości i gładów, abażury ze skóry tygrysa. Wilma używa jako odkurzacza młodego słonika i wstrząsa poduszki z kamieni. Swoje dziecko nazwali „Kamyczkiem”.

Tu była nasza przyszłość: aerozole, styropian, Club Med na księżycu, ser i rostbef podawany z tubki.

- Superatrakcja - mówi Seth - śniadanie z astronautami.

A teraz przychodzą tu ludzie w sandałach własnej roboty, broń

Boże, ze skóry. Dają dzieciom imiona Zilpa i Zebulon ze Starego Testamentu. Jedzą soczewicę.

Seth chlipie i ociera z oczu łzy. To tylko estrace. Chyba będzie miał okres.

- Ludzie, którzy teraz wjeżdżają na Kosmiczną Iglicę, moczą w domu soczewicę i snują się po ruinach przyszłości jak barbarzyńcy, kiedy znajdowali szczątki greckich budowli i mówili sobie, że widocznie wznieśli je bogowie.

Seth parkuje pod jedną z trzech potężnych nóg Kosmicznej Iglicy. Wsiadamy i patrzymy w górę na te nogi Kosmicznej Iglicy, na dolną restaurację, na tę wyższą restaurację, która się obraca, i na taras widokowy na samej górze. Wyżej są już tylko gwiazdy.

Przeskok na smutny moment, kiedy kupujemy bilety i wsiadamy do wielkiej szklanej windy, która jeździ środkiem Kosmicznej Iglicy. Mamy gogo dancing w tej szklanomosiężnej klatce jadącej do gwiazd. Chcę w drodze słyszeć hypoalergeniczną muzykę „Telestaru”, nietkniętą ludzką ręką. Cokolwiek generowanego komputerowo i wykonywanego na syntezatorze Mooga. Chcę zatańczyć fruga podczas party na pokładzie rejsowego lotu na Księżyc, gdzie fajni faceci i dziewczyny przygotowują w stanie nieważkości tłuczone ziemniaki i zajadają się pysznymi pigułkami.

Tego chcę.

Mówię o tym Brandy Alexander, a ona natychmiast podchodzi do szklanomosiężnych okien i robi fruga, choć przy jeździe w górę grawitacja sprawia, że wygląda to jak taniec na Marsie, gdzie

człowiek waży osiemset funtów.

Smutne jest to, że windziarz w poliestrowym uniformie nie zauważa całej sprawy przyszłości. Cała radość, radość, radość chwili przechodzi mu koło nosa i facet patrzy na nas, jakbyśmy byli szczeniakami wystawionymi za szybą w supermarkecie. Jakbyśmy mieli zaropiałe oczka i odbyty i człowiek wie, że nigdy już nie zrobią porządnej kupy, ale mimo to są na sprzedaż po sześćset dolarów sztuka. Te szczeniaki są tak smutne, że nawet grube dziewczyny z kiepską trwałą godzinami pukają w szybę i mówią:

„Kocham cię, maleńki. Mamusia cię kocha, mój mały”.

Niektórzy ludzie nie zauważają przyszłości.

Przeskok na taras widokowy na szczycie Kosmicznej Iglicy, skąd nie widać stalowych nóg i jest tak, jakby się unosiło nad Seattle w latającym spodku z mnóstwem pamiątek na sprzedaż. Niestety, większość tych pamiątek nie pochodzi z przyszłości. Są tu ekologiczne Tshirty, batik i farbowane w supłach ciuchy z naturalnej bawełny, których nie wolno prać z niczym innym, bo te kolory puszczają. Kasety z nagraniem głosami kopulujących wielorybów. Inne rzeczy, których nienawidzę.

Brandy wyrusza na poszukiwanie zabytków i artefaktów z przyszłości. Akrylu. Pleksiglasu. Aluminium. Styropianu.

Radu.

Seth podchodzi do bariery, wychyla się nad siatką antysamobójczą i słuwa. Plwocina spada do dwudziestego pierwszego wieku. Wiatr rozwiewa mi włosy w ciemność i Seattle, a

moje dłonie zaciskają się do białości na stalowej barierze, z której jakieś milion rąk przede mną całkowicie starło farbę.

Wewnątrz ubrania zamiast płyt twardych mięśni, które podniecały mnie do szaleństwa, fałda tłuszczu wypycha mu koszulę nad paskiem. To premarin. Jego seksowny popołudniowy zarost zanika pod wpływem provery. Nawet palce mu spuchły, co widać wokół dawnego pierścienia za osiągnięcia sportowe.

Fotograf w mojej głowie mówi:

Pokaż mi spokój.

Błysk.

Pokaż mi ulgę.

Błysk.

Seth podciąga swoje chłonna wodę ciało, żeby usiąść na barierze. Jego mokasyny z frędzelkami bujają się nad siatką. Jego krawat powiewa nad pustką i ciemnością.

- Zupełnie się nie boję - mówi. Prostuje jedną nogę i pozwala mokasynowi zawisnąć na samych palcach.

Przytrzymuję woale blisko szyi - niech nieznajomi podobnie jak moi rodzice myślą, że nadal jestem szczęśliwa.

- Po raz ostatni bałem się tej nocy, kiedy mnie przyłapałaś, jak próbuję cię zabić - mówi Seth, po czym uśmiecha się, patrząc na światła Seattle.

Wiesz, ja też bym się uśmiechnęła, gdybym miała wargi.

W przyszłości, na wietrze, w ciemnościach na tarasie widokowym na szczycie Kosmicznej Iglicy Brandy Alexander, ta

markowa superkrólowa, przynosi Sethowi i mnie pamiątki z przyszłości. Pocztówki. Brandy Alexander wręcza każdemu z nas stosik pocztówek, tak wyblakłych i wymiętoszonych, tyle razy branych do ręki i odkładanych, że przeżyły w tyle obrotowego stojaka przez lata. Oto są fotografie przyszłości z czystym, wybielonym słońcem niebem za Kosmiczną Iglicą w dniu otwarcia. Oto kolejka jednoszynowa pełna uśmiechniętych dziewcząt w różowych moherowych kostiumach a la Jackie Kennedy z trzema wielkimi, obciążanymi materiałem guzikami z przodu.

Dzieciaki w Tshirtach w paski z blond główkami, ostrzyżonymi na astronautę, biegają po Centrum Nauki, w którym działają jeszcze wszystkie fontanny.

- Powiedzcie światu, czego się najbardziej boicie - mówi Brandy i daje nam po fioletowej kredce do brwi. - Ratujcie świat jakąś radą z przyszłości - mówi.

Seth pisze na odwrocie kartki i wręcza ją Brandy do przeczytania.

- „W teleturniejach - czyta Brandy - niektórzy ludzie wybierają wycieczkę do Francji, ale większość wybiera pralkosuszarkę”.

Brandy przybija wielki grafitowy pocałunek w miejsce znaczka i pozwala wiatrowi porwać pocztówkę i ponieść ją w kierunku wieżowców w centrum Seattle.

Seth wręcza jej następną i Brandy czyta:

- „Teleturnieje są tak pomyślane, żebyśmy poczuli się lepiej z tymi przypadkowymi, bezużytecznymi wiadomościami, które nam

pozostały z całego naszego wykształcenia”.

Pocałunek i kartka są już w drodze w stronę jeziora Waszyngtona.

Od Setha:

„Kiedy przyszłość przestała być obietnicą i stała się zagrożeniem?”

Pocałunek i wiatr niesie kartkę w stronę miasta.

„Dopiero kiedy zjemy tę planetę, Bóg da nam nową. Zostawimy po sobie pamięć tego, co zniszczyliśmy, a nie tego, co stworzyliśmy”.

W oddali wije się międzystanowa numer pięć. Ze szczytu Kosmicznej Iglicy pasma na południe są liniami czerwonych świateł, pasma na północ są liniami świateł białych. Biorę kartkę i piszę:

„Kocham Setha Thomasa tak bardzo, że muszę go zniszczyć.

Próbuję to nadrabiać, ubóstwiając superkrólową. Seth nigdy mnie nie pokocha. Nikt już nigdy mnie nie pokocha”.

Brandy czeka, żeby wziąć ode mnie kartkę i przeczytać ją na głos. Brandy czeka, żeby ogłosić światu, czego się najbardziej boję, aleja nie daję jej kartki. Całuję ją sama wargami, których nie mam, i pozwalam, żeby wiatr wyrwał mi ją z ręki. Kartka wlatuje w górę, w górę do gwiazd, a potem spada na siatkę ochronną.

Podczas gdy patrzę na swoją przyszłość schwytaną w siatkę antysamobójczą, Brandy odczytuje kolejną kartkę od Setha.

- „Wszyscy jesteśmy biodegradowalni”.

Piszę na następnej kartce z przyszłości i Brandy ją odczytuje:

- „Kiedy nie wiemy, kogo nienawidzić, nienawidzimy samych

siebie”.

Jakiś prąd wznoszący unosi to, czego się najbardziej boję, z siatki antysamobójczej i posyła w dal.

Seth pisze i Brandy czyta:

- „Trzeba się nieustannie poddawać recyklingowi”.

Ja piszę i Brandy czyta:

- „Nie ma we mnie nic oryginalnego. Jestem zbiorowym dziełem wszystkich, których w życiu poznałam”.

Piszę i Brandy czyta:

- „Ktoś, kogo kochasz, i ktoś, kto kocha ciebie, nigdy, przenigdy nie są tą samą osobą”.

Przeskok na nas, jak wracamy z Księżycy, Brandy, Seth i ja tańczymy fruga w stanie nieważkości w szklanomosiężnej dyskotece windy. Brandy zwija wielką, uzbrojoną pierścieniami pięść i mówi poliestrowemu androidowi obsługującemu windę, który próbuje nas powstrzymać, żeby wziął na wstrzymanie, jeżeli nie chce zginąć podczas wejścia w atmosferę.

Z powrotem na Ziemi w dwudziestym pierwszym wieku nasz wynajęty lincoln z wnętrzem jak granatowa trumna czeka, żeby nas zawieźć do porządnego hotelu. Za wycieraczką jest mandat, ale kiedy Brandy rzuca się, żeby go podrzeć, okazuje się, że to pocztówka z przyszłości.

Może z tym, czego się najbardziej boję.

Dla Brandy, żeby ją przeczytała na głos Sethowi. „Kocham Seta Thomasa tak bardzo, że muszę go zniszczyć...”

Nawet jeżeli będę to sobie kompensować, nikt nigdy mnie nie zechce. Ani Seth. Ani moi rodzice. Nie można pocałować kogoś, kto nie ma warg. Och, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie. Będę wszystkim, czym zechcesz, żebym była.

Brandy Alexander swoją wielką dłonią bierze pocztówkę. Superkrólowa czyta ją po cichu i wsuwa do swojej torebki.

- W tym tempie - mówi księżna wśród księżnych - nigdy nie dojedziemy do przyszłości.

Rozdział dziewiąty

Przeskok wstecz do dnia, kiedy Brandy podrzuca w górę nad moją głową jakieś migoczące nic i gabinet logopedy wokół mnie zmienia się w złoto.

- To jest bawełniana woalka - mówi Brandy.

Rzuca następną garść mgły i kontury świata zaciera złoto i zieleń.

- Jedwabna żorzeta - mówi Brandy.

Rzuca garść iskier i świat jest pełen błysków. Brandy siedzi na wprost mnie z wiklinowym koszykiem do robótek na kolanach.

Jesteśmy same, zamknięte w gabinecie logopedy. Poster z kociakiem na ścianie z pustaków. Wszystko dzieje się miękko i jasno jak przez filtr, każda ostra krawędź jest rozmyta za zielenią i złotem, fluorescencyjne światło przenika w złamanych rozbłyskach.

- Woalki - mówi Brandy, podczas gdy spadają na mnie kolejne

kolory. - Musisz wyglądać tajemniczo - mówi. - Jeżeli masz poruszać się w świecie, panno St. Patience, nie możesz pozwolić, żeby ludzie oglądali twoją twarz - mówi.

- Możesz chodzić wszędzie, gdzie zechcesz - mówi i mówi.

Tylko nie możesz pozwolić, żeby ludzie się dowiedzieli, kim jesteś.

- Możesz prowadzić najzupełniej normalne, zwyczajne życie - mówi.

Nie możesz tylko dopuścić nikogo tak blisko, żebyś poznała prawdę.

- Jednym słowem - mówi - woalki.

Biorąca wszystko w swoje ręce księżna, którą jest Brandy Alexander, nigdy nie spytała mnie o moje prawdziwe nazwisko. Nazwisko, pod którym się urodziłam. Panna JaTuRządę natychmiast daje mi nowe nazwisko, nową przeszłość. Wymyśla też dla mnie nową przyszłość, w której nie mam związków z nikim oprócz niej, pełny kult jednostki.

- Nazywasz się Daisy St. Patience - informuje mnie. - Jesteś zaginioną dziedziczką dynastii St. Patience, domu mody bardzo haute couture i w tym sezonie lansujemy kapelusze - mówi.

- Kapelusze z woalkami.

- Jsfssjf ciacb sxi? - pytam ją.

- Pochodzisz z rodziny francuskich arystokratycznych emigrantów - mówi Brandy.

- Gwdcn aixagklgfnv?

- Dorastałaś w Paryżu i chodziłaś do szkoły prowadzonej przez zakonnicę - mówi Brandy.

Pracowita i zorganizowana stylistka, jaką jest Brandy, już wyjmując z torebki tiul, różowy tiul, koronki, szydełkowaną ozdobną siatkę i układa to na mojej głowie.

- Nie musisz mieć makijażu - mówi. - Możesz się nawet nie myć. Dobry woal jest jak okulary lustrzanki, tyle że na całą twarz.

Dobry woal to jakby niewychodzenie z domu, mówi mi Brandy. Klauzura. Prywatność. Rzuca żółty, przezroczysty szyfon.

Drapuje na mojej głowie czerwony wzorzysty nylon. W świecie, jaki mamy, stale w tłoku, gdzie ludzie wiedzą o tobie wszystko na pierwszy rzut oka, dobry woal zastępuje ci przyciemnioną szybę limuzyny. Zastrzeżony numer dla twojej twarzy. Za dobrym woalem możesz być każdym. Gwiazdą filmową. Świętą. Dobry woal mówi:

„Nie byliśmy sobie przedstawieni”.

Jesteś nagrodą za drzwiami numer trzy.

Jesteś damą albo tygrysem.

W naszym świecie, w którym nikt już nie potrafi dotrzymać tajemnicy, dobry woal mówi:

„Dziękuję za pilnowanie własnego nosa”.

- Nie martw się - mówi Brandy. - Inni ludzie dopełnią to, co niewidoczne.

- Tak samo, jak to robią z Bogiem - mówi.

Nigdy nie wspomniałam Brandy, że dorastałam na farmie w pobliżu. Na farmie, na której hodowano świnie. Daisy St. Patience

wracała ze szkoły i w każde słoneczne popołudnie musiała razem z bratem karmić świnie.

Pokaż mi tęsknotę za domem.

Błysk.

Pokaż mi nostalgiczne wspomnienia z dzieciństwa.

Błysk.

Jakie słowo jest przeciwieństwem przepychu?

Brandy nigdy nie spytała o moich rodziców, czy żyją, czy umarli i dlaczego nie ma ich tutaj, żeby płakać i zgrzytać zębami.

- Twój ojciec i matka, Rainier i Honoraria St. Patience, zostali zamordowani przez terrorystów - mówi.

P.B., przed Brandy, ojciec każdej jesieni zawoził świnie na rynek. Jego sekret polegał na tym, że przez całe lato jeździł swoją ciężarówką po Idaho i innych stanach w lewym górnym rogu mapy, zatrzymując się przy wszystkich punktach sprzedaży czerstwego pieczywa, skupując przeterminowane kanapki, ciasta owocowe, ciastka z kremem, ciasta biszkoptowe nastrzykane sztuczną bitą śmietaną i bryły ciasta czekoladowego, pokrytego pianką i barwionymi na różowo wiórkami kokosowymi. Stare niesprzedane torty urodzinowe. Nieświeże torty z gratulacjami.

Z życzeniami na Dzień Matki. Bądź moją walentynką. Ojciec nadal zwozi to wszystko do domu, zwalone na gęstą, lepłą kupę albo pozawijane w celofan. I to jest najtrudniejsza praca - odwijanie tych tysięcy porcji nieświeżego jedzenia i rzucanie ich świniom.

Sekret mojego ojca, o którym Brandy nie chciała słuchać,

polegał na tym, żeby karmić świnie tymi ciastami, tortami i kanapkami na dwa tygodnie przed zawiezieniem ich na sprzedaż. Nie ma to wszystko żadnej wartości odżywczej, ale świnie pochłaniają to, aż w promieniu pięciuset mil nie zostaje ani jeden przeterminowany produkt.

To pożywienie nie zawiera ani trochę błonnika i każdej jesieni wszystkie trzystufuntowe świnie jadą na rynek, mając dodatkowe dziewięćdziesiąt funtów w jelitach. Ojciec zbija masę forsy na giełdzie i kto wie, w jaki czas potem te wszystkie świnie robią ze strachu wielką słodką kupę, kiedy zobaczą wewnątrz rzeźni, gdzie kończą życie.

- Kwnne wivnuw fw sojaoa - mówię.

- Nie - mówi Brandy i wyciąga długi na stopę palec wskazujący z sześcioma pierścionkami tylko na tym jednym palcu i przykłada tego upierścienionego hot doga do moich ust w chwili, kiedy usiłuję się odezwać.

- Ani słowa - mówi Brandy. - Jesteś jeszcze za bardzo związana ze swoją przeszłością. Cokolwiek powiesz, będzie bez sensu.

Z tego swojego koszyka na robótki Brandy wyciąga białozłotą wstęgę, magiczny akt, i mgiełkę tego białego jedwabiu ze złotym wzorem greckiego meandra zarzuca mi na głowę.

Za kolejnym woalem realny świat oddala się jeszcze bardziej.

- Zgadnij, jak powstaje ten złoty deseń - mówi Brandy.

Materiał jest tak lekki, że wydyma go mój oddech, jedwab dotyka moich rzęs i nawet ich nie przygina. Nawet moja twarz, choć

dochodzą do niej zakończenia wszystkich nerwów, nawet moja twarz nic nie czuje.

Potrzeba do tego zespołu hinduskich dzieci, mówi Brandy, cztero - i pięcioletnich dzieci, które jako wegetarianie siedzą przez cały dzień na drewnianych ławkach i muszą wyskubywać większość z nieprawdopodobnej liczby złotych nitek, żeby uzyskać wzór pozostawiony przez złoto.

- Nie widuje się dzieci starszych niż dziesięć lat przy tej pracy - mówi Brandy - bo do tego czasu większość z nich ślepnie.

Ten woal, który Brandy wyjmuje ze swojego koszyka, ma chyba ze sześć stóp kwadratowych. Utracony bezcenny wzrok wszystkich tych kochanych maluszków. Bezcenne dni ich kruchego dzieciństwa, spędzone na wyskubywaniu jedwabnych nitek.

Pokaż mi litość.

Błysk.

Pokaż mi empatię.

Błysk.

Chciałabym, żeby moje biedne serce pękło.

- Vswf siws cm eiuvn sincs - mówię.

Nie, wszystko w porządku, mówi Brandy. Ona nie chce nagradzać nikogo, kto wzykuje dzieci. Kupiła to na wyprzedaży.

Uwięziona za jedwabiem, otoczona obłokiem organdy i żorzety, odkrywam, że skoro nie mogę dzielić się swoimi problemami z innymi ludźmi, to głównie mnie obchodzą ich problemy.

- I nie przejmuj się - mówi Brandy. - Nadal będziesz przyciągać

uwagę. Masz bombowe combo cycków i tyłka. Nie możesz tylko z nikim rozmawiać.

Ludzie po prostu nie znoszą, kiedy czegoś nie wiedzą, mówi mi. Zwłaszcza mężczyźni muszą wspiąć się na każdą górę i sporządzać mapy wszystkiego. Wszystko poetykietować. Obsikać każde drzewo i nigdy więcej już nie zadzwonić.

- Za woalem jesteś wielką niewiadomą - mówi. - Większość facetów będzie stawać na głowie, żeby cię poznać. Niektórzy będą zaprzeczać, że istniejesz naprawdę, a niektórzy będą cię najzwyczajniej ignorować.

Zeloci. Ateiści. Agnostycy.

Nawet jeżeli ktoś nosi tylko opaskę na oko, ludzie zawsze mają ochotę pod nią zajrzeć. Sprawdzić, czy nie oszukuje. Człowiek w koszuli Hathawaya. Albo zobaczyć ukryty horror.

Fotograf w mojej głowie mówi:

Pokaż mi głos.

Błysk.

Pokaż mi twarz.

Odpowiedzią Brandy były kapelusiki z woalkami. I duże kapelusze z woalkami. Płaskie kapelusze i toczki otoczone dokoła obłokami tiulu i gazy. Spadochronowym jedwabiem albo ciężką krepą, albo gęstą siatką usianą szenilowymi pomponami.

- Najnudniejszą rzeczą na świecie - mówi Brandy - jest nagość.

- Drugie miejsce na liście najnudniejszych rzeczy - mówi - zajmuje uczciwość.

- Pomyśl o tym jako o prowokacji. Niech to będzie erotyczna bielizna dla twojej twarzy - mówi. - Koronkowy peniuar, pod którym ukrywasz całą swoją osobowość.

Trzecie miejsce na liście najnudniejszych rzeczy na świecie zajmuje twoja żalściwie dupna historia. I dlatego Brandy nigdy mnie o nic nie pytała. Może ona i jest suka alfa jak buldożer, ale spotykamy się raz po raz w gabinecie logopedy i Brandy mówi mi wszystko, co muszę o sobie wiedzieć.

Rozdział dziesiąty

Przeskok do Brandy Alexander, układającej mnie do snu w Seattle. To jest noc Kosmicznej Iglicy, noc, w której przyszłość się nie zdarza. Brandy ma na sobie całe jardy czarnego tiulu, spowijającego jej nogi i obejmującego jej talię osy. Czarny woal krzyżuje się na torpedach jej piersi i zapętla się w górę, na jej kasztanowe włosy. Całe to migotanie, które pochyla się nad moim łóżkiem, mogłoby stanowić próbny model letniego nocnego nieba.

Małe imitacje diamentów, nie te plastikowe, wypluwane przez fabrykę w Kalkucie, ale austriackie kryształki, szlifowane przez elfy w Czarnym Lesie, te małe kamyki w kształcie gwiazdek są rozsypane po całym czarnym tiulu. Twarz superkrólowej jest księżycem na nocnym niebie, które pochyla się nade mną i całuje mnie na dobranoc. W pokoju hotelowym panuje ciemność, tylko telewizor w nogach łóżka jest włączony i ręcznej roboty gwiazdki mrugają wszystkimi kolorami, które telewizja próbuje nam przekazać.

Seth ma rację, telewizja czyni ze mnie Boga. Mogę sobie patrzeć na kogo chcę i co godzina życie się zmienia. Tutaj, w świecie realnym, rzadko się tak zdarza.

- Ja zawsze będę cię kochać - mówi królowa nocnego nieba i wiem, czyją pocztówkę znalazła.

Pościel hotelowa jest w dotyku taka sama jak pościel w szpitalu. Poznałyśmy się tysiące mil temu, a wielkie palce Brandy wciąż przyglądają koce pod miejscem, w którym miałam brodę.

Moja twarz jest ostatnią rzeczą, jaką zabawowi chłopcy i dziewczyny chcą zobaczyć, kiedy wyjdą na ciemną alejkę, żeby kupować narkotyki.

- Wrócimy, jak tylko sprzedamy towar - mówi Brandy.

Postać Seta rysuje się w otwartych drzwiach na korytarz.

Z mojej perspektywy stanowi idealną sylwetkę superbohatera na tle odblaskowozielonych, szarych i różowych tropikalnych liści korytarzowej tapety. Jego płaszcz, długi, czarny, skórzany płaszcz, jest dopasowany w górze, a od talii w dół rozszerza się tak, że w zarysie wygląda jak peleryna.

I może, kiedy całuje królewski tyłek Brandy Alexander, nie musi udawać. Może to oni są parą zakochanych, kiedy ja nie widzę. To nie byłby pierwszy raz, kiedy go tracę.

Ta twarz w obramowaniu czarnej woalki, która się nade mną pochyla, jest kolorową niespodzianką. Dużo różowej skóry wokół grafitowych ust, a oczy zbyt ciemnofioletowe. Nawet te kolory są zbyt krzykliwe, zbyt nasycone, zbyt intensywne. Jakieś jaskrawe.

Przypominają postacie z filmów rysunkowych. Manekiny sklepowe mają takie różowe ciała jak plastry opatrunkowe. Barwa cielista. Za bardzo fioletowe oczy, kości policzkowe zbyt uwydatnione różem Rdzawa Róża. Nic nie zostało pozostawione wyobraźni.

Może to się właśnie podoba facetom. Chcę, żeby Brandy Alexander już sobie poszła.

Chcę poczuć pasek Setha wokół szyi. Chcę czuć jego palce w ustach, jego dłonie rozkładające mi kolana, a potem jego wilgotne palce, które we mnie wchodzi.

- Jeżeli chcesz coś do czytania - mówi Brandy - to książka Miss Rony Barrett jest w moim pokoju. Mogę ci ją przynieść.

Chcę być tak otarta szczecina wokół ust Setha, że aż mnie będzie bolało przy sikaniu.

- Idziesz? - pyta Seth.

Upierścieniona dłoń rzuca mi na łóżko pilota do telewizora.

- Chodź, księżno wśród księżnych - mówi Seth. - Noc nie staje się młodsza.

I jeszcze chcę, żeby Seth umarł. Gorzej, chcę, żeby był tłusty, obrzmiały wodą, niespokojny i rozhuśtany emocjonalnie. Jeżeli Seth mnie nie chce, to ja nie chcę mieć jego.

- Gdyby policja albo coś się stało - mówi mi księżyc - to pieniądze są w mojej kosmetyczce.

Ten, którego kocham, już poszedł uruchomić samochód.

Ta, która będzie mnie zawsze kochać, mówi: „Śpij dobrze” i

zamyka za sobą drzwi.

Przeskok do dawno temu, Manus, mój narzeczony, który mnie rzucił, Manus Kelley, policyjny detektyw, powiedział mi, że rodzice są jak Bóg, bo chcesz wiedzieć, że oni istnieją, i chcesz, żeby aprobowali twoje życie, ale odwiedzasz ich tylko, kiedy masz kłopoty i czegoś potrzebujesz.

Przeskok do chwili, kiedy leżę w łóżku w Seattle, sama z pilotem, i włączam telewizję, ale bez głosu.

Na ekranie są trzy albo cztery osoby, siedzące w fotelach na niskim podium przed telewizyjnym audytorium. To wygląda jak inforeklama, tyle że kiedy kamera robi zbliżenie na którąś z tych osób, na piersi każdej z nich pojawia się napis. Każdy napis przy każdym zbliżeniu to imię, a po nim trzy albo cztery słowa, jak nazwiska, które nadają sobie Indianie, ale zamiast Heather Biega z Bizonami czy Trisha Poluje w Świetle Księżyca, te nazwiska są takie:

Cristy Piła Ludzką Krew

Roger Współżył z Trupem Matki

Brenda Zjadła Swoje Dziecko

Zmieniam kanał.

Zmieniam kanał.

Zmieniam kanał i tu są trzy inne osoby: Gwen Pracuje Jako prostytutka

Neville Był Zgwałcony w Więzieniu

Brent Sypiał ze Swoim Ojcem

Ludzie na całym świecie opowiadają swoją najbardziej

dramatyczną historię i jak przez resztę życia usiłują się od niej uwolnić. Żyją bardziej przeszłością niż przyszłością. Naciskam guzik i Gwen Pracuje Jako prostytutka odzyskuje głos, żeby wyrazić stanowisko swojego zawodu.

Gwen mówi, rzeźbiąc swoją opowieść rękami. Pochyla się w fotelu. Jej wzrok skierowany jest w górę i w prawo, tuż nad kamerą. Wiem, że tam jest monitor. Gwen ogląda siebie opowiadającą swoją historię.

Gwen zaciska pięść, z której sterczy tylko palec wskazujący, i powoli obraca dłoń, żeby pokazać wierzch i spód paznokcia.

-...dla obrony większość dziewczyn na ulicy odłamuje kawałek żyłki i przykleja pod paznokciem. Potem malują go, żeby wyglądał jak normalny paznokieć. - Tutaj Gwen widzi coś na monitorze. Marszczy czoło i odrzuca rude włosy do tyłu, pokazując coś, co wygląda jak kolczyki z perłami.

- Kiedy trafiają do więzienia - mówi Gwen sobie samej na monitorze - albo kiedy przestają być atrakcyjne, niektóre z nich tymi żyłkowymi paznokciami podcinają sobie żyły.

Odbieram głos Gwen Pracującej Jako prostytutka.

Zmieniam kanał.

Zmieniam kanał.

Zmieniam kanał.

Szesnaście kanałów dalej piękna młoda kobieta w sukni pokrytej cekinami uśmiecha się i wrzuca szczątki zwierząt do Fabryki Kanapek
Mniam Mniam.

Evie i ja - to my robiłyśmy tę inforeklamę. To jedna z tych telewizyjnych reklam, które ludzie mają uważać za prawdziwy program, tyle że to tylko półgodzinny bajer. Kamera przenosi się na inną dziewczynę w sukni obszytej cekinami, ta brodzi przez widownię siwych gołąbków i turystów ze Środkowego Zachodu.

Ta dziewczyna częstuje obchodzącą złote gody parę w jednakowych hawajskich koszulach zestawem kanapek ze srebrnej tacy, ale ta para, podobnie jak cała reszta towarzystwa w grubych swetrach i z aparatami fotograficznymi na szyjach, gapi się w prawo i w górę.

Wiesz już, że to monitor.

To niesamowite, ale dzieje się tak, że ludzie gapią się w monitorze na samych siebie, jak gapią się w monitorze na samych siebie, gapiących się w monitorze na samych siebie i tak bez końca, całkowicie uwikłani w pętlę rzeczywistości, która nigdy się nie kończy.

Ta dziewczyna z tacą, jej desperackie oczy to zbyt zielone szkła kontaktowe, a intensywna czerwień jej ust wykracza poza naturalną granicę warg. Jej blond włosy są puszyste i tak natapirowane, żeby zamaskować kościste ramiona. Kanapki, które podsuwa pod starcze nosy, to słone krakersy upstrzone produktami mięsnymi. Wywijając tacą, dziewczyna brnie dalej między rzędy widowni w studio ze swoimi zbyt zielonymi oczami i bujnymi włosami. To moja najlepsza przyjaciółka Evie Cottrell.

To musi być Evie, bo zaraz pojawia się Manus, który wkracza na

scenę, żeby ją uratować swoją nieprzeciętną urodą. Manus, agent specjalnej policji obyczajowej, bierze jeden z tych upapranych krakersów i wkłada go między nienagane zęby. I przeżuwa. I odchyła do tyłu swoją piękną twarz z kwadratową szczęką i zamyka oczy, Manus zamyka swoje niebieskie oczy z dopalaczami, przechyla odrobinę głowę z boku na bok i przełyka.

Takie gęste czarne włosy, jakie ma Manus, przypominają, że ludzkie włosy są szczątkowym futrem, pokrytym żelem. Takim seksownym kudłatym psem jest ten Manus.

Ta twarz z kwadratową szczęką zwraca się tak, żeby dać kamerze pełne en face ze szczerym spojrzeniem głębokiej, totalnej miłości i satysfakcji. Cóż za deja vu. To jest dokładnie takie samo spojrzenie, z jakim Manus pytał mnie, czy miałam orgazm.

Potem Manus odwraca się, żeby posłać dokładnie takie samo spojrzenie Evie, podczas gdy cała studyjna widownia patrzy w inną stronę, gapiąc się na siebie, jak gapi się na siebie, gapiąca się na Manusa, który uśmiecha się do Evie z wyrazem głębokiej, totalnej miłości i satysfakcji.

Evie odpowiada uśmiechem, czerwień jej ust, wykraczająca poza naturalną linię warg, uśmiecha się do Manusa, a ja jestem tą małą postacią w tle. To jestem ja, tuż ponad ramieniem Manusa, mała ja, z uśmiechem jak przenośny grzejnik wrzucam materię zwierzęcą do pleksiglasowego lejka na szczycie Fabryki Kanapek Mniam Mniam.

Jak mogłam być taka głupia.

Jedźmy na żaglówki.

Jasne.

Powinnam się domyślić, że Manus kręci z Evie.

Nawet teraz, kiedy leżę w hotelowym łóżku rok po zakończeniu całej tej sprawy, pięści mi się zaciskają. Mogłam po prostu obejrzeć tę głupią inforeklamę i dowiedzieć się, że Manus i Evie mają jakiś pokręcony, chory związek, który chcą uważać za prawdziwą miłość.

No dobrze, oglądałam to. Oglądałam to około stu razy, ale zawsze patrzyłam tylko na siebie. Oglądałam tę pętlę rzeczywistości.

Kamera wraca do pierwszej dziewczyny, tej na scenie, i to jestem ja. I jestem taka piękna. Demonstruję w telewizji łatwość czyszczenia fabryki kanapek i jestem taka piękna. Wyjmuję ostrza z pleksiglasowego naczynia i spłukuję resztki zwierzęcych szczątków pod bieżącą wodą. Jezu, jaka ja jestem piękna.

Bezcielesny głos z offu opowiada, jak to Fabryka Kanapek Mniam Mniam wykorzystuje produkty mięsne, takie jakie są pod ręką, języki, serca, wargi czy genitalia, miele je, doprawia i wydala gotowe do zjedzenia w kształcie kiera, karo albo trefla na wybranego krakersa.

Leżę w łóżku i płaczę.

BubbaJoan Odstrzelona Szczęka.

Tyle tysięcy mil później, po tym, jak byłam tyloma różnymi osobami, a wciąż ta sama historia. Dlaczego człowiek czuje się jak głupek, kiedy śmieje się w samotności, a zwykle w końcu tak płacze? Jak to się dzieje, że ulegasz mutacji, a wciąż jesteś tym samym

śmiercionośnym wirusem?

Rozdział jedenasty

Przeskok do dnia, w którym po raz pierwszy wyszłam ze szpitala bez zawodu, narzeczonego i mieszkania, i musiałam spać w wielkim domu Evie, w jej prawdziwym domu, w którym nawet ona nie lubiła mieszkać - taki był samotny, upchnięty w jakiejś dżungli, z dala od ludzi.

Przeskok, jak leżę tej pierwszej nocy na łóżku Evie, ale nie mogę zasnąć.

Przeciąg unosi firanki, koronkowe firanki. Wszystkie meble Evie są pomalowane na biało i złoto w tym francuskim prowincjonalnym stylu z wykrętami. Księżyc nie ma, ale niebo jest pełne gwiazd, wszystko więc - dom Evie, różane szpalery, firanki w sypialni, moje dłonie na pościeli - wszystko jest czarne albo szare.

Dom Evie to jest coś, co kupiłaby dziewczyna z Teksasu, gdyby rodzice przez cały czas wciskali jej dziesięć milionów dolarów. Jakby Cottrellowie czuli, że Evie nigdy nie przebiję się na wielkie wybiegi. I dlatego Evie mieszka tutaj. Nie w Nowym Jorku i nie w Mediolanie. Na przedmieściu, z dala od świata profesjonalnych pokazów. Daleko stąd do pracy przy paryskich kolekcjach. Tkwienie w takiej dziurze dostarcza Evie potrzebnego alibi, to mieszkanie tutaj tłumaczy grubokościstą dziewczynę, która nigdy nigdzie nie może liczyć na sukces.

Drzwi są dzisiaj zamknięte, kot jest w domu. Kiedy spojrzę na

niego, kot patrzy na mnie w taki sposób, w jaki psy i niektóre samochody patrzą, kiedy ludzie mówią, że one się śmieją.

Jeszcze dziś po południu Evie błagała mnie przez telefon, żebym wypisała się ze szpitala i przyjechała do niej.

Dom Evie był wielki, biały, z ciemnozielonymi okiennicami - dwupiętrowy dwór z wielkimi kolumnami od frontu, jakie bywają na Południu. Dolne dziesięć stóp każdej z tych kolumn oplatał gobelinowy bluszcz i żółte pnące róże. Można było sobie wyobrazić tutaj Ashleya Wilkesa strzygącego trawnik albo Rhetta Butlera, jak zdejmuje dodatkowe okiennice, ale Evie wynajmuje za płacę minimum laotańskich niewolników, którzy nie chcą mieszkać w domu.

Przeskok do poprzedniego dnia, Evie wiezie mnie ze szpitala.

Evie to naprawdę Evelyn Cottrell, Inc. Naprawdę. Jest oficjalnie zarejestrowana. Ulubienica chcących coś spisać na straty. Cottrellowie zainwestowali prywatne akcje w jej przyszłe sukcesy, kiedy Evie miała dwadzieścia jeden lat, i wszyscy ich krewniacy z teksańską ziemią i naftą również włożyli ciężkie pieniądze w klęskę Evie jako modelki.

Zazwyczaj chodzenie z Evie na castingi modelek było żenujące. Ja, oczywiście, dostawałam pracę, ale zaraz kierownik artystyczny albo stylistka zaczynał krzyczeć na Evie, że nie, że według jego profesjonalnej opinii Evie nie mieści się w rozmiarze sześć.

Na ogół jakiś pomocnik stylisty musiał ją wypychać za drzwi.

Evie, odwracając się, wrzeszczała, że nie powinnam pozwalać

im, żeby mnie traktowali jak kawałek mięsa i że też powinnam wyjść.

- Pierdol ich! - krzyczała w takiej sytuacji Evie. - Pierdol ich wszystkich!

Ja nie miałam powodu do złości. Ubierano mnie w niewiarygodny skórzany gorset od Poopie Cadole i skórzane spodnie od Chrome Hearts. Dobrze się wtedy żyło. Pracowałam trzy, może cztery albo pięć godzin dziennie.

W drzwiach studia fotograficznego, zanim ją wyrzucono, Evie trzasnęła pomocnikiem stylisty o futrynę i mały facet osunął się na ziemię u jej stóp. I wtedy Evie wrzasnęła:

- Możecie wszyscy wyssać gówno z mojej słodkiej teksańskiej dupki.

Potem poszła do swojego ferrari i czekała w nim trzy, może cztery albo pięć godzin, żeby mnie odwieźć do domu.

Evie, ta Evie była moją najlepszą przyjaciółką na całym świecie. W takich chwilach Evie była zabawna i zakręcona, prawie jakby żyła naprawdę.

No dobrze, więc nie wiedziałam o Evie i Manusie, o ich autentycznej i głębokiej miłości i szczęściu. Nie wiedziałam. No to mnie zabijcie.

Przeskok wstecz, Evie dzwoni do szpitala i błaga mnie, proszę, żebym wypisała się ze szpitala i zamieszkała w jej domu, ona jest taka samotna, proszę, proszę.

Moje ubezpieczenie zdrowotne ma pułap dwóch milionów dolarów do końca życia, a licznik bił przez całe lato. Żadna ze służb

społecznych nie miała odwagi, żeby mnie przenieść Bóg jeden wie dokąd.

Błagając mnie przez telefon, Evie powiedziała, że ma rezerwację na samolot. Wyjeżdża na zdjęcia do katalogu do Cancun i czy nie mogłabym, proszę, popilnować jej domu?

Kiedy mnie zabierała, napisałam w swoim bloku:

„czy to jest mój stanik? wiesz, że go rozpychasz”.

- Będziesz tylko musiała karmić kota - mówi Evie.

„nie lubię być sama tak daleko za miastem”, piszę, „nie wiem, jak możesz tam mieszkać”.

- Nie czujesz się samotna, jeżeli trzymasz pod łóżkiem strzelbę - mówi Evie.

„znam dziewczyny, które to samo mówią o swoich wibratorach”, piszę.

- Niesmaczne! - mówi Evie. - Ja nic takiego nie robię ze swoją strzelbą.

Przeskok na Evie odlatującą do Cancun w Meksyku, a ja zaglądam pod łóżko, gdzie jest strzelba kaliber trzydzieści i coś z celownikiem optycznym. W jej szafach znajduję to, co zostało z moich ubrań, porozciągane, storturowane na śmierć i martwo zwisające z drucianych wieszaków.

Przeskok na mnie w łóżku Evie tamtej nocy. Jest północ.

Wiatr wydyma firanki, koronkowe firanki, kot wskakuje na parapet, żeby zobaczyć, kto podjechał na żwirowy podjazd. Kot, na tle gwiazd, odwraca się i patrzy na mnie. Na dole słysząc brzęk

wybijanej szyby.

Rozdział dwunasty

Przeskok do ostatnich świąt Bożego Narodzenia przed moim wypadkiem, kiedy przyjeżdżam do domu, żeby otwierać z rodzicami prezenty. Rodzice ubierają co roku to samo sztuczne drzewko, wściekle zielone i wydające zapach rozgrzanego plastyku, który przyprawia o grypowy ból głowy, kiedy lampki są włączone za długo. Choinka jest samą magią i blaskiem, obwieszona naszymi czerwonymi i złotymi bombkami, i tymi pasmami srebrnego plastyku, naładowanego statyczną elektrycznością, które ludzie nazywają soplami lodu. Na czubku drzewka jest ten sam wymiętoszony anioł z gumową twarzą lalki. Kominiek jest ozdobiony tymi samymi anielskimi włosami z włókna szklanego, które drażnią skórę i od jednego dotknięcia wywołują swędzącą wysypkę. Na stereo leci ten sam Perry Como ze swoim świątecznym albumem.

Dzieje się to w czasie, kiedy jeszcze miałam twarz i śpiewanie kolęd nie było dla mnie tak wielkim wyzwaniem.

Mój brat Shane nadal nie żyje, mam więc nadzieję, że nie stanę się źródłem szczególnej uwagi, takie zwykle spokojne święta.

W tym czasie mój chłopak Manus dostawał kota, bo bał się, że straci pracę w policji, i potrzebowałam kilku dni spokoju. Umówiliśmy się wszyscy, mama, tata i ja, że w tym roku nie będziemy kupować żadnych dużych prezentów. Może jakieś małe upominki, powiedzieli rodzice, coś do skarpety.

Perry Como śpiewa: „Coraz bardziej pachnie świętami”.

Czerwone filcowe skarpety, które mama uszyła dla nas, dla Shanea i dla mnie, wiszą na kominku z naszymi imionami wypisanymi z góry do dołu białymi, ozdobnymi filcowymi literami. Każda skarpetka brzuchata włożonymi do środka prezentami.

Jest poranek Bożego Narodzenia i wszyscy siedzimy wokół choinki, ojciec trzyma scyzoryk, gotów rozcinać zasupłane wstążki.

Mama trzyma papierową torbę na zakupy.

- Zanim zrobi się bałagan - mówi - papiery z prezentów idą tutaj, a nie po całym mieszkaniu.

Mama i tata siedzą w fotelach z podnóżkami. Ja siedzę na podłodze przed kominkiem wśród skarpet. Ta scena rozgrywa się zawsze w taki sam sposób. Oni siedzą z kawą, pochyleni nade mną wyczekują moich reakcji. Ja siedzę po turecku na podłodze.

Wszyscy jesteśmy jeszcze w piżamach i szlafrokach.

Perry Como śpiewa: „Będę w domu na święta”.

Pierwszą rzeczą z mojej skarpety jest mały pluszowy niedźwiadek koala - z tych, które przytrzymują ołówek sprężynującymi łapkami. Rodzice uważają, że to jest coś w sam raz dla mnie.

Mama podaje mi kubek z gorącą czekoladą, z pływającymi miniaturowymi piankami.

- Dziękuję - mówię i wyjmuję pudełko, które leżało pod małym koalą.

Moi rodzice nieruchomieją pochyleni nad kubkami z kawą i

wpatrują się we mnie.

Perry Como śpiewa: „Chodźcie, wszyscy wierni”.

W małym pudełeczku są prezerwatywy.

- Nie wiemy, ilu miewasz partnerów w ciągu roku, ale chcemy, żebyś grała bezpiecznie - mówi mój ojciec, siedząc obok rozświetlonej, magicznej choinki.

Chowam prezerwatywy do kieszeni szlafroka i spoglądam w dół na topiące się miniaturowe pianki.

- Dziękuję - mówię.

- Te są lateksowe - mówi moja mama. - Wystarczy posmarować kremem nawilżającym. Jeżeli w ogóle w twoim wieku potrzebujesz kremu. Żadnego żelu na bazie nafty, tłuszczu spożywczego ani żadnego innego balsamu. Nie kupiliśmy ci tych robionych z jagnięcych jelit - mówi - bo mają pory, które mogą przepuszczać wirusa hiv.

Dalej w mojej skarpecie jest jeszcze jedno małe pudełeczko.

To też prezerwatywy. Na opakowaniu kolor jest oznaczony jako cielisty. Zbyteczna informacja. Obok etykieta dodaje: bezwonne i bez smaku.

Mogłabym dużo opowiedzieć na temat braku smaku.

- Badania - mówi mój ojciec - telefoniczna ankieta w dzielnicach miast o dużym zagrożeniu zakażeniem Hiv wykazały, że trzydzieści pięć procent osób krępuje się kupować prezerwatywy.

Lepiej dostawać je od Świętego Mikołaja?

- Rozumiem - mówię.

- Nie chodzi tylko o aids - mówi moja mama. - Jest jeszcze rzeżączka. Jest syfilis. Jest wirus ludzkiego brodawczaka. Brodawki organów płciowych. Wiesz, że prezerwatywę należy nakładać natychmiast po erekcji? - pyta.

- Wydałam fortunę na banany poza sezonem - mówi - na wypadek, gdybyś chciała poćwiczyć.

To jest pułapka. Jeżeli powiem: „Ależ tak, zawsze nakładam gumki na świeże suche erekcje”, usłyszę od ojca kazanie na temat łajdaczenia się. A jeżeli powiem: „Nie”, spędzimy święta Bożego Narodzenia na ćwiczeniu obrony mnie przed bananem.

- Jest cała masa innych rzeczy niż aids - mówi mój ojciec.

- Jest wirus herpes simplex u z objawami, które obejmują bolesne, pękające pęcherzyki na częściach rodnych. - Spogląda na mamę.

- Bóle mięśniowe - mówi mama.

- Tak - potwierdza tata. - Ma się bóle mięśniowe i gorączkę. Wyciek z pochwy. Bolesne oddawanie moczu. - Spogląda na mamę.

Perry Como śpiewa: „Święty Mikołaj przybywa do miasta”.

Pod następnym opakowaniem prezerwatyw jest jeszcze jedno opakowanie prezerwatyw. Rany, trzy opakowania powinny mi wystarczyć do menopauzy.

Przeskok na to, jak bardzo chcę, żeby mój brat był tu żywy. Żebym go mogła zabić za to, że mi zrujnował święta. Perry Como śpiewa: „W górze, na dachu”.

- Jest zapalenie wątroby typu B - mówi moja mama. - I co

jeszcze? - zwraca się do taty.

- Chlamydia - odpowiada mój ojciec. - I lymphogranuloma.

- Tak - potwierdza moja mama - i ropne zapalenie szyjki macicy, i niegenokokowe zapalenie cewki moczowej.

Tata spogląda na mamę.

- Ale to jest zwykle wywołane alergią na lateksowe prezerwatywy i środki spermobójcze - mówi.

Mama pociąga łyk kawy. Patrzy na swoje dłonie obejmujące kubek, potem na mnie, jak siedzę na podłodze.

- Twój ojciec stara się powiedzieć - mówi - że zdajemy sobie teraz sprawę z błędów, jakie popełniliśmy w stosunku do twojego brata. Dlatego troszczymy się o twoje bezpieczeństwo - mówi.

W mojej skarpecie jest jeszcze czwarte opakowanie prezerwatyw. Perry Como śpiewa: „Zdarzyło się to w jasną noc”. Tekst na opakowaniu głosi: „mocne i bezpieczne nawet przy przedłużonym stosunku analnym...”

- Jest ziarniniak - mówi mój ojciec do mojej matki - i bakteryjne zapalenie pochwy. - Otwiera dłoń i kolejno zagina palce, potem przelicza je jeszcze raz. - I jest molluscum contagiosum - dodaje jeszcze.

Niektóre prezerwatywy są białe. Inne są w różnych kolorach.

Niektóre są żebrowane, chyba, żeby się je czuło jak ząbkowany nóż do chleba. Niektóre są w rozmiarze XL. Niektóre świecą w ciemnościach. Jest to w pewien pokręcony sposób pochlebne. Najwidoczniej moi rodzice uważają, że mam szalone powodzenie.

Perry Como śpiewa: „O przyjdź, o przyjdź, Emmanuelu”.

- Nie chcemy cię straszyć - mówi moja mama - ale jesteś młoda.

Nie możemy oczekiwać, że będziesz wieczorami siedzieć w domu.

- A jeżeli kiedyś nie będziesz mogła zasnąć - mówi mój ojciec - to mogą być owsiki.

- Po prostu nie chcemy, żebyś skończyła jak twój brat - mówi moja mama. - To wszystko.

Mój brat nie żyje, ale mimo to ma skarpetę pełną prezentów i można się założyć, że nie są to prezerwatywy. Wprawdzie nie żyje, ale można się założyć, że teraz pęka ze śmiechu.

- Z owsikami - mówi mój ojciec - jest tak, że samice wędrują kiszka stolcową na zewnątrz odbytu, żeby w nocy złożyć jajka. Jeżeli podejrzewasz obecność robaków, najlepiej przycisnąć przezroczystą taśmę klejącą do odbytu i obejrzeć ją przez szkło powiększające. Robaki powinny mieć około ćwierć cala długo ści.

- Bob, zamknij się - mówi moja mama.

Tata pochyla się nade mną.

- Dziesięć procent mężczyzn w tym kraju może ci przekazać te robaki - mówi. - Pamiętaj o tym.

Prawie wszystko w mojej skarpecie to prezerwatywy, w pudełeczkach, ukryte w monetach ze złotej folii, w długich paskach po sto sztuk, oddzielone perforacją. Jedyne inne prezenty to gwizdek na wypadek gwałtu i kieszonkowy pojemnik z gazem łzawiącym. Wygląda na to, że jestem przygotowana na najgorsze, ale boję się spytać, czy jest może coś jeszcze. Mógłby to być wibrator, żebym nie

wychodziła z domu i zachowywała celibat.

Mogłyby być nakładki dentystyczne na okazję cunnilingusa.
Folia spożywcza. Gumowe rękawiczki.

Perry Como śpiewa: „Świąteczne szaleństwo”.

Patrzę na skarpetę Shane’a, wciąż wzdętą prezentami.

- Kupiliście coś dla Shane’a? - pytam.

Jeżeli to prezerwatywy, to są trochę spóźnione.

Mama i tata wymieniają spojrzenia.

- Ty jej to powiedz - mówi tata do mamy.

- Tam jest coś, co ty kupiłaś bratu - mówi mama. - Zajrzyj do środka.

Przeskok na mnie, diabelnie zaskoczona.

Pokaż mi zrozumienie. Pokaż mi powody. Pokaż mi odpowiedzi.

Błysk.

Zdejmuję skarpetę Shane’a z kominka i znajduję wewnątrz bibułę.

- Szukaj dalej - mówi mój tata.

W bibułce jest zaklejona koperta.

- Otwórz - mówi moja mama.

W kopercie jest drukowany list, zaczynający się od słów:

„Dziękujemy”.

- To jest nasz prezent dla obojga naszych dzieci - mówi mój tata.

Nie mogę uwierzyć w to, co czytam.

- Zamiast kupować ci duży prezent - mówi moja mama - dokonaliśmy w waszym imieniu wpłaty na Światowy Fundusz Badań

nad aids.

W skarpecie jest jeszcze drugi list.

- To - mówi mój tata - jest prezent od Shane'a dla ciebie.

Tego już za dużo.

Perry Como śpiewa: „Widziałem, jak mamusia całuje się ze Świętym Mikołajem”.

- Ten mój chytry nieżywy brat - mówię - jaki on jest troskliwy. Niepotrzebnie - mówię. - Naprawdę, naprawdę niepotrzebnie robi sobie tyle zachodu. Może powinien dać sobie spokój z tym całym udawaniem i pogodzić się z tym, że umarł. Albo się odrodzić - mówię. - To całe udawanie, że nadal żyje, nie może być zdrowe.

W środku się gotuję. Bardzo chciałam dostać w tym roku nową torebkę od Prady. To nie była moja wina, że jakiś pojemnik lakieru do włosów wybuchł Shaneowi w twarz. Bum i wszedł, zataczając się, do domu, z czołem już zmieniającym się w sinoczarne. Przez całą długą drogę do szpitala z jednym okiem zapuchniętym i twarzą wokół niego coraz to większą, z każdą żyłą pękniętą i krwawiącą pod skórą, Shane nie odezwał się ani słowem.

To nie była moja wina, że ludzie ze służb socjalnych w szpitalu po jednym spojrzeniu na twarz Shane'a naskoczyli na mojego ojca. Podejrzenie o znęcanie się nad dzieckiem. Kryminalny brak nadzoru. Rodzinna interwencja. To wszystko nie było moją winą. Oświadczenia na policji. Pracownik socjalny obszedł naszych sąsiadów, kolegów ze szkoły, nauczycieli, aż wszyscy znajomi traktowali mnie jako małe dzielne biedactwo.

Siedząc tutaj w świąteczny poranek wśród tych wszystkich prezentów, potrzebuję penisa na pocieszenie, nikt nie zna choćby połowy prawdy.

Nawet po zakończeniu dochodzenia policyjnego, które niczego nie udowodniło, nawet wtedy, nasza rodzina była zniszczona.

I nadal wszyscy myślą, że to ja wyrzuciłam lakier do włosów.

A ponieważ ja to zaczęłam, to wszystko było moją winą. Wybuch. Policja. Ucieczka Shane'a. Jego śmierć.

A to nie była moja wina.

- Naprawdę - mówię - gdyby Shane rzeczywiście chciał dać mi prezent, powstałby z martwych i kupił mi coś z garderoby.

Wtedy by to były dla mnie wesołe święta. Wtedy naprawdę mogłabym powiedzieć „dziękuję”.

Milczenie.

Wyciągam drugą kopertę.

- W imieniu twojego brata - mówi mój tata - opłaciliśmy ci członkostwo w erpeelge.

- Erpe co? - pytam.

- Rodzice i Przyjaciele Lesbijek i Gejów - wyjaśnia moja mama.

Perry Como śpiewa: „Nie ma to jak święta w domu”.

Milczenie.

Moja matka podnosi się z fotela.

- Pójdę po te banany - mówi. - Tak na wszelki wypadek, twój ojciec i ja nie możemy się doczekać, aż przymierzysz któryś ze swoich prezentów.

Rozdział trzynasty

Przeskok do mniej więcej północy w domu Evie, gdzie przyłapuję Seta Thomasa, jak usiłuje mnie zabić.

Teraz, kiedy mam twarz bez dolnej szczęki, moje gardło kończy się jakby dziurą, z której zwisa język. Wokół tej dziury cała skóra jest jedną wielką blizną: ciemnoczerwone guzy, tak jak wyglądałyby uczestnik konkursu na jedzenie ciasta z wiśniami.

Kiedy wywieszę język, widać podniebienie, różowe i gładkie jak wnętrze skorupy kraba, a dookoła niego wisi podkowa białych górnych zębów, które mi zostały. Jest czas noszenia woalu i czas nienoszenia. Poza tym jestem zachwycająca, kiedy stoję naprzeciwko Seta Thomasa, włamującego się o północy do wielkiego domu Evie.

To, co Seth widzi, to jestem ja, jak schodzę po wielkich, kręconych schodach w hallu, ubrana w jeden z brzoskwinioworóżowych satynowokoronkowych peniuarów, szytych ze skosu.

Szlafroczek Evie to jest brzoskwinioworóżowy numer retro a la Zsa Zsa Gabor, który zakrywa mnie tak, jak celofan zakrywa mrożonego indyka. Obszycie przodu i mankiety to brzoskwinioworóżowa ozonowa mgiełka strusich piór, dopasowana do piórek przy pantoflach na bardzo wysokim obcasie.

Seth stoi skamieniały u stóp wielkich, kręconych schodów Evie z jej najlepszym szesnastocalowym nożem kuchennym w ręku. Na głowę ma naciągnięte jej rajstopy z klinem. Widać higieniczną

podkładkę Evie na twarzy Seta. Nogi rajstop zwisają niczym uszy spaniela na jego przypadkowo dobranych częściach munduru polowego.

Jestem jego wizją. Schodzę krok za krokiem w stronę czubka jego noża, powolnym krokpauzakrok jak na wielkiej rewii w Las Vegas.

Jestem wprost bajeczna. Jestem takim seksownym meblem.

Seth stoi na dole i patrzy w górę, po raz pierwszy w życiu przeżywa moment takiego strachu, bo trzymam w rękach strzelbę Evie. Kolba przylega do mojego ramienia, lufa sterczy przede mną. Krzyżyk celownika znajduje się pośrodku bawełnianego klina Evie Cottrell.

Jesteśmy tylko Seth i ja w hallu domu Evie, z ukośną szybą wybitą w drzwiach frontowych i żyrandolem z austriackich kryształów, błyszczącym jak sztuczna biżuteria dla domu. Jedyną rzeczą poza tym jest mały stolik w tym francuskim białozłotym prowincjonalnym stylu.

Na tym małym francuskim stoliku stoi tres olala telefon ze słuchawką wielkości złotego saksofonu na złotych widelkach, osadzonych w pudle z kości słoniowej. Pośrodku panelu z numerami widnieje kamea. Niezwykle eleganckie, jak pewnie myśli Evie.

- Nie zrobię ci krzywdy - mówi Seth, trzymając przed sobą nóż.

A ja schodzę tym wolnym krokpauzakrok.

- Nikt tu nie musi zginąć - mówi.

Cóż za deja vu.

Dokładnie w taki sposób Manus Kelley pytał, czy miałam już orgazm. Nie chodzi o słowa, tylko o głos.

- Ja tylko sypiałem z Evie - mówi Seth przez krocze Evie.

Cóż za deja vu.

Jedźmy na żagle. Dokładnie ten sam głos.

Seth upuszcza nóż, który wbija się w parkiet hallu Evie tuż obok jego wojskowego buta.

- Jeżeli Evie mówi, że to ja do ciebie strzeliłem, to kłamie - mówi Seth.

Na stoliku obok telefonu leżą blok i ołówek do zapisywania wiadomości.

- Jak tylko usłyszałem, że jesteś w szpitalu, wiedziałem, że to robota Evie - mówi Seth.

Trzymając strzelbę jedną ręką, piszę w bloku:

„ściągnij te rajstopy”.

- Przecież nie możesz mnie zabić - mówi Seth, szarpiąc się z gumką. - Ja jestem tylko powodem, dla którego Evie do ciebie strzeliła.

Krokpauzakrok zbliżam się do Seta, zaczepiam koniec lufy pod gumkę rajstop i ściągam je z tej kwadratowoszczękowej twarzy Seta. Tego Seta Thomasa, który będzie się nazywał Alfa Romeo w Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej, który będzie się nazywał Nash Rambler, poprzednio Bergdorf Goodman, poprzednio Neiman Marcus, poprzednio Saks Fifth Avenue, poprzednio Christian Dior.

Seth Thomas, który dawno temu nazywał się Manus Kelley i był

moim narzeczoną z inforeklamy. Nie mogłam ci tego powiedzieć aż do teraz, bo chciałam, żebyś wiedziała, jak to odkrycie zabolęło. W moim sercu. Mój narzeczoney chciał mnie zabić.

Chociaż jest takim dupkiem, kochałam Manus. I nadal kocham Seta. Jak nóż, zabolęło to jak nóż i odkryłam, że mimo tego wszystkiego, co się stało, nadal dysponuję nieograniczonymi możliwościami odczuwania bólu.

To od tej nocy wyruszyliśmy razem w drogę i Manus Kelley miał któregoś dnia zostać Setem Thomasem. Tymczasem w Santa Barbara i San Francisco, w Los Angeles i Reno, w Boise i Salt Lake City, Manus był innymi mężczyznami. Między tamtą nocą i teraz, dzisiejszą nocą, kiedy leżę w łóżku w Seattle wciąż w nim zakochana, Seth nazywał się Lance Corporal i Chase Manhattan.

Nazywał się Dow Corning i Herald Tribune, i Morris Code.

Wszystko w ramach Projektu świadków reinkarnacji im.

Brandy Alexander, jak ona to nazywa.

Różni mężczyźni, ale wszyscy zaczęli jako Manus Który Chciał Mnie Zabić.

Różni mężczyźni, ale zawsze ta sama specyficzna uroda policjanta z obyczajówki. Te same tryskające energią niebieskie oczy.

Nie strzelaj... Jedźmy na żagle... ten sam głos. Różne fryzury, ale zawsze te same gęste, czarne włosy seksownego psa.

Seth Thomas to Manus. Manus zdradzał mnie z Evie, ale ja nadal kocham go tak bardzo, że umieszczę w jego pożywieniu każdą ilość sprzężonego estrogenu. Tak bardzo, że zrobię wszystko, żeby go

zniszczyć.

Pomyślisz, że powinnam być mądrzejsza, mając, ile to? Tysiąc sześćset punktów w college'u. Powinnam być mądrzejsza. Mogłabym już zrobić doktorat.

Przepraszam, mamusiu. Przepraszam, Panie Boże.

Przeskok na mnie, jak nie czując się bynajmniej głupią, usiłuję utrzymać przy uchu jeden ze złotych telefonicznych saksofonów Evie. Brandy Alexander jako kłopotliwa królowa nie figuruje w książce telefonicznej. Wiem tylko, że mieszka w centrum w hotelu Congress, w narożnym apartamencie z trzema współmieszkankami:

Kitty Litter.

Sofondą Peters.

I znaną z witalności Vivienne VaVane.

Inaczej z siostrami Rhea, trzema transwestytami, którzy ubóstwiają królową deluxe najwyższej klasy, ale którzy pozabijaliby się o miejsce w szafie. Wiem to od królowej Brandy.

Powinnam rozmawiać z Brandy, ale dzwonię do rodziców.

Wcześniej zamknęłam mojego zabójczego narzeczonego w szafie na ubrania i kiedy go tam pakowałam, zobaczyłam moje piękne stroje, wszystkie rozciągnięte o trzy rozmiary. A włożyłam w nie wszystkie zarobione pieniądze. Po czymś takim musiałam do kogoś zadzwonić.

W tej sytuacji w żaden sposób nie mogę po prostu wracać do łóżka. Dzwonię więc i mój telefon wędruje przez góry i pustynie tam, gdzie odzywa się mój ojciec, a ja odpowiadam mu swoim najlepszym

głosem bruchomówcy, unikając spółgłosek, przy których dolna szczęka jest nieodzownie potrzebna.

- Gflerb sorlfd qortk, erd sairk. Srd. Erd, korts derk sairk?

Kirdo! - mówię mu.

Jak na dzisiaj, telefon nie jest moim przyjacielem.

- Proszę się nie rozłączać - mówi mój ojciec. - Zaraz poproszę żonę. - I już z dała od słuchawki: - Leslie, obudź się, w końcu nas znaleźli.

W tle słycać głos mojej matki.

- Nie wdawaj się z nimi w rozmowy. Powiedz im, że kochaliśmy i ceniliśmy nasze zmarłe homoseksualne dziecko.

Tutaj jest środek nocy. Pewnie już spali.

- Lot. Ordilj - mówię. - Serta ish ka alt!

- Masz tu - mówi mój ojciec i jego głos się oddala. - Leslie, powiedz im, co trzeba.

Ta słuchawka jak złoty saksofon jest ciężka i jakaś teatralna, jak rekwizyt, jakby ta rozmowa wymagała dodatkowego efektu dramatycznego. Z głębi szafy wrzeszczy Seth:

- Błagam. Nie dzwoń na policję, póki nie porozmawiasz z Evie.

Potem głos w telefonie.

- Halo? - To moja matka. - Na świecie jest dość miejsca dla wszystkich i wszyscy możemy się kochać - mówi. - W sercu Boga jest miejsce dla wszystkich Jego dzieci. Gejów, lesbijek, biseksualistów i transseksualistów. Stosunek analny nie oznacza, że nie ma w tym miłości.

- Słyszę w twoim głosie wielkie cierpienie - mówi. - Chcę ci pomóc pokonać ten ból.

Tymczasem Seth wrzeszczy z szafy:

- Nie miałem zamiaru cię zabijać. Przyszedłem rozmówić się z Evie o tym, co ci zrobiła. Chciałem tylko bronić siebie.

W telefonie, o dwie godziny jazdy stąd, słysząc odgłos spuszczonej wody, a potem głos mojego ojca.

- Wciąż jeszcze rozmawiasz z tymi wariatami?

- To takie interesujące! - mówi moja matka. - Chyba jeden z nich mówi, że nas zabije.

- To na pewno Evie do ciebie strzeliła - drze się Seth.

Potem w telefonie rozlega się głos mojego ojca. Ryczy tak głośno, że muszę odsunąć słuchawkę od ucha.

- Wy - krzyczy - to wy powinniście już nie żyć! To wy zabiliście mi syna, cholerni zboczeńcy!

- Z Evie łączył mnie tylko seks - drze się Seth.

Mogłoby mnie tu równie dobrze nie być albo mogłabym oddać słuchawkę Sethowi.

- Błagam, ani przez sekundę nie myśl, że mógłbym cię zabić we śnie - mówi Seth.

A w telefonie krzyczy mój ojciec:

- Tylko spróbuj, łobuzie. Mam tutaj dzień i noc pod ręką nabitą strzelbę - mówi. - Nie damy się więcej torturować - mówi.

- Jesteśmy dumni z tego, że jesteśmy rodzicami zmarłego geja.

A Seth drze się:

- Błagam, odłóż telefon.

Ja mówię:

- Aht! Oahk!

Ale mój ojciec odkłada już słuchawkę.

Lista osób, które mogą mnie uratować, kurczy się tylko do mnie samej. Nie ma na niej mojej najlepszej przyjaciółki. Ani mojego byłego narzeczonego. Ani doktorów, ani pielęgniarek.

Może jest policja, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie czas, żeby zamknąć cały ten bałagan w schludny prawny pakiet i kontynuować moje mniej niż życie. Życie odrażającej i niewidzialnej już na zawsze istoty, zbierającej okruchy swojego życia.

Sprawy są wciąż zawikłane i w stanie zawieszenia, ale nie jestem jeszcze gotowa, żeby coś z nimi zrobić. Jednak moja strefa dobrego samopoczucia rozszerzała się z każdą chwilą. Moje zapotrzebowanie na dramatyczne efekty narastało. Nadchodził czas, żeby zagrać *va banque*. Czułam, że stać mnie na wszystko i że to dopiero początek.

Trzymałam nabitą strzelbę i miałam pierwszego zakładnika.

Rozdział czternasty

Przeskok wstecz do ostatniego razu, kiedy przyjechałam do domu odwiedzić rodziców. Były to moje ostatnie urodziny przed wypadkiem. Ponieważ Shane nadal nie żył, nie spodziewałam się żadnych prezentów. Nie oczekiwałam tortu. Tym ostatnim razem pojechałam do domu tylko po to, żeby ich zobaczyć, moich rodziców.

Wtedy mam jeszcze usta i nie przeszkadza mi myśl, że musiałabym zdmuchiwać świece.

Dom, brązowa kanapa w saloniku i fotele z podnóżkami, wszystko jest tak samo, tyle że mój ojciec pozaklejał taśmą na krzyż wszystkie okna. Samochód mamy nie stoi przed domem na swoim zwykłym miejscu. Stoi zamknięty w garażu. Na drzwiach frontowych pojawiła się wielka zasuwa, której nie pamiętam. Na furtce wisi duża tablica „Zły pies” i mniejsza agencji ochrony.

Kiedy tylko wysiadam z samochodu, mama daje mi znaki, żebym szybko weszła do środka.

- Nie podchodź do okien, Kuleczko. Zbrodnie na tle nienawiści wzrosły od zeszłego roku o sześćdziesiąt siedem procent.

- Po zmroku - mówi - uważaj, żeby twój cień nie padał na żaluzje, tak żeby nie było cię widać z zewnątrz.

Kolację przyrządza przy świetle latarki. Kiedy otwieram piecyk albo lodówkę, wpada w panikę, odsuwa mnie na bok i zamyka to, co otworzyłam.

- Chodzi o światło w domu - mówi. - Antygejowska przemoc wzrosła o przeszło sto procent w ostatnich pięciu latach.

Mój ojciec wraca do domu i parkuje samochód w dużej odległości. Za drzwiami jego klucze dzwonią o nową zasuwę, podczas gdy mama zamiera w drzwiach kuchennych i nie pozwala mi wyjść. Klucze cichną i mój ojciec puka, trzy razy szybko i dwa razy wolno.

- To jego pukanie - mówi mama - ale na wszelki wypadek spójrz przez judasza.

Mój ojciec wchodzi, ogląda się za siebie na ciemną ulicę, obserwuje. Przejeżdża samochód.

- Romeo Tango Fokstrot - mówi - sześć siedem cztery. Zapisz, szybko.

Moja matka zapisuje to w bloku przy telefonie.

- Marka? - pyta. - Model?

- Mercury, niebieski - mówi mój ojciec. - Sabie.

- Mamy go na liście - mówi mama.

Mówię, że może trochę przesadzają.

- Nie lekceważ naszego zagrożenia - mówi mój ojciec.

Przeskok do tego, jak wielkim błędem był ten przyjazd do domu. Przeskok na to, że Shane powinien zobaczyć, jak odbiło naszym rodzicom. Mój ojciec wyłącza lampę, którą włączyłam w saloniku. Zasłony na oknie widokowym są zaciągnięte i spięte agrafką. Oni znają na pamięć wszystkie meble, ale ja w ciemności potykam się o każde krzesło i róg stolika. Strącam na podłogę talerzyk z cukierkami, brzdęk, a moja matka krzyczy i pada na linoleum w kuchni.

Mój ojciec podnosi się zza kanapy, gdzie kucnął.

- Musisz okazać swojej matce trochę wyrozumiałości - mówi.

- Spodziewamy się, że w każdej chwili możemy paść ofiarą zbrodni z nienawiści.

- Czy to był kamień? - krzyczy mama z kuchni. - Czy coś się pali?

- Nie wzywaj ochrony, Leslie - drze się mój ojciec. - Jeszcze jeden fałszywy alarm i będziemy musieli zacząć za nie płacić.

Teraz rozumiem, dlaczego niektóre odkurzacze mają z przodu światło. Najpierw zbieram kawałki szkła w zupełnych ciemnościach, potem proszę mojego ojca o plaster. Stoję w jednym miejscu, trzymam skaleczoną dłoń powyżej serca i czekam. Mój ojciec wyłania się z ciemności ze spirytusem i plastrami.

- Tak wygląda wojna, którą tocymy - mówi. - My wszyscy z erpeelge. rplg. Rodzice i Przyjaciele Lesbijek i Gejów. Wiem. Wiem.

Wiem. Dziękuję ci, Shane.

- Nie powinieneś być członkiem erpeelge - mówię. - Twój syn gej nie żyje, więc się już nie liczy. - To brzmi może brutalnie, ale ja stoję i krwawię. - Przepraszam - mówię.

Plaster jest ciasny i spirytus piecze w ciemności.

- Wilsonowie wywiesili flagę erpeelge w ogródku - mówi mój ojciec. - Dwie noce później ktoś przejechał po ich trawniku i wszystko zniszczył.

Moi rodzice nie mają flagi erpeelge.

- Zdjęliśmy naszą - mówi mój ojciec. - Twoja matka ma na samochodzie naklejkę i dlatego trzymamy jej samochód w garażu. Fakt, że jesteśmy dumni z twojego brata, postawił nas na linii frontu.

Z ciemności odzywa się głos mojej matki.

- Nie zapominaj o Bradfordach. Rzucono im na werandę worek płonących psich odchodów. Mogli się spalić w łózkach razem z całym domem tylko dlatego, że ustawili przy domu tęczowy wiatrowskaz erpeelge - mówi mama. - Nawet nie przed domem, tylko od tyłu.

- Nienawiść - mówi mój ojciec - osacza nas ze wszystkich stron,

Kuleczko. - Wiesz ty o tym?

- Chodźcie, żołnierze - wzywa moja matka. - Jedzenie na stole.

Na kolację jest jakaś zapiekanka z książki kucharskiej erpeelge. To jest nawet dobre, ale Bóg jedyny wie, jak to wygląda. Dwa razy przewracam w ciemności szklankę. Rozsypuję sól na kolana. Jak tylko otworzę usta, rodzice mnie uciszają.

- Słyszeliście coś? - pyta moja mama. - Czy to było na zewnątrz?

Szeptem pytam, czy pamiętają, co to za dzień jest jutro. Tylko żeby sprawdzić, czy pamiętają w tym całym napięciu. Nie żeby oczekiwała tortu ze świeczkami i prezentów.

- Jutro - mówi mój tato. - Oczywiście, że wiemy. Dlatego jesteśmy tak podminowani.

- Chcieliśmy porozmawiać o tym z tobą rano - mówi moja mama. - Wiemy, jak bardzo jesteś wciąż poruszona śmiercią swojego brata, i uważamy, że dobrze ci zrobi, jeżeli weźmiesz jutro udział w naszej paradzie.

Przeskok do innego zwariowanego i chorego rozczarowania, pojawiającego się na horyzoncie.

Przeskok na mnie, jak zostaje ogarnięta, porwana wielką falą ich kompensacji, ich wielkiej pokuty za te lata, kiedy mój ojciec wrzeszczał:

- Nie chcemy wiedzieć, jakie rodzaje paskudnych chorób znosisz do tego domu, ale od dzisiaj możesz się stąd wynosić.

Nazywali to wymagającą miłością.

Siedzimy przy tym samym stole, przy którym mama powiedziała

do Shane'a:

- Dzwonili dziś z gabinetu doktora Petersona.

A do mnie powiedziała:

- Możesz iść do swojego pokoju i poczytać, młoda damo.

Mogłabym polecieć na Księżyc i jeszcze bym słyszała te wrzaski.

Shane i rodzice byli w jadalni, ja za drzwiami mojego pokoju. Moje ubrania, większość moich ubrań do szkoły, wisiały na sznurze na zewnątrz.

- To nie jest angina, co ty masz, mój drogi - mówił ojciec wewnątrz - i chcielibyśmy wiedzieć, gdzie ty chodziłeś i co wyrabiałeś.

- Narkotyki - mówiła moja mama - moglibyśmy znieść.

Shane nie odezwał się ani słowem. Twarz miał wciąż błyszczącą i pomarszczoną od blizn.

- Nastoletnią ciążę - mówiła moja mama - moglibyśmy znieść.

Milczenie.

- Doktor Peterson - mówiła - powiedział, że jest tylko jeden sposób, żeby się zarazić tą chorobą tam, gdzie ty ją masz, ale ja mu mówiłam, nie, nie, nie nasze dziecko, nie Shane.

- Dzwoniliśmy do trenera Ludlowa - powiedział mój ojciec - i on nas poinformował, że od dwóch miesięcy nie chodzisz na koszykówkę.

- Jutro masz się zgłosić do powiatowego ośrodka zdrowia - powiedziała moja mama.

- Jeszcze dzisiaj - powiedział mój ojciec - masz się stąd wynosić.
Nasz ojciec.

Pamiętam tych samych ludzi, takich dobrych, wyrozumiałych, troskliwych i zaangażowanych, tych samych ludzi, odnajdujących swoją tożsamość i cel życia w walce o równość, godność osobistą i równe prawa dla swojego zmarłego syna, jak na niego wrzeszczeli, a ja słuchałam tego zza drzwi swojego pokoju.

- Nie chcemy wiedzieć, jakie rodzaje paskudnych chorób znosisz do tego domu, ale od dzisiaj masz się stąd wynosić.

Pamiętam, że chciałam wyjść, zebrać swoje ubrania, wyprasować je, poskładać i schować do szafy.

Pokaż mi poczucie panowania nad sytuacją.

Błysk.

Pamiętam, jak drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły, nie trzasnęły. W moim pokoju paliło się światło i w oknie widziałam tylko swoje odbicie. Kiedy zgasiłam światło, był tam Shane, stał tuż za oknem i patrzył na mnie, z tą twarzą jak z horroru, posiekaną i zniekształconą, ciemną i twardą po wybuchu lakieru do włosów.

Pokaż mi przerażenie.

Błysk.

Nigdy nie widziałam, żeby palił, ale zapalił zapalniczkę i przyłożył ją do trzymanego w ustach papierosa. Zapukał w szybę.

- Hej, wpuść mnie - powiedział.

Pokaż mi odrzucenie.

- Hej, zimno mi - powiedział.

Pokaż mi ignorancję.

Włączyłam światło w pokoju, żeby widzieć w szybie tylko siebie. Potem zaciągnęłam zasłony. Nigdy więcej Shane'a nie widziałam.

Dziś wieczorem, przy zgaszonych światłach, zaciągniętych zasłonach i zaryglowanych drzwiach frontowych, z Shane'em obecnym tylko w postaci ducha, zadaję pytanie:

- W jakiej paradzie?
- To jest Parada Dumy Gejów - mówi moja mama.
- Idziemy z erpeelge - mówi mój tato.

I chcę, żebym z nimi paradowała. Chcę, żebym siedziała tu z nimi w ciemnościach i udawała, że to przed światem zewnętrznym się chowamy. Że to jakiś dyszący nienawiścią nieznajomy chce nas w nocy napaść. Że to jakaś kosmiczna, śmiertelna choroba weneryczna. Chcieliby wierzyć, że boją się jakiegoś fanatycznego homofoba. Nie ma w tym żadnej ich winy. Chcieliby, żebym ja też myślała, że mam za co pokutować.

Ja nie wyrzuciłam tego pojemnika z lakierem. Ja tylko zapaliłam światło w swoim pokoju. Potem w oddali rozległy się syreny wozów strażackich. Za moimi zasłonami wystrzelił pomarańczowy błysk, a kiedy wyszłam z łóżka, żeby zobaczyć, co się dzieje, moje szkolne ubrania stały w płomieniach. Suszyły się na sznurze do bielizny i były pełne powietrza. Sukienki i sweterki, spodnie i bluzki płoną i rozpadają się na wietrze. W ciągu paru sekund wszystko, co lubiłam, przepadło.

Błysk.

Przeskok o kilka lat do przodu, kiedy już dorosła wyprowadzam się z domu. Pokaż mi nowy początek.

Przeskok do pewnego wieczoru, kiedy ktoś zadzwonił z automatu i spytał moich rodziców, czy Shane McFarland to ich syn.

Rodzice odpowiedzieli: „Może tak”. Dzwoniący nie powiedział, skąd dzwoni, tylko że Shane nie żyje.

- Powiedz im resztę - odezwał się jakiś drugi głos. - Powiedz im, że panna Shane nienawidziła ich do szpiku kości, a jej ostatnie słowa brzmiały: „To jeszcze nie koniec, niech się wam nawet nie śni”.
Potem czyjś śmiech.

Przeskok na nas, jak siedzimy w ciemności nad zapiekanką.

- Więc jak, kochanie, pomaszerujesz ze swoją matką i ze mną?

- pyta mój ojciec.

- To by było wielkim wsparciem dla praw gejów - mówi moja mama.

Pokaż mi odwagę.

Błysk.

Pokaż mi tolerancję.

Błysk.

Pokaż mi mądrość.

Błysk.

Przeskok na prawdę. I mówię:

- Nie.

Rozdział piętnasty

Przeskok do tego momentu około pierwszej w nocy w wielkim, cichym domu Evie, kiedy Manus przestaje się wydierać i wreszcie mogę pomyśleć.

Evie jest w Canciin i pewnie czeka, aż zadzwonią z policji i powiedzą: według naszego rozeznania osoba opiekująca się pani domem, potwór bez dolnej szczęki, zastrzeliła pani tajnego kochanka na śmierć, kiedy ten włamał się z rzeźnickim nożem w rękę.

Wiesz, że Evie teraz nie śpi. Siedzi w pokoju jakiegoś meksykańskiego hotelu i próbuje wyliczyć, czy są trzy, czy może cztery godziny różnicy między jej wielkim domem, gdzie leżą nieżywa, z poderżniętym gardłem, a Canciin, gdzie ona rzekomo uczestniczy w zdjęciach do katalogu. Evie nie zalicza się do kategorii wybitnych umysłów. Nikt nie robi sesji zdjęciowej w Canciin w szczycie sezonu, zwłaszcza z taką grubościastą krową jak Evie Cottrell.

Ale moja śmierć otwiera cały świat nowych możliwości.

Jestem niewidzialnym nikim i siedzę na białej adamaszkowej kanapie naprzeciwko drugiej adamaszkowej kanapy za stolikiem do kawy, który wygląda jak wielki blok malachitu z podręcznika geologii.

Evie spała z moim narzeczonym, mogę jej zrobić wszystko.

W filmach, jeżeli ktoś nagle staje się niewidzialny - wiesz, jakiś wypadek z promieniowaniem jądrowym albo recepta szalonego uczonego - myślisz: co bym zrobiła, gdybym była niewidzialna...? Na

przykład mogłabyś wejść do męskiej szatni na siłowni, albo, jeszcze lepiej, do szatni drużyny Oakland Raiders. Coś z tych rzeczy. Spójrzmy szerzej. Wejść do Tiffanyego i ukraść brylantowe tiary i coś jeszcze.

Manus z samej głupoty mógł pchnąć mnie nożem dziś w nocy, myśląc, że jestem Evie, myśląc, że Evie mnie zastrzeliła, kiedy spałam w ciemnościach w jej łóżku.

Mój tata przyszedłby na mój pogrzeb i opowiadał wszystkim, jak to miałam wrócić na studia i uzyskać stopień osobistego trenera fitness, a potem niewątpliwie pójść na akademię medyczną.

Tato, tato, tato, tato, tatusiu, ja oblałam ze świńskiego płodu na kursie biologii. A teraz jestem trupem.

Przepraszam, mamusiu. Przepraszam, Panie Boże.

Evie siedziałyby obok mojej mamy, tuż przy otwartej trumnie. Weszłyby chwiejnym krokiem, opierając się na ramieniu Manusa. Wiesz, Evie znalazłaby coś totalnie groteskowego, w co przedsiębiorca pogrzebowy miałby mnie ubrać. I tak Evie otacza ramieniem moją mamę, Manus ucieka od trumny najprędzej jak może, a ja leżę w tej wyłożonej granatowym aksamitem trumnie jak we wnętrzu lincolna town car. Oczywiście, dzięki ci, Evie, mam na sobie wieczorowy strój chińskiej konkubiny, żółte jedwabne kimono, rozcięte z boku do pasa, z czerwonymi chińskimi smokami wyhaftowanymi w okolicy miednicy i na piersiach, oraz czarne siatkowe pończochy.

I czerwone pantofle na obcasie. I brak dolnej szczęki.

Oczywiście Evie mówi mojej mamie:

- Ona zawsze uwielbiała ten strój. To kimono lubiła najbardziej.

Wrażliwa Evie powiedziałaaby: „Wygląda na to, że nie udało ci się po raz drugi”.

Mogłabym ją zabić.

Zapłaciłabym wężom, żeby ją pokąsały.

Evie miałyby na sobie małą czarną, aksamitną sukienkę z asymetrycznym dołem i górą bez ramiączek od Rei Kawakubo. Ramiona i rękawy z przezroczystego czarnego szyfonu. Evie ma też biżuterię, wielkie szmaragdy do swoich zbyt zielonych oczu, i wymienne dodatki w torbie, żeby później mogła pójść w tej sukience na tańce.

Nienawidzę Evie.

Co do mnie, to rozkładałam się, pozbawiona krwi w tym kurewskim przebraniu Suzie Wong, Róży Tokio, które musieli pospinać na plecach, bo było za luźne.

Nieżywa, wyglądam jak gówno.

Wyglądam jak nieżywe gówno.

Najchętniej dźgnęłabym ją nożem teraz zaraz, przez telefon.

Nie, naprawdę, powiedziałałabym pani Cottrell, podczas gdy umieszczaliśmy urnę Evie w rodzinnym grobowcu gdzieś w tym strasznym Teksasie. Naprawdę Evie chciała być skremowana.

Ja na pogrzebie Evie miałabym na sobie obcisłą jak bandaż czarną skórzaną mini od Gianniego Versace z całymi jardami czarnych jedwabnych rękawiczek, marszczących się na rękach.

Siedziałabym obok Manusa na tylnym siedzeniu wielkiego czarnego cadillaca firmy pogrzebowej w czarnym kapeluszu od Christiana Lacroix wielkości koła do wozu z czarnym woalem, który potem można zdjąć i pójść na fajny pokaz zamknięty albo aukcję nieruchomości, albo coś innego i potem na lunch.

Evie, Evie byłaby śmieciem. No, dobrze, popiołem.

Sama w jej salonie biorę kryształową szkatułkę na papierosy ze stolika, który wygląda jak blok malachitu, i znad głowy rzucam z całej siły tym małym skarbem o cegły kominka. Rozlega się huk, wszędzie pełno papierosów i zapalek.

Jako drobnomieszczańska nieżywa dziewczyna nagle żałuję, że to zrobiłam, klękam więc i zaczynam sprzątać ten bałagan.

Szkło i papierosy. Tylko Evie... szkatułka na papierosy. To takie z minionej epoki.

I jeszcze zapalki.

Małe ukłucie w palec i kaleczę się kawałeczkiem szkła tak cienkim i przezroczystym, że jest niewidzialny.

To zadziwiające.

Dopiero kiedy napływa krew, żeby obrysować okrucuch szkła na czerwono, dopiero wtedy widzę, co mnie ukłuło. Na odłamku, który wyciągam, jest moja krew. Moja krew jest też na pudełku zapalek.

Nie, pani Cottrell, Evie naprawdę chciała być skremowana.

Wstaję znad tego bałaganu i biegam po mieszkaniu, wyłączając światła i pozostawiając krew na wszystkich lampach i kontaktach. Przebiegam obok szafy na płaszcz i Manus krzyczy:

„Błagam”, ale to, co wymyśliłam, jest zbyt podniecające.

Gaszę wszystkie światła na parterze, a Manus drze się, że musi do toalety. „Proszę”, krzyczy.

Wielki dom Evie z wielkimi kolumnami przed wejściem jest pogrążony w ciemności i po omacku znajduję drogę do jadalni.

Wyczuwam framugę drzwi i odliczam dziesięć wolnych, ślepych kroków po perskim dywanie do stołu z koronkowym obrusem.

Zapalam zapałkę. Zapalam jedną ze świec w wielkim srebrnym świeczniku.

No dobrze, to jest jak z gotyckiej powieści, ale zapalam wszystkie pięć świec w tym srebrnym świeczniku tak ciężkim, że mogę go podnieść tylko oburącz.

Nadal w swoim satynowym peniuarze i szlafrocuku ze strusimi piórami jestem duchem pięknej nieżywej dziewczyny, który idzie z tym świecznikiem po długich kręconych schodach Evie, mijając po drodze wszystkie te olejne obrazy, potem korytarzem pierwszego piętra. W sypialni gospodyni ten duch pięknej dziewczyny w oświetlonej blaskiem świec satynie otwiera szafy pełne jej ubrań, porozciąganych na śmierć przez tę olbrzymią i złą Evie Cottrell. Zamęczone ciała sukienek i sweterków, sukienek i spodni, sukienek i dzinsów, sukni wieczorowych, pantofli i sukienek, prawie wszystkie okaleczone i zdeformowane, błagają, żeby im skrócić męczarnie.

Fotograf w mojej głowie mówi: Pokaż mi gniew.

Błysk.

Pokaż mi mściwość.

Błysk.

Pokaż mi pełną i całkowicie usprawiedliwioną odpłatę.

Błysk.

Będąc już nieżywym duchem, nieistniejącą, absolutnie suwerenną, niewidzialną nicością, w jaką się przeistoczyłam, macham świecznikiem wzdłuż tego całego materiału i: Błysk.

Oto mamy ogromne piekło mody Evie.

Olśniewające..

Ileż to radości! Próbuję z kapą na łóżko i okazuje się, że ta stara brabancka koronkowa robota też się pali.

Zasłony, zielone aksamitne portiery panny Evie też się palą.

Abażury się palą.

Jasna cholera. Szyfon, który mam na sobie, też się zapalił. Gaszę na sobie tłące się pióra i wychodzę z tego pieca mody, jakim jest teraz sypialnia Evie, na korytarz pierwszego piętra.

Jest tu jeszcze dziesięć innych sypialni i kilka łazienek, a ja przechodzę od pomieszczenia do pomieszczenia. Palą się ręczniki. Piekło w łazience! Pali się Chanel N° 5. Obrazy olejne koni wyścigowych i nieżywych bażantów stają w ogniu. Imitacje perskich dywanów w ogniu. Brzydkie kompozycje kwiatowe Evie zmieniają się w małe ogniska. Za ładne! Katty Kathy, lalka Evie, najpierw się topi, potem płonie. Kolekcja wielkich wypchanych zwierząt z różnych festynów - Cootie, Poochie, PamPam, Pan Królik, Choochie, Poo Poo i Dzwonnik - śmiesznofuterkowy holokaust. Za słodkie. Zbyt urocze.

Z powrotem w łazience łapię jedną z niewielu rzeczy, które nie

płoną.

Buteleczkę valium.

Zaczynam schodzić po wielkich, krętych schodach. Kiedy Manus się włamywał, żeby mnie zamordować, zostawił drzwi frontowe otwarte i teraz to ogniste piekło na piętrze zasysa chłodne nocne powietrze. Owiewający mnie podmuch gasi mi świece. Teraz jedyne światło pochodzi z tego piekła, olbrzymi przenośny grzejnik szczyrzy do mnie z góry zęby, a ja jestem pieczona w swoich jedenastu ziołach i osmalonym szyfonie.

Czuję się tak, jakbym zdobyła jakąś ważną nagrodę za wybitne osiągnięcia.

Oto ona, Miss America.

Schodzę z góry.

Nadal uwielbiam ten rodzaj podziwu.

Po drzwiach szafy Manus skomle, że czuje dym, i prosi, prosi, prosi, żebym nie pozwoliła mu umrzeć. Jakby mnie to coś teraz obchodziło.

Nie, naprawdę, Manus chciał być skremowany.

W bloku przy telefonie piszę:

„za minutę otworzę drzwi, ale wciąż mam strzelbę. przedtem wsuwam ci pod drzwi valium. połknij to. jak nie to cię zabiję”.

I wsuwam tę kartkę pod drzwi szafy.

Wychodzimy do jego samochodu przed domem. Zabieram go. Zrobi wszystko, co mu każę, bo jak nie, to gdziekolwiek wylądujemy, powiem policji, że włamał się do domu. Podłożył ogień i użył

strzelby, żeby mnie porwać. Wypaplam wszystko o Manusie i Evie, i o ich chorej miłości.

Słowo „miłość” ma smak woskowiny z ucha, kiedy myślę o Manusie i Evie.

Walę kolbą strzelby w drzwi szafy i pada strzał. Jeden cal i byłabym trupem. Gdybym padła trupem pod zamkniętymi drzwiami, Manus by się spalił.

- Tak! - wrzeszczy Manus. - Zrobię wszystko, co chcesz. Tylko nie strzelaj i nie pozwól mi się spalić. Wszystko, co chcesz, tylko mnie wypuść!

Czubkiem buta wpycham tabletki valium przez szparę pod drzwiami. Trzymając przed sobą strzelbę, przekręcam klucz i odsuwam się na bok. W świetle pożaru na piętrze widać, jak dom wypełnia się dymem. Manus z rękami do góry wytacza się z szafy, wytrzeszczając te swoje niebieskie oczy z dopalaczami, i pod lufą prowadzę go do jego samochodu. Nawet końcem strzelby czuję, że skóra Manusa jest napięta i seksowna. Nie mam żadnych planów.

Wiem tylko, że przez chwilę nie chcę podejmować decyzji. Gdziekolwiek wylądujemy, wiem, że nie chcę wracać do tego, co było.

Zamykam Manusa w bagażniku jego fiata spidera. Ładny samochód, ładny czerwony samochód, z opuszczanym dachem.

Stukam kolbą strzelby o wieko bagażnika.

Żadnego odzewu od mojego miłosnego bagażu. Zastanawiam się, czy nadal chce mu się sikać.

Rzucam strzelbę na tylne siedzenie i wracam do piekła w domu Evie. Hall zmienił się w komin, jest to teraz tunel aerodynamiczny z zimnym powietrzem, wpadającym drzwiami frontowymi i pędzącym w żar i światło nade mną. Nadal stoi tu złoty saksofon telefonu. Wszędzie jest pełno dymu i chór wszystkich syren detektorów dymu jest tak głośny, że bolą uszy.

To czysta złośliwość tak długo trzymać w oczekiwaniu na dobrą wiadomość Evie, która nie może zasnąć w Cancun.

Dzwonię więc pod numer, który zostawiła. Evie podnosi słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Halo? - mówi.

Nic, tylko odgłos wszystkiego, co zrobiłam, wykrywacze dymu i płomień, żyrandol rozdzwoniony podmuchem powietrza, to wszystko, co może usłyszeć na swoim końcu rozmowy.

- Manus? - odzywa się Evie.

Gdzieś, chyba w jadalni, zapada się sufit, iskry i żagwie sypią się z drzwi jadalni na podłogę hallu.

- Manus - mówi Evie - przestań się wygłupiać. Jeżeli to ty, to mówiłam, że nie chcę cię więcej widzieć.

I nagle:

Trzask.

Pół tony iskrzącego się, połyskującego, świetlistego, ręcznie szlifowanego austriackiego kryształu, ogromny żyrandol spada ze środka sufitu w hallu i roztrzaskuje się zbyt blisko.

Jeszcze cał i byłoby po mnie.

Jak tu się nie śmiać. Przecież już nie żyję.

- Słuchaj, Manus - mówi Evie. - Mówiłam ci, nie dzwoń więcej do mnie, bo powiem policji, że posłałeś moją najlepszą przyjaciółkę do szpitala bez twarzy. Rozumiesz?

- Posunąłeś się za daleko - mówi Evie. - Zdobędę sądowy zakaz zbliżania się, jeżeli mnie do tego zmusisz.

Manus czy Evie, nie wiem, komu mam wierzyć, wiem tylko, że moje piórka się palą.

Rozdział szesnasty

Przeskok wstecz do sesji zdjęciowej na złomowisku pełnym brudnych, porozbijanych samochodów, gdzie Evie i ja musimy wdrapywać się na te wraki, ubrane w stringi tak wąskie, że trzeba nosić pod nimi „paski na cipkę” z plastra chirurgicznego, a Evie zaczyna od: „Ten twój okaleczony brat...”

To nie jest też mój ulubiony fotograf i kierownik artystyczny.

Wracam do Evie.

- Tak? - pytam, zajęta wypinaniem tyłka.

A fotograf:

- Evie? To nie jest wydymanie warg!

Im brzydsze ciuchy, tym gorsze miejsca, w których musimy pozować, żeby jakoś wyglądały. Złomowiska. Rzeźnie. Oczyszczalnie ścieków. Znana taktyka brzydkiej druhny, kiedy panna młoda wydaje się ładna przez porównanie. Przy zdjęciach dla przemysłowych dzinsów bałam się, że będziemy musiały pozować, całując

nieboszczyków.

Te wraki samochodów mają pełno dziur i poszarpanych brzegów, a jestem prawie goła i usiłuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miałam zastrzyk przeciwțęcowy. Fotograf opuszcza aparat.

- Ja tu tylko marnuję film, dopóki nie wciągniecie brzuchów - mówi.

Bycie piękną wymagało coraz większego wysiłku. Same podrażnienia skóry od golenia mogły doprowadzić do płaczu. Wosk do bikini. Evie wróciła po zastrzykach kolagenu powiększających wargi i mówiła, że już nie boi się piekła. Następną najgorszą rzeczą jest Manus zrywający plaster z cipki, jeżeli jesteś niedogolona.

A na temat piekła powiedziałam Evie:

- Jutro mamy tam sesję.

- Evie, mogłabyś się wspiąć o parę samochodów wyżej na tym stosie? - pyta kierownik artystyczny.

I mimo wysokich obcasów Evie się wspina. Małe diamenty szkła nierozpryskowego rozsypane są na wszystkim, na co można spaść.

- Jak właściwie twój brat został oszpecony? - pyta Evie przez swój wielki, fotograficzny uśmiech. Prawdziwy uśmiech można utrzymać jedynie przez pewien czas, potem są to już tylko zęby.

Dyrektor artystyczny podchodzi ze swoim małym dozownikiem pianki w sprayu i retuszuje miejsca na moim tyłku, gdzie rozmazał się krem brązujący.

- Ktoś wrzucił pojemnik lakieru do włosów do beczki, w której paliliśmy śmieci - mówię. - On palił śmieci i lakier eksplodował.

- Ktoś? - pyta Evie.

- Możliwe, że była to moja mama - mówię - sądząc po tym, jak krzyczała i starała się zahamować krwawienie.

- Dziewczyny, możecie wspiąć się bardziej na palce? - pyta fotograf.

- Duży pojemnik, trzydzieści dwie uncje lakieru HairShell?

- pyta Evie. - Założę się, że to mu spaliło pół twarzy.

Obie stajemy na palcach.

- Nie było aż tak źle - mówię.

- Chwileczkę - mówi dyrektor artystyczny. - Musicie trochę rozstawić nogi. - Potem mówi: - Szerzej. - Potem: - Jeszcze trochę szerzej. - A potem wręcza nam wielkie chromowane narzędzia, które mamy trzymać.

Moje waży chyba z piętnaście funtów.

- To jest młot udarowy - mówi Evie - i źle go trzymasz.

- Kotku - mówi fotograf do Evie - mogłabyś trzymać tę piłę łańcuchową nieco bliżej ust?

Słońce nagrzało metal samochodów, ich dachy zapadły się pod ciężarem zwalonych na nie innych. Są tu samochody z tak wgniecionymi maskami, że nikt z nich nie mógł wyjść żywy.

Samochody zmiażdżone z boku, w których zginęły całe rodziny. Samochody zgniecione od tyłu, z tylnymi siedzeniami dopchniętymi do tablicy rozdzielczej. Samochody z czasów przed wprowadzeniem

pasów bezpieczeństwa. Samochody sprzed poduszek powietrznych. Samochody sprzed nożyc do rozcinania wraków. Sprzed służby ratowniczej. Są tu samochody zupełnie sponiewierane po wybuchu baków z paliwem.

- To jest takie bogate - mówi Evie. - Jakbym całe życie pracowała, żeby się tu znaleźć.

Kierownik artystyczny mówi, żebyśmy przyłgnęły biustami do tych samochodów.

- Przez cały czas, kiedy dorastałam - mówi Evie - myślałam, że bycie kobietą nie będzie... takim rozczarowaniem.

A ja zawsze tylko chciałam być jedynaczką.

- Perfecto - mówi fotograf.

Rozdział siedemnasty

Te siostry Rhea to trzech białych mężczyzn, skóra i kości, którzy siedzą całymi dniami w apartamencie hotelu Congress w nylonowych halkach z ramiączkami opadającymi z jednego albo drugiego ramienia, pantoflach na wysokim obcasie i palą papierosy. Kitty Litter, Sofonda Peters i Vivacious Vivienne VaVane, z twarzami lśniącymi od kremów nawilżających i oczyszczających, słuchają tej muzyki w rytmie czacza, którą teraz słyszy się tylko w hotelowych windach. Włosy sióstr Rhea, te ich włosy są krótkie i przylizane żelem, pozlepiane i najeżone spinkami. Może poza sezonem letnim naciągają czapki-peruki na te spinki. Przeważnie nawet nie wiedzą, jaka jest pora roku.

Żaluzje mają wiecznie opuszczone i na adapterze z automatycznym zmieniaaczem płyt jest zapas może dwunastu tych nagrań czacza.

Wszystkie meble są jasne, podobnie jak wielka konsola stereo na czterech nogach. To stereo ma taką igłę, że można by nią orać pole, a metalowe ramię waży ze dwa funty.

Pozwolę sobie je przedstawić:

Kitty Litter.

Sofonda Peters.

I Vivacious Vivienne VaVane.

Czyli siostry Rhea, kiedy są na scenie. To jest jej rodzina, powiedziała mi Brandy Alexander w gabinecie logopedy. Nie przy pierwszym spotkaniu, nie wtedy, kiedy się rozplakałam i opowiedziałam Brandy, jak straciłam twarz. Też nie za drugim razem, kiedy Brandy przyniosła koszyk na robótki, pełen sposobów na ukrycie tego, że jestem potworem. To było podczas jednego z wielu razy, kiedy się spotykałyśmy ukradkiem w szpitalu. Dogodnym miejscem tych spotkań był gabinet logopedy.

- Kitty Litter zwykle tleni i wyskubuje zarost na twarzy mówi mi Brandy. - Te nieapetyczne zabiegi potrafią zablokować łazienkę na całe godziny, ale Kitty uwielbia oglądać swoje odbicie w lustrze.

To siostry Rhea stworzyły Brandy. Brandy wszystko im zawdzięcza.

Brandy zamykała drzwi gabinetu logopedy na klucz i jeżeli ktoś zapukał, udawałyśmy odgłosy orgazmu. Krzyczałyśmy, ujadaliśmy,

klepałyśmy podłogę. Ja klaskałam w dłonie, naśladując ten dobrze znany dźwięk klapsów. Ktokolwiek pukał, szybko odchodził.

Wtedy wracałyśmy do eksperymentowania z makijażem i rozmów.

- Sofonda - mówiła mi Brandy - Sofonda Peters jest mózgiem. Miss Peters całymi dniami wbija porcelanowe paznokcie w tarczę telefonu i dzwoni do agenta albo organizatora, i sprzedaje, sprzedaje, sprzedaje.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu logopedy, wydałam więc koci wrzask i klepnęłam się po udzie.

Te siostry Rhea, mówiła mi Brandy, bez nich już by nie żyła.

Kiedy ją znalazły, księżna superkrólowa miała rozmiar dwadzieścia sześć i śpiewała z playbacku na amatorskim konkursie talentów. Udawała, że śpiewa Thumbelina.

Jej włosy, figura, jej biodra, biodradoprzodu krok Brandy Alexander, wszystko to wymyśliły siostry Rhea.

Przeskok na dwa wozy straży pożarnej, mijające mnie, kiedy jadę autostradą w kierunku centrum, oddalając się od płonącego domu Evie. We wstecznym lusterku Manusowego fiata spidera dom Evie staje się coraz to mniejszym ogniskiem. Brzoskwinioworóżowy skraj szlafrocza Evie zatrzasnął się w drzwiach i strusie pióra uderzają mnie w chłodnym, nocnym powietrzu, wpadającym zza szyby kabrioletu.

Cała pachnę dymem. Strzelba na tylnym siedzeniu wymierzona jest w podłogę.

Ani słowa od mojego miłosnego ładunku w bagażniku.

Jest tylko jedno miejsce, do którego mogę się udać.

Nie mogę zatelefonować i poprosić operatora, żeby połączył mnie z Brandy. Operator nie może mnie zrozumieć, jedziemy więc do centrum, do hotelu Congress.

Przeskok do tego, jak cały majątek sióstr Rhea pochodzi od lalki imieniem Katty Kathy. To jest coś jeszcze, co Brandy opowiedziała mi między udawaniem orgazmów w gabinecie logopedy.

Ta lalka, Katty Kathy, jest jedną z tych wysokich na stopę lalek w kolorze cielistym o nieprawdopodobnych wymiarach. Jako prawdziwa kobieta miałyby wymiary 46-16-26. Jako prawdziwa kobieta Katty Kathy nie znalazłaby na sobie w sklepie dokładnie nic. Wiesz, bo musiałaś widzieć tę lalkę. Goła, w plastikowym opakowaniu, kosztuje dolara, ale jej stroje kosztują majątek, taka jest realistyczna. Można kupić około czterystu małych części ubrań, które dają się mieszać i dobierać tak, żeby stworzyć trzy gustowne kreacje. W ten sposób ta lalka jest niewiarygodnie prawdziwa. Przerazająco nawet.

To Sofonda Peters wpadła na ten pomysł. Wymyśliła Katty Kathy, zrobiła prototyp, sprzedała lalkę i zawarła wszystkie umowy. Sofonda żyje jakby w związku małżeńskim z Kitty i Vivian i pieniędzy starcza dla całej trójki.

Katty Kathy sprzedaje się tak dobrze dzięki temu, że jest lalką, która mówi, i ma na plecach krótki złoty łańcuszek. Jak pociągniesz za ten łańcuszek, lalka mówi:

- Ta sukienka może być, to znaczy, jeżeli naprawdę chcesz tak wyglądać.

- Twoje serce to moja pińata.

- Chcesz to na siebie włożyć?

- Myślę, że dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy zaczęły się umawiać z innymi osobami.

- Buzi, buzi.

I:

- Nie dotykaj moich włosów!

Siostry Rhea zbiły fortunę. Samo bolerko Katty Kathy, którego uszycie kosztuje w Kambodży dziesięć centów, tutaj w Ameryce sprzedaje się po szesnaście dolarów. Ludzie tyle płacą.

Przeskok na mnie, jak parkuję fiata z bagażnikiem pełnym mojego miłosnego ładunku w bocznej ulicy i idę Broadwayem w stronę portiera hotelu Congress. Jestem kobietą bez połowy twarzy, która wchodzi do luksusowego hotelu, jednego z tych wielkich hoteli z terakotowym frontonem, jakie budowano sto lat temu i gdzie wyfraczeni portierzy mają złote epolety. A ja jestem w peniuarze i szlafroczk. Bez woalek. Pół szlafrocza, przytrzaśnięte w drzwiczkach samochodu, ciągnęło się po jezdni przez ostatnie dwadzieścia mil. Moje strusie pióra pachną spalenizną i staram się utrzymać w tajemnicy fakt, że jak kaleka kulę trzymam pod pachą strzelbę.

I jeszcze zgubiłam pantofel, ten sandał na wysokim obcasie.

Portier w swoim fraku w ogóle mnie nie zauważa. Tak, moje

włosy, widzę je odbite w wielkiej mosiężnej tablicy z napisem

„Hotel Congress”. Chłodne nocne powietrze zrobiło z mojej fryzury jak ciastko z pianką skotłowane szczurze gniazdo.

Przeskok na mnie, jak stoję przed recepcją hotelu Congress i usiłuję nadać oczom uwodzicielski wyraz. Mówią, że ludzie przede wszystkim zauważają w człowieku wyraz oczu. Patrzy na mnie, jak się domyślam, nocny recepcjonista, boy, kierownik i jakiś urzędnik. Pierwsze wrażenie jest decydujące. Widocznie to mój strój albo strzelba.

- Gerl terk nahdz gah ssid - mówię, używając otworu stanowiącego górną część mojego gardła i języka wysuwającego się spośród masy blizn.

Wszyscy stoją jak wryci, urzeczeni moim uwodzicielskim spojrzeniem.

Nie wiem, jakim sposobem na kontuarze znajduje się strzelba, wycelowana w nikogo konkretnie.

Kierownik w swojej granatowej marynarce z małą mosiężną plakietką „Mr Baxter” na piersi robi krok w moją stronę.

- Możemy dać pani wszystkie pieniądze z szuflady - mówi - ale nikt z nas nie może otworzyć safe'u w biurze.

Strzelba na kontuarze mierzy teraz prosto w plakietkę „Mr Baxter”, co zostaje zauważone. Pstrykam palcami w kierunku kartki papieru, żeby mi ją podsunął. Długopisem na sprężynce do użytku gości piszę:

„w którym apartamencie mieszkają siostry Rhea? nie zmuszajcie

mnie, żebym pukała do wszystkich drzwi na piętnastym piętrze, jest środek nocy.”

- To będzie apartament piętnaście G - mówi Mr Baxter, wyciągając do mnie przez kontuar ręce pełne pieniędzy, których nie chcę. - Windy - mówi - są po prawej.

Przeskok na mnie, jak zostaję Daisy St. Patience w dniu, kiedy usiadłyśmy z Brandy po raz pierwszy sam na sam. W dniu mrożonego indyka po tym, jak przez całe lato czekałam, aż ktoś mnie spyta, co się stało z moją twarzą, i w końcu wszystko opowiedziałam Brandy.

Kiedy Brandy posadziła mnie na krześle jeszcze ciepłym od jej tyłka i po raz pierwszy zamknęła drzwi gabinetu logopedy, nadała mi imię z mojej przyszłości. Nazwała mnie Daisy St.

Patience i nigdy nie spytała, jak się nazywałam, zanim przekroczyłam drzwi gabinetu. Zostałam Daisy St. Patience, prawowitą spadkobierczynią międzynarodowego Domu Mody St.

Patience.

Brandy mówiła i mówiła. Mówiła tyle, że brakowało nam powietrza, i nie chodzi tylko o nas, Brandy i o mnie, ale o cały świat. Całemu światu brakowało powietrza, tyle Brandy mówiła.

Dżungle Amazonii nie nadążały z produkcją tlenu.

- To, kim jesteś w danej chwili - powiedziała Brandy - to tylko opowieść.

A ja potrzebowałam nowej opowieści.

- Pozwól mi zrobić dla ciebie to - powiedziała Brandy - co siostry Rhea zrobiły dla mnie.

Pokaż mi odwagę.

Błysk.

Pokaż mi serce.

Błysk.

Przeskoczmy więc do mnie, kiedy jako Daisy St. Patience jadę tą windą, a potem Daisy St. Patience kroczy szerokim, wyłożonym dywanem korytarzem do apartamentu piętnaście G. Daisy puka i nikt nie odpowiada. Zza drzwi słychać tylko melodię czacza.

Potem drzwi uchylają się na sześć cali, ale zatrzymuje je łańcuch.

W tej sześciocalowej szczelinie ukazują się trzy białe twarze, jedna nad drugą, Kitty Litter, Sofonda Peters i Vivienne VaVane, błyszczące od kremu nawilżającego. Ich krótkie ciemne włosy są zakręcone w papilotach.

Siostry Rhea.

Która jest która, nie mam pojęcia.

- Nie zabieraj nam superkrólowej - mówi ten słup totemowy trzech ciot przez szparę w drzwiach.

- Ona jest wszystkim, co mamy w życiu.

- Ona jeszcze nie jest skończona. Nie jesteśmy nawet w połowie i mamy jeszcze przy niej masę roboty.

Pokazuję im przeblysk strzelby przez różowy przezroczysty szyfon i drzwi się zatrząskują.

Słychać odgłos zdejmowanego łańcucha i po chwili drzwi otwierają się na całą szerokość.

Przeskok do pewnego razu, późno w nocy, w drodze z Nikąd, w stanie Wyoming, do Licho Wie Gdzie, w Montanie, kiedy Seth mówi, że nasze przyjście na świat czyni z naszych rodziców Boga. Zawdzięczamy im nasze życie, a oni mają nad nami władzę.

- A potem dojrzewanie robi z nas Szatana, bo chcemy czegoś więcej.

Przeskok do wnętrza apartamentu piętnaście G z jego jasnymi meblami, bossanową, czaczą, dymem z papierosów i siostrami Rhea, które latają po pokoju w swoich nylonowych halkach z opadającym jednym albo drugim ramiączkiem. Nie muszę nic robić, wystarczy, że skieruję lufę.

- Wiemy, kim jesteś, Daisy St. Patience - mówi jedna z nich, zapalając papierosa. - Z taką twarzą, Brandy o niczym innym nie myśli.

Wszędzie w pokoju stoją te wielkie, ceramiczne popielniczki model 1959, tak wielkie, że wystarczy je opróżniać raz na kilka lat.

Ta z papierosem podaje mi swoją długą dłoń z porcelanowymi paznokciami.

- Jestem Pie Rhea - mówi.

- A ja jestem Die Rhea - mówi druga, stojąca obok radia.

- To są nasze imiona sceniczne - mówi Pie Rhea, ta z papierosem, i wskazuje trzecią Rhea, zajadającą na kanapie chińskie jedzenie z pudełka. - To jest Panna Która Się Tuczy, możesz do niej mówić Gon Rhea.

- Miło mi, zapewne - mówi Gon Rhea z ustami pełnymi czegoś,

czego nie ma się ochoty oglądać.

- Królowa nie potrzebuje twoich kłopotów - mówi Pie Rhea, kładąc papierosa wszędzie, tylko nie do ust - nie dzisiejszej nocy.

My jej wystarczamy jako rodzina.

Na zestawie stereo stoi w srebrnej ramce zdjęcie pięknej dziewczyny na tle ekranu, która uśmiecha się do niewidocznej kamery, a niewidoczny fotograf mówi do niej: Pokaż mi namiętność.

Błysek.

Pokaż mi radość.

Błysek.

Pokaż mi młodość, energię, niewinność i piękno.

Błysek.

- Pierwsza rodzina Brandy, ta, w której się urodziła, nie chciała jej, więc my ją adoptowałyśmy - mówi Die Rhea. Wskazując długim palcem uśmiechnięte zdjęcie, Die Rhea mówi: - Jej rodzina myśli, że ona nie żyje.

Przeskok do tej chwili w przeszłości, kiedy miałam twarz i robiłam to zdjęcie na okładkę magazynu „BabeWear”.

Przeskok z powrotem do apartamentu piętnaście G - to zdjęcie na jasnym stereo to jestem ja, moja okładka, okładka magazynu

„BabeWear”, oprawiona - z Die Rheą, celującą palcem we mnie.

Przeskok na nas, jak siedzimy w gabinecie logopedy za zamkniętymi drzwiami i Brandy mówi, ile miała szczęścia, że trafiła na

* Dierrhea, (ang.) biegunka, Gonorrhoea, (ang.) rzeżączka.

(Wszystkie przypisy od tłumacza). siostry Rhea. Nie każdy dostaje drugą szansę, żeby powtórnie się narodzić i być wychowanym od nowa, tylko tym razem przez kochającą rodzinę.

- Kitty Litter, Sofonda i Vivienne - mówi Brandy - zawdzięczam im wszystko.

Przeskok do apartamentu piętnaście G, kiedy Gon Rhea gestykuje palczkami w moim kierunku i mówi:

- Nie próbuj nam jej odebrać. Jeszcze z nią nie skończyliśmy.

- Jeżeli Brandy odejdzie z tobą - mówi Pie Rhea - będzie musiała sama płacić za swoje sprzężone estrogeny. I za operacje części rodnych. Nie mówiąc o elektrolizie moszny.

- Nie są to tanie sprawy - mówi Die Rhea do zdjęcia na zestawie stereo, do głupiej uśmiechniętej buzi w srebrnej ramce. Die Rhea bierze zdjęcie i podsuwa mi je pod nos, moja przeszłość staje ze mną oko w oko. - Oto jak Brandy chciała wyglądać, jak jej wredna siostra - mówi. - To było dwa lata temu, zanim przeszła operację laserowego pocienienia strun głosowych i wygładzenia tchawicy. Naciągnięto jej o trzy centymetry skórę na czaszce, żeby uzyskać odpowiednią linię włosów. Zapłaciłyśmy za zestruganie wałów nadoczodołowych, które miała ta Panna Chłop.

Zapłaciłyśmy za poprawę zarysu szczęki i feminizację czoła.

- A za każdym razem, kiedy wracała do domu ze szpitala - mówi Gon Rhea z ustami pełnymi przeżutej chińszczyzny - z czołem połamanym i przemodelowanym albo z jabłkiem Adama zestruganym do należącego damom zera, to jak myślisz, kto koło niej chodził przez

te dwa lata?

Przeskok na moich rodziców, śpiących w swoich łóżkach, daleko stąd, za górami i pustyniami. Przeskok na nich i ich telefon, i lata temu jakiś piskliwy straszny zboczeniec dzwoni do nich i wykrzykuje, że ich syn nie żyje. Ich syn, którego nie chcieli, Shane zmarł na aids i ten ktoś nie chciał powiedzieć gdzie i kiedy, a potem roześmiał się i odwiesił słuchawkę.

Przeskok z powrotem do wnętrza apartamentu piętnaście G, gdzie Die Rhea wymachuje mi przed nosem moim starym zdjęciem.

- Tak chciała wyglądać - mówi - i tak teraz wygląda, dzięki dziesięciom tysięcy dolarów za Katty Kathy.

- Guzik - mówi Gon Rhea. - Brandy wygląda dużo lepiej.

- To my kochamy Brandy Alexander - mówi Pie Rhea.

- Ale ona kocha ciebie, bo ty jej potrzebujesz - mówi Die Rhea.

- Ktoś, kogo kochasz, i ktoś, kto kocha ciebie, nigdy, przenigdy, nie są jedną i tą samą osobą - mówi Gon Rhea. - Brandy nas rzuci, jeżeli uzna, że jest ci potrzebna, ale my też jej potrzebujemy.

Ten ktoś, kogo ja kocham, leży zamknięty w bagażniku samochodu z żołądkiem pełnym valium i zastanawiam się, czy nadal chce mu się sikać. Mój brat, którego nienawidzę, powstał z martwych. Śmierć Shane'a była za dobra, żeby mogła być prawdziwa.

Po pierwsze wybuch lakieru do włosów nie mógł go zabić.

Potem nasi rodzice nie mogli go zapomnieć.

A teraz zawiódł mnie nawet śmiertelny wirus hiv.

Mój brat to jedna wielka seria gorzkich, pierdolonych

rozczarowań.

Słysząc gdzieś odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, potem następnych, wreszcie otwierają się kolejne drzwi i staje w nich Brandy.

- Daisy, kochanie - mówi i wkracza w dym i dźwięki czacza, ubrana w zachwycający kostium podróżny od Billa Blassa typu pierwsza dama, jednolicie zielony z białą lamówką, zielone pantofle na wysokim obcasie i do tego niezwykle elegancka zielona torebka. Na głowie ma niepoprawny ekologicznie kapelusik z zielonych papuzich piórek. - Daisy, kochanie - mówi Brandy - nie celuj ze strzelby do osób, które kocham.

W każdej wielkiej upierścienionej dłoni Brandy trzyma zwykowne kremowe walizki.

- Niech mi ktoś pomoże - mówi. - To są tylko królewskie hormony. Moje ubrania są w drugim pokoju.

- Panno Pie Rhea - mówi Brandy do Sofondy - wyjeżdżam.

- Panno Die Rhea - mówi do Kitty - zrobiłam wszystko, co było możliwe. Zrobiliśmy korektę linii włosów, powiększenie czoła, zestruganie wałów nadoczodołowych. Zrobiliśmy ścięcie grdyki, korektę nosa, korektę zarysu szczęki, przemodelowanie czoła...

Nic dziwnego, że nie poznałam swojego oszpeconego brata.

- Panno Gon Rhea - zwraca się Brandy do Vivienne - zostało mi jeszcze kilka miesięcy treningu przystosowawczego do życia i nie mam zamiaru marnować ich w tym hotelu.

Przeskok na nas, jak odjeżdżamy fiatem spiderem załadowanym

bagażami. Wyobraź sobie zdesperowanych uciekinierów z Beverly Hills z siedemnastoma walizkami w jednolitym kolorze, przemierzających kraj jak ongiś bezrolni farmerzy, żeby rozpocząć nowe życie na Środkowym Zachodzie. Wszystko bardzo eleganckie i gustowne. Zostawiamy za sobą ślad odrzuconych dodatków, pantofli i rękawiczek, kapeluszy i innych części garderoby, żeby zmniejszyć obciążenie przy pokonywaniu Gór Skalistych.

Dzieje się to po wizycie policji, niewątpliwie na skutek telefonu kierownika hotelu, który zawiadomił, że na piętnastym piętrze grasuje okaleczona psychopatka ze strzelbą. Wcześniej siostry Rhea zdążyły znieść wszystkie bagaże Brandy schodami przeciwpożarowymi. Jeszcze wcześniej Brandy powiedziała, że musi wyjechać i przemyśleć sprawy, wiesz, przed jej wielką operacją. Wiesz, przed przemianą.

Jeszcze wcześniej patrzyłam na Brandy i zastanawiałam się: to jest Shane?

- Wicie - mówiła - to taka poważna decyzja zostać dziewczyną. Już na zawsze.

Brać hormony. Do końca życia. Pigułki, plasterki, zastrzyki - do końca życia. A co, jeżeli znajdzie się ktoś, jedna jedyna osoba, która ją pokocha i uszczęśliwi taką jak jest, bez hormonów, makijażu, sukni, pantofli i operacji? Musi przynajmniej rozejrzeć się trochę po świecie. Brandy tłumaczy to wszystko, a siostry Rhea płaczą, ładują bagaże do samochodu i machają.

Cała ta scena byłaby rozdzierająca i ja też bym popłakiwała,

gdybym nie wiedziała, że Brandy jest moim zmarłym bratem, a tą osobą, która miałaby go pokochać, jestem ja, jego wyrodna siostra, już planująca, jak go zgładzić. Tak, ja, planująca zabójstwo Brandy Alexander. Ja, nie mająca nic do stracenia, planująca moją wielką zemstę w blasku reflektorów.

Pokaż mi brutalne marzenia o zemście jako mechanizm rekompensujący.

Błysk.

Pokaż mi tylko pierwszą okazję.

Błysk.

Brandy za kierownicą, odwraca się do mnie z oczami zapłakanymi i rozmazanymi.

- Czy wiesz, co to są „standardowe wskazówki Benjamina”?

- pyta.

Brandy zapuszcza silnik, zwalnia ręczny hamulec, włącza bieg i wyciąga szyję, żeby widzieć ruch na drodze.

- Muszę przez cały rok żyć w mojej nowej roli na hormonach, zanim zrobią mi operację organów płciowych. Nazywa się to treningiem przystosowawczym.

Brandy wyjeżdża na ulicę. Uciekłyśmy w ostatniej chwili.

Policjanci antyterrorystyczni w szykownej czerni z dodatkami w postaci gazu łzawiącego i pistoletów półautomatycznych szarżują, mijając w wejściu przytrzymującego im drzwi portiera ze złotymi epoletami. Siostry Rhea biegną za nami, machają nam, posyłają całusy i generalnie odgrywają rolę brzydkiej druhny, aż zdyszane stają na

ulicy, a ich pantofle na wysokim obcasie są do wyrzucenia.

Świeci księżyc. Budynki biurowe po obu stronach ulicy tworzą jakby kanion. Mamy wciąż Manusa w bagażniku i oddaliśmy się już na sporą odległość od ewentualności mojego aresztu.

Brandy kładzie mi swoją wielką dłoń na udzie i ściska.

Podpalenie, porwanie, myślę, że teraz jestem na drodze do morderstwa. Może to wszystko postawi mnie w centrum uwagi, nie tej dobrej, ale jednak przyciągającej ogólnokrajowe media.

„Dziewczyna potwór zabija rzekomo nieżyjącego brata”.

- Zostało mi osiem miesięcy z mojego roku przystosowawczego
- mówi Brandy. - Myślisz, że mogłabyś mi dotrzymać towarzystwa przez najbliższe osiem miesięcy?

Rozdział osiemnasty

Pół życia spędzam, ukrywając się w łazienkach bogaczy.

Przeskok wstecz do Seattle, do czasu, kiedy Brandy, Seth i ja jeździmy i polujemy na narkotyki. Przeskok do dnia, po tej nocy, kiedy wjechaliśmy na Kosmiczną Iglicę, a teraz Brandy leży rozwalona na podłodze łazienki. Najpierw pomogłam jej zdjąć zakiet i rozpięłam na plecach bluzkę, a teraz siedzę na sedesie i przedawkowuję valium, wrzucając pigułki do jej grafitowych ust z regularnością chińskiej tortury wodnej. Z valium jest tak, mówi Brandy, że nie likwiduje bólu, ale przynajmniej nie wściekasz się, że cię boli.

- Strzelaj - mówi Brandy i wyciąga wargi w ryjek.

Rzecz w tym, że Brandy ma niesamowitą tolerancję na narkotyki i trzeba się strasznie napracować, żeby ją zabić. To i jeszcze jest taka duża, a większość z tego to mięśnie, że potrzeba niezliczonej liczby buteleczek wszystko jedno czego.

Wrzucam valium. Małe, niemowlęco niebieskie valium, następne bladoniebieskie valium i jeszcze w kolorze błękitu Tiffany ego, jak prezent od Tiffany ego, pigułki koziołkując, wpadają do wnętrza Brandy.

Ten kostium, z którego pomagałam Brandy się uwolnić, jest w stylu Epoki Kosmicznej od Pierre'a Cardina w odważnej bieli z prostą, obcisłą spódnicą, tuż nad kolana, świeżą i sterylną, zakiet ponadczasowy w swoim klinicznie prostym kroju z rękawami trzy czwarte. Pod spodem ma bluzkę bez rękawów. Do tego białe winylowe kozaczki z kwadratowymi czubkami. To strój, do którego bardziej pasowałby licznik Geigera niż torebka.

W Bon Marche, kiedy wychodzi z przymierzalni jak na wybieg, mogę tylko bić brawo. Będzie przeżywać depresję poporodową za tydzień, kiedy będzie musiała go zwrócić.

Przeskok do tego ranka, kiedy Brandy i Seth pławili się w pieniądzach za narkotyki. Zamówiliśmy śniadanie do pokoju i Seth mówi, że Brandy mogłaby przenieść się w lata pięćdziesiąte dwudziestego wieku do Las Vegas na innej planecie i pasowałaby tam w sam raz. Na planecie Krylon, mówi, gdzie syntetyczne supereleganckie botki wysysałyby z ciebie tłuszcz i zmieniały twój wizerunek.

- Jaki tłuszcz? - pyta Brandy.

- Podoba mi się - mówi Seth - że mogłabyś być przybyszem z dalekiej przyszłości z przesiadką w latach sześćdziesiątych.

A ja dorzucam premarin do drugiej kawy Seta. I darvon do szampana Brandy.

Przeskok na nas, Brandy i mnie, w łazience.

- Strzelaj - mówi Brandy.

Jej wargi są rozlazłe i rozciągnięte, a ja wrzucam w nie kolejny prezent od Tiffanego.

Ta łazienka, w której się schowałyśmy, przechodzi wszystkie dekoratorskie pomysły i ma sugerować podmorską grootę. Nawet telefon jest jakiś podwodny, ale kiedy wyjrzysz przez wielkie okrągłe okna w mosiężnych ramach, widać Seattle ze szczytu Capitol Hill.

Sedes, na którym siedzę, tylko siedzę, deska jest opuszczona pod moim tyłkiem, dziękuję, ale ten sedes jest wielką porcelanową skorupą ślimaka przykręconą do ściany. Umywalka jest wielką porcelanową połówką muszli małża przykręconą do ściany.

Kraina Brandy, seksualne fantazje aż do gwiazd, a ona mówi:

- Strzelaj.

Przeskok na chwilę, kiedy tu przyjechaliśmy i sprzedawca nieruchomości powitał nas wielkim uśmiechem. Jeden z tych futbolowych stypendystów ze zrośniętymi brwiami, którzy zapominają uzyskać stopień z czegokolwiek.

Jakbym miała tu coś do powiedzenia ze swoim tysiącem sześćset punktów.

Oto sprzedawca nieruchomości z bogatego klubu, któremu zostawił tę posadę bogaty sponsor, bo chciał mieć zięcia, który towarzyszyłby mu w sześciu albo siedmiu partiach kręgli podczas weekendu. Ale może jestem trochę uprzedzona.

Brandy wprost wychodziła z siebie w swojej kobiecej wilgotności. Oto facet z dodatkowym chromosomem Y w dwurzędowym granatowym, wełnianym garniturze, facet, przy którego łapskach nawet duże dłonie Brandy wyglądają na małe.

- Panie Parker - mówi Brandy z dłonią w jego wilgotnej łapie, a w jej oczach widać już ścieżkę dźwiękową z filmu o miłości.

- Rozmawialiśmy dziś rano.

Znajdujemy się w gabinecie domu na Capitol Hill. To jeszcze jeden bogaty dom, gdzie wszystko jest dokładnie tym, na co wygląda. Wyszukane róże w stylu Tudorów, wyrzeźbione na suficie, są z gipsu, a nie z tłoczonych blachy czy włókna szklanego. Poobijane torsy gołych Greków są z marmuru, a nie z robionego na marmur gipsu. Puzderka na kominku nie są emaliowane w stylu Faberge. To są puzderka Faberge i jest ich jedenaście. Koronkowy bieżnik pod puzderkami też nie został zrobiony maszynowo.

Nie tylko grzbiety, ale całe okładki książek na wszystkich półkach w bibliotece są ze skóry i wszystkie strony są rozcięte. Nie trzeba brać do ręki żadnej książki, żeby to wiedzieć.

Agent od nieruchomości, Mr Parker, ma wciąż dobrze umięśnione nogi. Z przodu jedna nogawka jest o tyle bardziej wypełniona, że pewne są bokserki, a nie slipy.

Brandy kiwa głową w moją stronę.

- To jest Miss Arden Scotia z tej rodziny od Denver River Logging and Paper Scotias. - No, to jestem kolejną ofiarą Projektu Reinkarnacji Świadków Brandy Alexander.

Wielka dłoń Parkera połyka moją małą, jakby wielka ryba połknęła małą.

Biała wykrochmalona koszula Parkera, przywodząca na myśl jedzenie na czystym obrusie, jest tak równa i wypięta, że można by serwować na niej drinki jak na barze.

- A to - Brandy kiwa głową w stronę Setha - jest brat przyrodni Miss Scotia, Ellis Island.

Wielka ryba Parkera połyka małą rybę Ellisa.

- Miss Scotia i ja chciałybyśmy same obejrzeć dom - mówi Brandy. - Ellis jest niezrównoważony umysłowo i emocjonalnie.

Ellis szczyrzy zęby.

- Miałyśmy nadzieję, że będzie pan miał na niego oko - mówi Brandy.

- Nie ma sprawy - mówi Parker. - Oczywiście - mówi.

Ellis uśmiecha się i dwoma palcami ciągnie za rękaw żakietu Brandy.

- Nie zostawiaj mnie za długo samego - mówi Ellis. - Jak nie dostanę na czas swoich pigułek, będę miał atak.

- Atak? - pyta Parker.

- Czasami - mówi Ellis - Miss Alexander, ona zapomina, że ja czekam i nie daje mi żadnych lekarstw.

- On ma ataki? - pyta Parker.

- To dla mnie coś nowego - mówi Brandy z uśmiechem. - Nie będziesz miał żadnego ataku - strofuje mojego nowego brata przyrodniego. - Ellis, zabraniam ci mieć atak.

Przeskok na nas, obozujących w tej podwodnej grocie.

- Strzelaj.

Podłoga pod plecami Brandy to zimne płytki w kształcie ryb tak ułożone, że pasują do siebie, ogon jednej ryby między głowami dwóch innych ryb, tak jak czasami ułożone są sardynki w puszcze, i tak przez całą podłogę.

Wrzucam valium między grafitowe wargi.

- Czy mówiłam ci kiedyś, jak moja rodzina mnie wyrzuciła?

- pyta Brandy, przełknąwszy mały łyk błękitu. - To znaczy, moja prawdziwa rodzina. W której się urodziłam. Czy opowiadałam ci kiedyś tę małą nieprzyjemną historyjkę?

Opuszczam głowę i między kolanami patrzę prosto w dół na superkrólową, leżącą z głową między moimi stopami.

- Przez parę dni bolało mnie gardło, więc nie poszłam do szkoły i tak dalej - mówi Brandy. - Miss Arden? Halo?

Patrzę na nią z góry. Bardzo łatwo sobie wyobrazić, że nie żyje.

- Miss Arden, proszę - mówi. - Strzelisz?

Wrzucam kolejne valium.

Brandy przełyka.

- Przez kilka dni nie mogłam przełykać - mówi. Miałam tak obolałe gardło. Ledwo mogłam mówić. Moi starzy oczywiście

myśleli, że to angina.

Kiedy patrzę w dół, głowa Brandy znajduje się prawie prosto pod moją. Tyle że jej jest odwrócona. Moje oczy zagląдают do mrocznego wnętrza jej grafitowych ust, ciemnowilgotnego wnętrza, prowadzącego do jej mechanizmów, organów i wszystkiego, co jest za kulisami. Kuluary Brandy Alexander. Oglądana do góry nogami mogłaby być kimś zupełnie obcym.

Ellis miał rację, pytamy ludzi o nich tylko po to, żeby im opowiedzieć o sobie.

- Test na ropne zapalenie gardła okazał się pozytywny na trypra. Wiesz, trzecia siostra Rhea. Gonorea - mówi. - Ten mały, malutki gonokok. Miałam szesnaście lat i złapałam trypra. Moi starzy nie znieśli tego najlepiej.

Tak, to prawda.

- Zupełnie im odbiło - mówi Brandy.

I wyrzucili go z domu.

- Wrzeszczeli, że jestem chory - mówi Brandy.

A potem go wyrzucili.

- Mówiąc „chory”, mieli na myśli „gej” - mówi.

A potem go wyrzucili.

- Miss Scotia? Strzelaj.

No to strzelam.

- A potem mnie wyrzucili z tego cholernego domu.

Przeskok na Mr Parkera, który stoi pod drzwiami łazienki.

- Miss Alexander? To ja, Miss Alexander. Miss Scotia, jest pani

tam?

Brandy próbuje usiąść i opiera się na jednym łokciu.

- To Ellis - mówi Parker zza drzwi. - Chyba powinna pani zejść na dół. Miss Scotia, pani brat ma atak czy coś takiego.

Na wszystkich akwamarynowych blatach leżą porozrzucane leki i kosmetyki, a półnaga Brandy leży rozwalona na podłodze wśród pigułek, kapsułek i tabletek.

- To jest jej brat przyrodni - odkrzykuje Brandy.

Rusza się klamka.

- Musicie mi pomóc - mówi Parker.

- Niech pan przestanie, Parker! - krzyczy Brandy i klamka nieruchomieje. - Niech się pan uspokoi. Niech pan tu nie wchodzi - mówi Brandy. - Musi pan - tu spogląda na mnie - musi pan unieruchomić Ellisa na podłodze, żeby sobie nie zrobił krzywdy.

Za chwilę będę na dole.

Brandy patrzy na mnie i uśmiecha się, układając swoje grafitowe wargi w wielki łuk.

- Parker? - pyta. - Słucha pan?

- Proszę się pośpieszyć - dochodzi zza drzwi.

- Jak pan przyciśnie Ellisa do podłogi - mówi Brandy - niech mu pan włoży coś między zęby. Ma pan portfel?

Chwila milczenia.

- To jest skóra węgorza, Miss Alexander.

- Musi pan być z niego bardzo dumny - mówi Brandy.

- Niech mu pan go wciśnie między zęby, żeby nie mógł zamknąć

ust. Może pan na nim usiąść, jak będzie trzeba. - Brandy u moich stóp jest teraz śmiejącym się wcieleniem zła.

Z dołu dobiega przez drzwi odgłos tłuczonego prawdziwego kryształu.

- Szybciej! - krzyczy Parker. - On tam coś tłucze!

Brandy oblizuje wargi.

- Jak mu pan otworzy usta, niech go pan chwyci za język. Jeśli pan tego nie zrobi, on się udusi i będzie pan siedział na trupie.

Milczenie.

- Czy pan mnie słyszy? - pyta Brandy.

- Mam go złapać za język?

W oddali tłucze się jeszcze coś autentycznego i kosztownego.

- Kochanie, mam nadzieję, że jest pan ubezpieczony - mówi księżna Alexander z twarzą nabiegłą krwią od powstrzymywanego śmiechu. - Tak - mówi - niech pan złapie Ellisa za język.

Niech go pan przyciśnie do podłogi, otworzy mu usta i wyciągnie język najdalej jak się da i trzyma, póki nie przyjdę panu pomóc.

Klamka się porusza.

Moje woalki leżą koło lustra poza moim zasięgiem.

Drzwi uchylają się nieco i zatrzymują na nodze Brandy, która chichocze rozciągnięta na podłodze pośród różnych leków, półnaga i pełna valium. Szpara jest wystarczająco szeroka, żeby zobaczyć pół twarzy Parkera z jedną zrosniętą brwią, i wystarczająco szeroka, żeby ta twarz zobaczyła mnie na sedesie.

- Ja tu się zajmuję Miss Arden! - wrzeszczy Brandy.

Mając do wyboru chwytanie kogoś za język i oglądanie, jak potwór robi kupę do ogromnej muszli ślimaka, twarz wycofuje się i zatrząskuje za sobą drzwi.

Kroki futbolowego stypendysty oddalają się korytarzem.

Potem dudnią po schodach.

Ten dupek Parker, słysząc, jak tupie przez hall do salonu.

Krzyk Ellisa dochodzi nas z dołu, autentyczny, nagły krzyk.

I nagle się urywa.

- O czym to mówiłyśmy? - odzywa się Brandy.

Z powrotem kładzie się na plecach z głową między moimi stopami.

- Zastanawiałaś się nad operacją kosmetyczną? - pyta Brandy. A potem: - Strzelaj!

Rozdział dziewiętnasty

Kiedy jesteś gdzieś z pijakiem, możesz zauważyć, jak pijak napełnia twój kieliszek, żeby móc opróżnić swój. Dopóki pijesz, picie jest w porządku. Dwoje to jest towarzystwo. Picie jest zabawne. Jeżeli stoi przed wami butelka, to nawet jeżeli twój kieliszek nie jest jeszcze pusty, pijak doleje trochę do twojego kieliszka, zanim napełni swój.

To tylko wygląda na szczodrość.

Ta Brandy Alexander zawsze zagaduje mnie na temat operacji plastycznej. Wiesz, dlaczego nie zainteresuję się jej możliwościami. Przy jej silikonowym biuście, odessanych biodrach, z talią osy albo

Katty Kathy, dzieło dobrej wróżki, marzenie Pygmaliona, mój zmartwychwstały brat Brandy Alexander jest ogromnie zaangażowany w chirurgię plastyczną.

I vice versa.

Łazienkowe rozmowy.

Brandy nadal leży na zimnej ceramicznej podłodze wysoko na szczycie Capitol Hill w Seattle. Mr Parker przyszedł i odszedł. Tylko Brandy i ja przez całe popołudnie. Wciąż siedzę na wielkiej porcelanowej muszli ślimaka przykręconej do ściany.

Usiłując zabić ją na swój niezdecydowany sposób. Kasztanowa głowa Brandy leży między moimi stopami. Szminki i demerole, róże i percocet-5, Bakłażanowe Marzenia i kapsułki nembutalu są porozsypywane po akwamarynowych blatach wokół umywalki.

Tak długo trzymałam w garści valium, że moja dłoń przybrała odcień błękitu Tiffanyego. Tylko Brandy i ja przez całe popołudnie i słońce wpada pod coraz niższym kątem przez wielkie, okrągłe okna w mosiężnej oprawie.

- Moja talia - mówi Brandy. Grafitowe usta są jakby trochę sine, w kolorze błękitu Tiffany'ego, gdyby ktoś mnie pytał.

W kolorze przedawkowanego błękitu. - Sofonda powiedziała, że mam mieć w talii szesnaście cali - mówi Brandy. - Ja na to: Miss Sofonda, ja jestem grubej kości. Mam sześć stóp wzrostu. Za nic w świecie nie dojdę do szesnastu cali w talii.

Siedzę na tej skorupie ślimaka i słucham tego jednym uchem.

- Sofonda - mówi Brandy - Sofonda powiada, że jest sposób, ale

muszę jej wierzyć. Kiedy obudzę się w sali pooperacyjnej, będę miała w talii szesnaście cali.

Słyszałam tę historię w dziesięciu innych łazienkach. Kolejną buteleczkę z blatu, kapsułki bilaxu, sprawdzam w Vademecum lekarza.

Bilax. Środek przeczyszczający.

Może powinnam wrzucić parę kapsułek w te niezamykające się usta między moimi stopami.

Przeskok na Manusa, który przygląda się, jak robię tę inforeklamę. Byliśmy tacy piękni! Ja miałam twarz, a on nie był tak naszpikowany sprzężonymi estrogenami.

Myślałam, że łączy nas prawdziwa miłość. Tak myślałam. Byłam bardzo zainteresowana miłością, ale okazało się, że jest to tylko długi ciąg seksu, który mógł skończyć się w każdej chwili, bo przecież chodzi o to, żeby skończyć. Manus zamykał swoje błękitne oczy z dopalaczami, przekręcał głowę z boku na bok i przetykał.

I, tak, mówiłam Manusowi. Kończyłam razem z nim.

Łóżkowe rozmowy.

Prawie zawsze wmawiamy sobie, że kogoś kochamy, podczas gdy naprawdę go wykorzystujemy.

To tylko wygląda na miłość.

Przeskok na Brandy leżącą na podłodze łazienki.

- Sofonda, Vivienne i Kitty - mówi - wszystkie były ze mną w szpitalu. - Odrywa ręce od podłogi i pociera nimi boki bluzki.

- Wszystkie trzy miały na sobie workowate zielone stroje i

czepki na perukach, a do tych swoich kitli przypinały sobie broszki ze sztucznych kamieni w stylu księżnej Windsoru - mówi Brandy. - Fruwały w cieniu za plecami chirurga i Sofonda kazała mi liczyć od stu do tyłu. Wiesz... dziewięćdziesiąt dziewięć... dziewięćdziesiąt osiem... dziewięćdziesiąt siedem...

Zamykają się oczy w bakłażanowych cieniach. Brandy oddycha równo i wolno.

- Ci doktorzy - mówi - wyjęli mi dolne żebra z obu stron klatki piersiowej. - Pokazuje rękami gdzie. - Nie mogłam usiąść w łóżku przez dwa miesiące, ale miałam szesnaście cali w talii.

I nadal mam szesnaście cali w talii.

Jedna dłoń Brandy otwiera się jak kwiat i prześlizguje po płaskim miejscu, gdzie bluzka jest wpuszczona w spódnicę.

- Wycięli mi dwa żebra i nigdy więcej ich już nie widziałam - mówi Brandy. - W Biblii jest coś o wyjmowaniu żeber.

Stworzenie Ewy.

- Sama nie wiem, dlaczego pozwoliłam im to z sobą zrobić - mówi Brandy. I zasypia.

Przeskok wstecz do tej nocy, kiedy Brandy i ja wyruszyliśmy w drogę, do tej nocy, kiedy uciekaliśmy z hotelu Congress i Brandy prowadziła, tak jak tylko można jechać w środku nocy otwartym sportowym wozem z nabitą strzelbą i naćpanym zakładnikiem. Brandy ukrywa oczy za okularami przeciwsłonecznymi, żeby mieć trochę prywatności. I ekspresowy szyk z innej planety w latach pięćdziesiątych: Brandy zawiązuje na swoich kasztanowych włosach

apaszkę od Hermesa.

Jedyne, co widzę, to swoje własne odbicie w lustrzankach Brandy, malutkie i okropne. Jestem wyciągnięta i rozdzierana przez zimne nocne powietrze, opływające przednią szybę. Szlafroczek nadal powiewa przytrzaśnięty drzwiami. Moja twarz, dotknij mojej zrujnowanej, pokrytej bliznami twarzy, a mogłabyś przysiąc, że dotykasz kawałków skórki pomarańczowej i zwierzęcej skóry.

Jedziemy na wschód i nie jestem pewna, przed czym uciekamy. Przed Evie czy policją, Mr Baxterem czy siostrami Rhea.

Albo przed nikim. Albo przed przyszłością. Przed losem. Dorastając, starzejąc się. Zbierając skorupy. Jakbyśmy uciekając, nie musiały dalej żyć. Jestem teraz z Brandy, bo nie wyobrażam sobie, jak mogłabym się z tego wydostać bez jej pomocy. Bo akurat teraz jest mi potrzebna.

Nie, żebym ją naprawdę kochała. Jego. Shanea.

Słowo „kochać” już brzmi dość słabo.

Apaszka od Hermesa na głowie, lustrzanki RayBan na oczach, makijaż na twarzy, patrzę na superkrólową w błyskach, błyskach, znów w błyskach reflektorów z przeciwnego kierunku.

Kiedy patrzę teraz na Brandy, widzę to, co widział Manus, kiedy zabrał mnie na żagle.

Patrząc teraz na rozbłyśki Brandy, siedzącej obok mnie w samochodzie Manusa, wiem, dlaczego ją pokochałam. Pokochałam siebie. Brandy Alexander wygląda dokładnie tak jak ja przed wypadkiem. A dlaczego nie? Jest przecież moim bratem Shaneem.

Shane i ja byliśmy prawie tego samego wzrostu, urodziliśmy się w odstępie roku. Ta sama cera. Te same rysy. Te same włosy, tyle że włosy Brandy są lepiej utrzymane.

Dodaj do tego odsysanie tłuszczu, silikon, ścięcie chrząstki tchawicy, ścięcie łuków nadoczodołowych, obniżenie linii włosów, chirurgię plastyczną nosa, nowe ukształtowanie szczęki.

Dodaj do tego całe lata elektrolizy oraz codzienną garść hormonów i antyandrogenów i nie ma się co dziwić, że jej nie poznałam.

Plus przekonanie, że mój brat od lat nie żyje. Człowiek nie jest przygotowany na spotkanie z nieboszczykiem.

To, co mi się podoba, to ja sama. Byłam taka piękna.

Mój miłosny ładunek, Manus Zamknięty W Bagażniku, Manus Co Chciał Mnie Zabić, jak mogę uważać, że nadal go kocham? Manus jest tylko tym ostatnim mężczyzną, który uważał, że jestem piękna. Który całował moje wargi. Który mnie dotykał. Manus jest tylko tym ostatnim mężczyzną, który powiedział, że mnie kocha.

Liczę fakty i to jest wielce przygnębiające.

Mogę jeść tylko odżywki dla niemowląt.

Moja najlepsza przyjaciółka pieprzyła się z moim narzeczonym.

Mój narzeczony omal nie zabił mnie nożem.

Podpaliłam dom i przez całą noc mierzyłam ze strzelby do niewinnych ludzi.

Mój znienawidzony brat powstał z martwych, żeby mnie zepchnąć na dalszy plan.

Jestem niewidzialnym potworem i nie potrafię nikogo kochać. Nie wiadomo, co gorsze.

Przeskok na mnie, jak moczę w umywalce myjkę. W tej podmorskiej grocie nawet ręczniki i myjki są w kolorze morskim i błękitnym, obrębione ząbkowanym motywem muszli. Przykładam zimną i mokrą myjkę do czoła Brandy, i budzę ją, żeby mogła połknąć więcej pigułek. Niech umrze w samochodzie, a nie w tej łazience.

Podnoszę Brandy na nogi i upycham ją z powrotem w jej kostium.

Musimy z nią pochodzić, zanim ktoś zobaczy ją w takim stanie.

Zapinam jej na stopach pantofle na obcasie. Brandy opiera się o mnie. Opiera się o skraj umywalki. Podnosi garść kapsułek bilaxu i przygląda się im przymykając oczy.

- Mój kręgosłup mnie wykończy - mówi. - Dlaczego pozwoliłam im zrobić sobie takie wielkie cycki?

Superkrólowa sprawia wrażenie, że gotowa jest łyknąć garść czegokolwiek.

Kręcę głową. Nie.

- Ale ja tego potrzebuję. - Brandy patrzy na mnie, mrużąc oczy.

W Vademecum lekarza pokazuję jej, że bilax to środek przeczyszczający.

- A - Brandy odwraca dłoń, żeby wsypać bilax do torebki, i część kapsułek tam wpada, a część przykleiła się do jej spoczonej dłoni. - Kiedy ci robią cycki, twoje sutki są niesymetryczne i za wysoko - mówi. - Obcinają ci sutki brzytwą i przemieszczają w nowe

miejsce.

To jej określenie.

Przemieszczają.

Program Przemieszczania Sutków Brandy Alexander.

Mój zmarły brat, świętej pamięci Shane, strząsa ostatnią kapsułkę środka na przeczyszczenie z wilgotnej dłoni.

- Nie mam czucia w sutkach - mówi Brandy.

Zgarniam z blatu swoje woalki i warstwa za warstwą owijam sobie nimi głowę.

„Dziękuję za pilnowanie swojego nosa”.

Chodzimy tam i z powrotem po korytarzach pierwszego piętra, aż Brandy mówi, że jest gotowa do zejścia po schodach. Noga za nogą, cichutko schodzimy do hallu. Z drugiej jego strony, zza zamkniętych podwójnych drzwi gabinetu słychać bas Mr Parkera, łagodnie powtarzający coś raz po raz.

Brandy wisi na mnie i kulawo przebiegamy na palcach od podstawy schodów do drzwi gabinetu. Uchylamy je nieco i zaglądamy przez szczelinę do środka.

Ellis leży na dywanie.

Mr Parker siedzi mu na piersi i trzyma swoje wielkie buty po obu stronach głowy Ellisa.

Ręce Ellisa tłuką po wielkim zadku Mr Parkera i szarpią od tyłu jego dwurzędową marynarkę. Marynarka Mr Parkera jest rozerwana wzdłuż szwu do samego kołnierza.

Ręce Mr Parkera, jedna dłoń wciska zaśliniony, pogryziony

portfel ze skóry węgorza między nienagane zęby Ellisa.

Twarz Ellisa jest bordowa i błyszcząca jak u człowieka, który wygrał konkurs na zjedzenie placka wiśniowego bez pomocy rąk. Mokra, palcem malowana packa krwi z nosa i łez, smarków i śliny.

Mr Parkerowi włosy opadły na oczy. W drugiej dłoni zaciska jakieś pięć cali wyciągniętego języka Ellisa.

Ellis szarpie się i dławi między potężnymi nogami Mr Parkera.

Dookoła nich na podłodze leżą potłuczone wazy z epoki Ming i inne muzealne okazy.

- Tak dobrze - mówi Mr Parker. - Tylko tak dalej. Tak ładnie.

Tylko spokój.

Brandy i ja patrzymy.

Dla mnie, która życzę Ellisowi wszystkiego najgorszego, jest to scena zbyt piękna, żeby ją przerywać.

Ciągnę Brandy za rękaw. Brandy, kochanie. Przejdźmy się z powrotem na górę. Odpocznij jeszcze trochę. Dam ci świeżą, milutką garstkę benzedryny.

Rozdział dwudziesty

Jeżeli chodzi o chirurgię plastyczną, to spędziłam całe lato jako własność szpitala La Paloma, sprawdzając, co chirurgia plastyczna może dla mnie zrobić.

Byli tam chirurdzy plastyczni, cała masa, i były książki, które przynosili. Z obrazkami. Obrazki były, Bogu dzięki, czarnobiałe i chirurdzy powiedzieli mi, jak po latach cierpień mogę wyglądać.

Prawie każda operacja plastyczna zaczyna się od czegoś, co nazywa się płat uszypułowany. Przepis poniżej.

To będzie makabryczne. Nawet w czerni i bieli.

Dowiedziałam się tyle, że mogłabym być lekarzem.

Przepraszam, mamusiu. Przepraszam, Panie Boże.

Manus kiedyś powiedział, że nasi rodzice są Bogiem. Kochasz ich i chcesz, żeby byli zadowoleni, a jednocześnie chcesz samodzielnie ustalać reguły.

Chirurdzy wyjaśnili mi, że nie można tak po prostu wyciąć kawałek skóry z jednego miejsca i przykleić go w innym miejscu. To nie jest przesadzanie drzewa. Ukrwienie, żyły i naczynia włosowate nie połączą się, żeby utrzymać przeszczep przy życiu.

Ten kawałek ciała obumarłby i odpadł.

To straszne, ale kiedy teraz widzę, jak ktoś się czerwieni, to nie myślę już: o, jak uroczo. Rumieniec przypomina mi tylko, że krew jest pod powierzchnią wszystkiego.

Zabieg dermabrazji, powiedział mi pewien chirurg plastyczny, to jest jak przyłożenie dojrzałego pomidora do tarczy ścierniej. Płaci się głównie za mokrą robotę.

Żeby przeszczepić kawałek skóry w celu odbudowania szczęki, należy wyciąć długie pasmo skóry z szyi pacjenta od podstawy szyi, ale nie odcinać w górnej części.

Wyobraź sobie taki proporczyk albo pasek skóry, zwisający luźno wzdłuż twojej szyi, ale wciąż przyrośnięty do dolnej części twojej twarzy. Ta skóra jest nadal przyrośnięta, dociera więc do niej

krw. Ten pasek skóry wciąż jest żywy. Weź ten pasek skóry i zwiń go w rurkę albo kolumnę. Pozostaw zwinięty, aż zrośnie się w długi, dyndający kawałek ciała, zwisający ci z dolnej części twarzy. Żywa tkanka. Pełna świeżej, zdrowej krwi, dyndająca i ciepło objająca się o szyję. To się nazywa „płat uszypułowany”.

Sam proces gojenia może trwać miesiące.

Przeskok wstecz do czerwonego fiata z Brandy za okularami przeciwsłonecznymi i Manusem zamkniętym w bagażniku, i Brandy wiezie nas na szczyt Rocky Butte, z ruinami jakiegoś fortu. Gdyby to nie był dzień powszedni, uczniowie z okolicznych szkół średnich rozbijaliby w tych ruinach butelki po piwie i zabawiali się seksem bez zabezpieczeń.

W piątek wieczorem na tym wzgórzu byłoby pełno chłopaków i dziewczyn, mówiących: Zobacz, tam widać mój dom. To niebieskie światło w oknie to moi starzy oglądający telewizję.

Te ruiny to tylko kilka warstw kamiennych bloków, wciąż jeszcze utrzymujących się jeden na drugim. Wewnątrz ruin ziemia jest płaska i skalista, pokryta tłuczonym szkłem i porośnięta szorstką trawą. Wokół nas, we wszystkich kierunkach z wyjątkiem drogi, którą przyjechaliśmy, zbocza Rocky Butte to urwiska, wznoszące się nad kropkowanymi liniami siatki ulic.

Cisza taka, że można się udławić.

Musimy się gdzieś zatrzymać. Dopóki nie zdecyduję, co dalej. Dopóki nie zorganizujemy jakichś pieniędzy. Evie wróci do domu za jakieś dwa, może trzy dni i do tego czasu musimy się ulotnić. Myślę,

że potem zadzwonię do Evie i zaszantażuję ją.

Evie ma wobec mnie wielki dług.

To mi się musi udać.

Brandy wjeżdża fiatem w najciemniejszą część ruin, po czym wyłącza światła i hamuje. Stajemy tak gwałtownie, że tylko pasy powstrzymują nas od uderzenia w tablicę rozdzielczą.

Wnętrze samochodu wypełnia trzask i brzęk metalu uderzającego o metal.

- Przepraszam, chyba - mówi Brandy. - Jakieś gówno na podłodze dostało się pod pedał, kiedy próbowałam hamować.

Muzyka w barwie srebra wydobywa się spod naszych foteli.

Pierścienie do serwetek i srebrne łyżeczki sypią się wokół naszych stóp. Brandy ma między stopami lichtarz. Srebrny półmisek, połyskujący w świetle gwiazd, wysunął się do połowy spod fotela Brandy i zagląda między jej długie nogi.

Brandy patrzy na mnie. Z brodą opuszczoną, Brandy zsuwa okulary na czubek nosa i unosi uczernione brwi.

Wzruszam ramionami i wysiadam, żeby uwolnić mój miłosny ładunek.

Mimo otwarcia bagażnika Manus się nie rusza. Kolana ma przyciągnięte do łokci, dłońmi obejmuje twarz, stopy dotykają pośladków. Manus wygląda jak płód w wojskowych drelichach.

Wszędzie wokół niego, nie zauważyłam wcześniej, miałam dziś w nocy ciężkie przeżycia, wybacz mi więc, że nie zauważyłam tego w domu Evie, ale wszędzie wokół Manusa połyskują srebrne sztuce.

Piracki skarb w bagażniku jego fiata oraz inne rzeczy.

Relikty.

Długa biała świeca, jest tu świeca.

Brandy odrywa się od swojego fotela i też przychodzi popatrzeć.

- O kurwa - mówi Brandy i przewraca oczami. - O kurwa.

Jest tu też popielniczka, nie, to gipsowy odlew małej dłoni tuż obok nieprzytomnego tyłka Manusa. Jest to prezent, jaki dzieci robią na Dzień Matki, w szkole podstawowej, przyciskając rączkę do foremki z mokrym gipsem.

Brandy odgarnia pasmo włosów z czoła Manusa.

- Jest naprawdę, naprawdę ładniutki - mówi - ale myślę, że będzie niepełnosprawny umysłowo.

Wyjaśnianie tego Brandy na piśmie byłoby zbyt kłopotliwe, ale umysł Manusa nigdy nie był zbyt sprawny.

Szkoda, że to tylko valium.

Brandy zdejmuje ciemne okulary, żeby lepiej się przyjrzeć.

Zdejmuje swoją apaszkę od Hermesa i potrząsa włosami, demonstrując całe ich bogactwo, przygryza wargi, zwilża je językiem na wypadek, gdyby Manus się ocknął.

- Ładniutkim facetom zwykle lepiej dawać barbiturany - mówi Brandy.

Postaram się to zapamiętać.

Dźwigam Manusa, aż siedzi w bagażniku z nogami zwisającymi nad zderzakiem. Oczy Manusa, błękitne z dopalaczem, otwierają się i zamykają, otwierają i pozostają zmrużone.

Brandy pochyla się, żeby go sobie lepiej obejrzeć. Mój brat chce mi ukraść narzeczonego. Teraz to już życzę śmierci wszystkim.

- Obudź się, kochanie - mówi Brandy, podnosząc podbródek Manusa.

- Mamusiu? - mówi Manus, nadal mrużąc oczy.

- Obudź się, kochanie - mówi Brandy. - Już dobrze.

- Teraz? - pyta Manus.

- Już dobrze.

Rozlega się cichy szmer, jak odgłos deszczu spływającego po dachu namiotu albo kabrioletu.

- O mój Boże. - Brandy cofa się o krok. - O słodki Jezu!

Manus mruga, spogląda na Brandy, a potem na swoje uda.

Jedna nogawka jego wojskowych drelichów robi się ciemniejsza, ciemniejsza, jeszcze ciemniejsza aż do kolana.

- Jest ładniutki - mówi Brandy - ale właśnie zsikał się w spodnie.

Przeskok wstecz do operacji plastycznej. Przeskok do radosnego dnia wyleczenia. Miałaś ten długi pasek skóry, dyndający przy szyi przez kilka miesięcy, tylko to nie był jeden pasek. Jest ich pewnie z pół tuzina, bo lepiej jest zrobić od razu kilka, żeby chirurg miał do dyspozycji więcej tkanki.

Do operacji rekonstrukcji będziesz nosić te długie dyndające paski skóry, zwisające z dolnej części twarzy przez jakieś dwa miesiące.

Mówi się, że pierwszą rzeczą, jaką ludzie w tobie zauważają, są oczy. Porzuć tę nadzieję. Wyglądasz jak jakiś produkt mięsny,

zmielony i wypluty z Fabryki Kanapek Mniam Mniam.

Jak mumia rozpadająca się na deszczu.

Jak popsuta piñata.

Te paski ciepłej skóry, dyndające przy twojej szyi, to dobra, ukrwiona, żywa tkanka. Chirurg bierze każdy z tych pasków i podłącza zagojony koniec do twojej twarzy. W ten sposób całość tkanki zostaje przeniesiona, przeszczepiona na twoją twarz bez przerwy w dopływie krwi. Podciągają ci tę całą luźną skórę i formują z grubsza na podobieństwo szczęki. Twoja szyja jest pokryta bliznami w miejscach, z których została pobrana skóra.

Twoja szczęka jest masą przeszczepionej tkanki, która, jak mają nadzieję chirurdzy, zrośnie się i utrzyma na miejscu.

Przez następny miesiąc ty i chirurdzy żyjecie nadzieją. Przez następne miesiące ukrywasz się w szpitalu i czekasz.

Przeskok na Manusa, który siedzi we własnych sikach i srebrnej zastawie w bagażniku swojego czerwonego sportowego auta.

Nagłe przypomnienie czasów nauki siadania na nocniku. Zdarza się.

Ja kucam przed nim, szukając wzrokiem wypukłości portfela.

A Manus gapi się na Brandy. Pewnie myśli, że Brandy to ja z czasów, kiedy miałam twarz.

Brandy traci zainteresowanie.

- On nic nie pamięta. Myśli, że jestem jego matką - mówi Brandy. - Może siostrą, ale matką?

Jakie to znajome. Próbuj, bracie.

Musimy się gdzieś zatrzymać i Manus też potrzebuje nowego miejsca. Nie tego, w którym mieszkaliśmy razem. Musi pozwolić nam ukrywać się w swoim pokoju albo powiem policji, że mnie porwał i podpalił dom Evie. Manus nie wie, że Mr Baxter i siostry Rhea widziały mnie biegnącą po mieście ze strzelbą.

Piszę palcem na ziemi:

„musimy znaleźć jego portfel”.

- Ma zasikane spodnie - mówi Brandy.

Teraz Manus spostrzega mnie, podrywa się i wali głową o pokrywę bagażnika. Ojejku, wiesz, że to boli, ale to jeszcze nie tragedia, dopóki Brandy Alexander nie wtrąca się z przesadną reakcją.

- O, biedactwo - mówi.

I wtedy Manus zaczyna pochlipywać jak dziecko. Manus Kelley, ostatnia osoba, która ma do tego powód, płacze.

Nienawidzę tego.

Przeskok do dnia, kiedy przeszczepy się przyjmują, ale tkanka będzie jeszcze potrzebowała podpory. Nawet jeżeli przeszczepy zaleczą się i przypominają z grubsza gruzłową szczękę, wciąż jeszcze potrzebna jest kość. Bez zuchwy miękka masa tkanki, chociaż żyjąca, może ulec reabsorbcji.

To jest słowo, którego używali chirurdzy.

Reabsorbcja.

Wessanie do reszty twarzy, jakbym była jakąś zrobioną ze skóry gąbką.

Przeskok na płaczącego Manusa i Brandy, która pochylona nad

nim pociesza go i głaszcze po jego seksownych włosach.

W bagażniku jest para pokrytych brązem dziecięcych bucików, srebrna waza do zupy i obrazek indyka z makaronu, przyklejonego do kartonu.

- Wiesz... - Manus pociąga nosem i ociera go grzbietem dłoni. - Jestem teraz na haju, więc mogę ci to powiedzieć. - Manus patrzy na pochyloną nad nim Brandy i na mnie, kucającą na ziemi. - Najpierw - mówi Manus - rodzice dają ci twoje życie, ale potem usiłują ci wcisnąć swoje.

Żeby zrobić ci żuchwę, chirurdzy wycinają ci fragmenty twoich kości piszczelowych wraz z przyczepionymi do nich arteriami.

Najpierw odsłaniają kość i rzeźbią w niej na twojej nodze.

Można też wykorzystać różne inne kości, zwykle długie kości nóg i rąk. Wewnątrz tych kości jest miękka substancja gąbczasta.

Spongiosa, jak piszą w książkach.

- Moja mama - mówi Manus - i jej nowy mąż - moja mama często wychodzi za mąż - kupili sobie wakacyjny domek w Bowling River, na Florydzie. Nie wolno tam kupować nieruchomości ludziom przed sześćdziesiątką. Takie jest tam prawo.

Patrzę na Brandy, która nadal jest nadopiekuńczą matką, przykleka, odgarnia Manusowi włosy z czoła. Patrzę na to, co dzieje się za urwistym zboczem wzgórza. Te małe niebieskie światełka we wszystkich domach to ludzie oglądający telewizję.

Błękit Tiffanowego. Błękit valium. Ludzie zniewoleni.

* Amerykanie tak utrwalają i przechowują na pamiątkę pierwsze

buciki dziecka.

Najpierw moja najlepsza przyjaciółka, a teraz mój brat próbuje mi odbić narzeczonego.

- W zeszłym roku odwiedziłem ich na Boże Narodzenie - mówi Manus. - Moja mama, oni kochają ten swój domek.

W tym Bowling River wszelkie kategorie wiekowe są popieprzone. Moja mama i ojczym dopiero co skończyli sześćdziesiąt lat i są tam młodziakami. Na mnie ci wszyscy staruszkowie patrzyli podejrzliwie jak na potencjalnego złodzieja samochodów.

Brandy oblizuje wargi.

- Według standardów Bowling River - mówi Manus - mnie jeszcze nie ma świecie.

Musisz wyciąć odpowiednio duże fragmenty tej miękkiej, krwawej substancji gąbczastej. Potem musisz wprowadzić te fragmenty kości do miękkiej tkanki, przeszczepionej do twarzy.

Naprawdę tego nie robisz, robią to chirurdzy, kiedy ty śpisz.

Jeżeli fragmenty kości będą odpowiednio blisko siebie, wytworzą komórki, które je połączą w jedną całość. I znów książkowe słowo.

Fibroblasty.

I znów trwa to miesiącami.

- Moja mama i jej mąż - mówi Manus, siedząc w otwartym bagażniku swojego fiata spidera na szczycie Rocky Butte - ich największym prezentem dla mnie na święta jest opakowane pudło. Jest takiej wielkości, że mógłby to być profesjonalny system stereo

albo panoramiczny telewizor. Taką miałem nadzieję. Oczywiście, mogłoby to być coś innego, co też by mi się spodobało.

Manus opuszcza na ziemię jedną stopę, potem drugą. Już stojąc, odwraca się do swojego fiata pełnego sreber.

- Ale nie - mówi Manus - oni mi dają to gówno.

Manus w swoich butach komandosa i wojskowych drelichach wyjmuje z bagażnika duży, pękaty, srebrny imbryk i przygląda się swojemu grubemu odbiciu w jego wypukłym boku.

- Całe pudło - mówi Manus - jest pełne takiego gówna i podobnych skarbów rodzinnych, których nikt inny nie chce.

Tak jak ja wyrznęłam kryształową szkatułką na papierosy o kominek Evie, Manus bierze baseballowy zamach i posyła imbryk w ciemność. Za skraj urwiska, ponad ciemność i światła podmiejskiej dzielnicy, imbryk leci tak daleko, że nawet nie słychać jego upadku.

Nie odwracając się, Manus sięga za siebie i chwyta coś innego.

Srebrny świecznik.

- Oto mój spadek - mówi Manus. Rzucony z zamachem w ciemność, świecznik koziółkuje w ciszy, tak jak sobie wyobrażamy lot satelity.

- Wiecie - Manus wyrzuca garść błyszczących pierścieni do serwetek - jak rodzice są niby Bóg. Jasne, że ich kochacie i chcecie, żeby żyli jak najdłużej, ale nie widujecie się z nimi, dopóki czegoś od was nie chcą.

Srebrna waza szybuje w górę, w górę, w górę do gwiazd, a potem spada i ląduje gdzieś wśród niebieskich świateł telewizorów.

A kiedy fragmenty kości się zrosną, dając ci nową szczękę w tej masie przeszczepionej skóry, wtedy chirurg może spróbować uformować to w coś, czym możesz mówić, jeść i co możesz upacykować grubą warstwą makijażu.

Ale to po latach cierpień.

Po latach życia w nadziei, że to, co dostaniesz, będzie lepsze od tego, co masz. Po latach, kiedy wyglądasz i czujesz się gorzej w nadziei, że może będziesz wyglądać lepiej.

Manus bierze z bagażnika świecę, białą świecę.

- Moja mama - mówi Manus - jej prezentem numer dwa na Boże Narodzenie było pudło pełne rzeczy z mojego dzieciństwa, które ona przechowywała. Zobaczmy, co tu mamy - mówi Manus i podnosi świecę. - Moja świeca od chrztu.

Manus posyła świecę daleko w ciemności.

Pokryte brązem dziecięce buciki są następne.

Owinięte w białą szatę od chrztu.

Potem garść mlecznych zębów.

- Pieprzyć tę cholerną wróżkę od zębów*.

Kosmyk blond włosów w medalionie na łańcuszku, łańcuszek niczym bolo wylatuje z ręki Manusa i znika w ciemnościach.

- Powiedziała, że daje mi to wszystko, bo nie ma tego gdzie trzymać - mówi Manus. - Nie dlatego, że już tego nie chce.

Gipsowy odlew rączki z drugiej klasy koziołkuje w ciemności.

- Cóż, mamusiu, jeżeli ty tego nie chcesz - mówi Manus - to ja też nie będę taszczył ze sobą tego gówna.

Przeskok do tych wszystkich razy, kiedy Brandy Alexander namawia mnie na operację plastyczną, a ja wtedy myślę o płatach uszypułowanych. O reabsorbcji. Fibroblastach. Substancji gąbczastej. O latach cierpienia i nadziei, i o tym, że nie będę mogła się śmiać.

Śmiech to jedyny zrozumiały dla ludzi dźwięk, jaki mi pozostał.

Brandy, dobrze mi życząca superkrólowa z cyckami tak wypełnionymi silikonem, że nie może utrzymać pionu, mówi:

- Zobaczymy, co tam jeszcze jest.

I jak mogę zrezygnować ze śmiechu?

Naprawdę, Shane, nie zależy mi aż tak bardzo na przyciąganiu uwagi.

* Kiedy dziecko gubi pierwszy mleczny ząb, wróżka kładzie mu prezent pod poduszkę.

Pozostanę przy swoich woalkach.

Jeżeli nie mogę być piękna, to chcę być niewidzialna.

Przeskok na srebrną łyżkę do ponczu odlatującą w nicość.

Przeskok do wszystkich łyżeczek.

Przeskok na wszystkie szkolne świadectwa i zdjęcia klasy, które odfruwają.

Manus zgniata kawałek grubego papieru.

Jego metryka urodzenia. Przestaje istnieć. Manus obejmuje się ramionami i kiwa się z pięt na palce, z pięt na palce.

Brandy spogląda na mnie, żebym coś powiedziała. Palcem na piasku piszę:

„manus gdzie ty teraz mieszkasz?”

Małe chłodne dotknięcia spadają na moje włosy i brzoskwińworóżowe ramiona. Pada deszcz.

- Posłuchaj - mówi Brandy - nie chcę wiedzieć, kim jesteś, ale gdybyś mógł wybierać, to kim chciałbyś być?

- Na pewno nie chciałbym się zestarzeć - mówi Manus, kręcąc głową. - Za nic w świecie. - Z ramionami skrzyżowanymi na piersi kołysze się z pięt na palce, z pięt na palce. Manus przyciska brodę do piersi i patrzy na ziemię, na te wszystkie potłuczone butelki.

Pada coraz mocniej. Nie czuć już moich nadpalonych strusich piór ani L'Air du Temps Brandy.

- Wobec tego będziesz się nazywał Mr Denver Omelet - mówi Brandy. - Denver Omelet, poznaj Daisy St. Patience. - Upierścieniona dłoń Brandy otwiera się jak kwiat i dotyka jej czterdziestosześcioletniej silikonowej dumy. - A to - mówi - jest Brandy Alexander.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Przeskok do pewnej chwili, nie jakiejś szczególnej, tylko na Brandy i na mnie w gabinecie logopedy, kiedy Brandy przyłapuje mnie, jak z rękami pod woalką dotykam muszelek i kości słoniowej moich odsłoniętych zębów trzonowych, jak głaszczę wytłaczaną skórę moich blizn, suchą i wypolerowaną moim dotykiem. Dotykam śliny, tam, gdzie zasycha, lepka i szorstka wzdłuż mojej szyi, i Brandy mówi, żebym nie badała siebie zbyt dokładnie.

- Kochanie - mówi - w takich chwilach najlepiej myśleć o sobie

jak o kanapie albo o gazecie, o czymś zrobionym przez wielu innych ludzi, o czymś, co nie będzie trwać wiecznie.

Odsłonięty skraj mojego gardła jest na dotyk nakrochmalony i plastikowy, jakby obrzucony ścięciem prążkowanym i podklejony. Przypomina dotyk góry sukni bez ramiączek albo kostiumu kąpielowego, trzymającego się na drucie i plastikowych usztywniaczach. Twardy, ale ciepły jak dziurkowane obszycie.

Kościsty, ale obciążony miękko, miłą w dotyku skórą.

Ten rodzaj ostrej, traumatycznej mandibulektomii bez rekonstrukcji, przed dekaniulacją po tracheostomii może prowadzić do nocnego bezdechu, mówili doktorzy. Tak rozmawiali między sobą podczas porannych obchodów.

I ludzie mówią, że to mnie jest trudno zrozumieć.

Ci doktorzy powiedzieli mi, że jeżeli nie odbudują mi czegoś na kształt szczęki albo przynajmniej jakiegoś płatu skórniego, to, powiedzieli, mogę w każdej chwili umrzeć we śnie. Mogę po prostu przestać oddychać i nie obudzić się. Szybka, bezbolesna śmierć.

W swoim bloku piszę:

„nie kuście”.

- Dobrze jest wiedzieć - mówi Brandy w tym gabinecie logopedy
- że nie jesteś bardziej odpowiedzialna za swój wygląd niż, na przykład, samochód. Jesteś tak samo produktem. Produktem produktu produktu. Ludzie, którzy projektują samochody, sami są produktami. Twoi rodzice są produktami. Ich rodzice też byli produktami. Twoi nauczyciele to produkty. Pastor w twoim kościele to też produkt -

mówi Brandy.

Czasami najlepszy sposób na radzenie sobie z gównem, mówi, to nie uważać się za jakiś nadzwyczajny skarb.

- Chodzi mi o to - mówi Brandy - że nie możesz uciec od świata i nie jesteś odpowiedzialna za to, jak wyglądasz, czy jesteś nieziemsko piękna, czy brzydka jak noc. Nie jesteś odpowiedzialna za to, co czujesz, ani za to, co mówisz, albo za to, jak się zachowujesz, ani w ogóle za to, co robisz. Nie masz na to wszystko żadnego wpływu - mówi Brandy.

Tak jak płyta kompaktowa nie odpowiada za to, co jest na niej nagrane, tak samo jest z nami. Masz tyle samo swobody co zaprogramowany komputer. Jesteś jedyna w swoim rodzaju nie bardziej niż jednodolarowy banknot.

- Nie ma w tobie żadnej prawdziwej ciebie - mówi. - Nawet twoje fizyczne ciało, wszystkie jego komórki w ciągu ośmiu lat ulegają wymianie.

Skóra, kości, krew i organy są przeszczepiane od człowieka do człowieka. Nawet to, co już nosisz w sobie, kolonie bakterii i robaków, które trawią dla ciebie twoje jedzenie, bez nich byś umarła. Nic z ciebie nie jest wyłącznie twoje. Wszystko, co masz, zostało odziedziczone.

- Wyluzuj się - mówi Brandy. - Cokolwiek myślisz, milion innych ludzi myśli to samo. Cokolwiek robisz, oni też to robią, i nikt z was za to nie odpowiada. Cała jesteś dziełem wysiłku zbiorowego.

Pod woalem dotykam mokrego wystającego kikuta języka z

jakiegoś uszkodzonego produktu. Doktorzy zaproponowali wykorzystanie fragmentu mojego jelita cienkiego do przedłużenia mi gardła. Zaproponowali wycięcie fragmentów piszczeli, kości strzałkowych tego ludzkiego produktu, którym jestem, ukształtowanie kości i przeszczepienie ich w celu wbudowania mnie, temu produktowi, nowej szczęki.

W swoim bloku piszę:

„kość nogi połączona z kością głowy?”

Doktorzy nie zrozumieli.

A teraz posłuchaj głosu Pana.

- Jesteś produktem naszego języka - mówi Brandy - tego, jakie mamy prawa, i tego, jak wierzymy, jakimi Bóg chce nas widzieć.

Każda najmniejsza molekula w tobie została już przemyślana przynajmniej przez milion ludzi przed tobą - mówi. - Cokolwiek możesz zrobić, jest nudne, stare i absolutnie w porządku.

Jesteś bezpieczna, bo jesteś tak bardzo uwięziona w swojej kulturze. Wszystko, co jesteś w stanie wymyślić, jest w porządku dlatego, że jesteś w stanie to wymyślić. Nie potrafisz wyobrazić sobie żadnej drogi ucieczki. Nie masz żadnej drogi wyjścia - mówi Brandy.

- Świat - mówi Brandy - jest twoją kolebką i twoją pułapką.

Próbowałam wrócić na dawną drogę. Napisałam do swojej byłej agencji i spytałam o szanse na otrzymanie pracy z rękami albo nogami. Prezentowanie zegarków i butów. Mój agent przysłał mi wcześniej kwiaty do szpitala. Może mogłabym dostać jakieś zlecenie na same nogi. Ile im tam wypaplała Evie, nie miałam pojęcia.

Żeby być modelką od rąk, odpisał mi agent, trzeba nosić rękawiczki rozmiar siedem i pierścionek rozmiar pięć. Modelka od nóg musi mieć idealne paznokcie u stóp i nosić pantofle rozmiar sześć. Modelka od nóg nie może uprawiać żadnych sportów. Nie może mieć żadnych widocznych żył. Twoje palce od rąk i nóg muszą się dobrze prezentować w trzykrotnym powiększeniu w magazynie i w dwustukrotnym powiększeniu na billboardzie, bo w przeciwnym razie, pisał, nie masz co liczyć na pracę z kończynami.

A ja noszę rękawiczki numer osiem. I pantofle numer siedem.

- A jeżeli potrafisz znaleźć jakąś drogę ucieczki od naszej kultury, to w tym też jest pułapka. Sama chęć wydostania się z pułapki wzmacnia pułapkę - mówi Brandy.

Książki na temat operacji plastycznych, wszystkie broszury i foldery obiecywały mi bardziej normalne i szczęśliwe życie, ale coraz mniej byłam pewna, że to jest to, czego chcę. To, czego chciałam, coraz bardziej i bardziej przypominało mi to, czego zawsze uczono mnie chcieć. To, czego chcą wszyscy.

Pokaż mi uwagę.

Błysk.

Pokaż mi urodę.

Błysk.

Pokaż mi spokój i szczęście, oparty na miłości związek i idealny dom.

Błysk.

- Najlepszy sposób - mówi Brandy - to nie walczyć, po prostu

odpuścić. Nie próbuj stale wszystkiego naprawiać. To, przed czym uciekasz, przyczepia się tylko do ciebie na dłużej. Kiedy z czymś walczysz, tylko to wzmacniasz.

- Nie rób tego, co chcesz - mówi Brandy. - Rób to, czego nie chcesz - mówi. - Rób to, czego uczono cię nie chcieć.

To odwrotność pogoni za szczęściem.

- Rób rzeczy, których się najbardziej boisz - mówi mi Brandy.

Rozdział dwudziesty drugi

W Seattle przyglądałam się Brandy, podsypiającej w naszej podmorskiej grocie dłużej niż przez sto sześćdziesiąt lat. Co do mnie, to siedzę tutaj ze stosem błyszczących broszur od chirurgów, demonstrujących operacje zmiany płci.

Kolorowe zdjęcia pokazują właściwie to samo ujęcie wagin różnej jakości. Kamera celuje prosto w ciemny otwór pochwy.

Palce z polakierowanymi na czerwono paznokciami przytrzymują oba uda, żeby rozłożyć wargi sromowe. Okolice cewki m czowej miękkie i różowe. Na niektórych zaczynają odrastać włosy łonowe. Głębokość pochwy podana jako sześć cali, osiem cali dwa cale. Na niektórych są widoczne pozostałości ciała jamistego wokół otworu cewki moczowej. Łechtaczka otoczona fałdem skórnym, od którego rozchodzą się frenula, mniejsze fałdki, łączące łechtaczkę z wargami.

Są kiepskie, tanie waginy, wykorzystujące w środku skórę moszny z włosami, które zarastają otwór.

Są też idealne, najnowocześniejsze waginy, zrobione z odcinków okrężnicy, samooczyszczające się i nawilżane własnym śluzem. Wrażliwe łechtaczki sporządzone z przeszczepionych fragmentów żołędzia penisa. Cadillacki waginoplastyki. Niektóre z tych cadillaców są tak udane, że wydzielina śluzu okrężnicy zmusza do noszenia podpasek na co dzień.

Są waginy starego typu, które codziennie trzeba rozciągać plastikowym prawidłem. Wszystkie te broszury są pamiątkami z bliskiej przyszłości Brandy.

Po tym, jak zobaczyliśmy Mr Parkera siedzącego na Ellisie, pomogłam naszpikowanym narkotykami zwłokom Brandy, bo niewiele ją od tego dzieliło, wejść po schodach i z powrotem uwolnić się od ubrań. Wykasłała darvony, które próbowałam wsypać jej do gardła, ułożyłam ją więc jak wcześniej na podłodze, a kiedy przewiesiłam sobie jej żakiet przez rękę, poczułam w kieszeni coś twardego. Książka Miss Rony. A w książce pamiątka z mojej przyszłości.

Siedząc na wielkiej porcelanowej skorupie ślimaka, czytam wstrząśnięta:

„Kocham Setha Thomasa tak bardzo, że muszę go zniszczyć.

Wynagradzam to sobie, wielbiąc superkrólową. Seth nigdy już nie będzie mnie kochał. Nikt już nigdy nie będzie mnie kochał”.

Co za wstyd.

Pokaż mi żaloszny emocjonalny skowyt.

Błysk.

Pokaż mi zapatrzone we własny pępek, egocentryczne bzdury.

Jezu.

Pieprzyć mnie. Mam dosyć bycia sobą. Ja piękna. Ja paskudna. Blondynka. Brunetka. Milion pieprzonych wcieleń, które nie uwalniają mnie z pułapki bycia sobą.

To, kim byłam przed wypadkiem, to teraz tylko opowieść.

Wszystko, co było przed teraz, przed teraz, przed teraz, to tylko opowieść, którą noszę w sobie. To chyba ma zastosowanie do wszystkich ludzi na świecie. Potrzebuję nowej opowieści o tym, kim jestem.

Muszę zrobić taki rozpierdol, żebym już nie mogła z tego wyjść.

Rozdział dwudziesty trzeci

Więc tak wygląda życie w Projekcie Reinkarnacji Świadków Brandy Alexander.

W Santa Barbara Manus, który był Denverem, nauczył nas zdobywać narkotyki. Jechaliśmy we trójkę z Portland do Santa Barbara wciśnięci w tego fiata spidera i Brandy wprost umierała Przez całą drogę przyciskała obie dłonie do dolnej części kręgosłupa.

- Zatrzymajcie ten samochód - powtarzała. - Muszę się rozprostować. Mam skurcze. Musimy stanąć.

Przejazd z Oregonu do Kalifornii zajął nam dwa dni, a przez cież te stany graniczą ze sobą. Manus był przez cały czas wpa trzony w Brandy, zasłuchany, zakochany tak wyraźnie, że mia łam ochotę zabić ich w coraz bardziej wyrafinowane i bolesne sposoby.

W Santa Barbara ledwo wjechaliśmy do miasta, a Brandy chce już wsiąść i trochę się przejść. Kłopot w tym, że jest to jedna z najlepszych dzielnic w całej Kalifornii. Na wzgórzach nad nią stę. Kiedy idziesz tam na piechotę, policja albo jakaś prywatna agencja ochrony podjeżdża i chce wiedzieć, co tu robisz, i proszą okazać jakiś dowód tożsamości.

A jednak Brandy ma znów skurcze, historyczna księżna ma już jedną nogę na zewnątrz i wysiada, nie czekając, aż Denver Omelet zatrzyma spidera. Brandy chce natychmiast pastylki tyloxu, które zostawiła w apartamencie piętnaście G w hotelu Congress.

- Nie możesz być piękna - powtarza Brandy chyba po raz tysięczny - jeżeli nie czujesz się piękna.

Na tych wzgórzach zatrzymujemy się przy domu z napisem „Na sprzedaż”. Ten dom, przed którym stoimy, to wielka hacjenda, wystarczająco hiszpańska, żeby mieć ochotę zatańczyć na stole flamenco, pohuścić się na żyrandolu z kutego żelaza, nałożyć sombrero i bandolety.

- No, to jesteśmy - mówi do niej Denver. - Zrób się na bóstwo, a ja ci pokażę, jak można zdobyć środki przeciwbólowe bez recepty.

Przeskok do tych trzech dni, kiedy ukrywaliśmy się w mieszkaniu Denvera, póki nie uzbieraliśmy trochę kasy. Brandy wymyśliła coś nowego. Zanim pójdzie pod nóż, postanowiła odnaleźć siostrę.

Mnie, która chcę zatańczyć na jej grobie.

- Waginoplastyka jest na zawsze - mówi. - Może poczekać, aż

pewne rzeczy przemyśle.

Brandy postanowiła odnaleźć siostrę i opowiedzieć jej wszystko, o rzeźączce, o tym, dlaczego Shane nie umarł, co się wydarzyło, wszystko. Wyłożyć kawę na ławę. Pewnie byłaby zdziwiona, ile jej siostra już wie.

Ja po prostu chcę wyjechać z miasta, zanim rozejdzie się nakaz aresztowania za zbrodnię podpalenia, grożę więc Denverowi, że jeżeli nie pojedzie z nami, doniosę na niego policji. Oskarżę go o podpalenie, porwanie i usiłowanie morderstwa. Do Evie wysłałam list.

Do Brandy piszę:

„przejedźmy się trochę, zobaczmy, co z tego wyjdzie, wyluzujmy”.

To wydaje się nieco pracochłonne, ale wszyscy mamy przed czym uciekać. A kiedy mówię my, mam na myśli wszystkich na świecie. Tak więc Brandy myśli, że jedziemy szukać jej siostry, a Denver towarzyszy nam, zmuszony szantażem. Mój list do Evie leży w jej skrzynce pocztowej, na końcu podjazdu do wypalonych ruin jej domu. Evie jest teraz prawdopodobnie w Cancun.

Ten list do Evie brzmi tak:

Do Miss Evelyn Cottrell, Manus mówi, że to on strzelił do mnie, a Ty mu pomogłaś z powodu Waszego nieczystego związku. Jak nie chcesz trafić do więzienia, załatw, proszę, wypłatę ubezpieczenia za szkody w tym Twoim domu i własności osobistej najszybciej jak to możliwe. Zrealizuj tę całą sumę w postaci dziesiątek i dwudziestek w walorach Stanów Zjednoczonych i wyślij je do mnie na poste restante

do Seattle, w stanie Waszyngton. To przez Ciebie jestem bez narzeczonego, jestem Twoją byłą najlepszą przyjaciółką, niezależnie od tego, co sobie wmawiasz. Wyślij pieniądze, a ja uznam sprawę za załatwioną i nie pójdę na policję, żeby Cię aresztowali i posłali do więzienia, gdzie będziesz musiała dzień i noc walczyć o swoją godność i życie, ale niewątpliwie przegrasz jedno i drugie. Tak, przeszłam wielką operację odtwórczą i wyglądam jeszcze lepiej niż kiedyś, i mam przy sobie Manusa Kelleya, i on wciąż mnie kocha, i mówi, że Cię nienawidzi i zezna przeciwko Tobie w sądzie, że jesteś suka.

Podpisane, Ja

Przeskok do miejsca nad skrajem Oceanu Spokojnego, gdzie zatrzymaliśmy się przed hiszpańską hacjendą na sprzedaż. Denver mówi Brandy i mnie, jak mamy wejść na górę, podczas gdy on zagada pośrednika nieruchomości. Pokój gospodarza będzie miał najlepszy widok, po tym go poznamy. W łazience gospodarza będą najlepsze leki.

Rzeczywiście, Manus był policyjnym detektywem w obyczajówce, jeżeli uznać, że kręcenie tyłkiem po krzakach w parku Waszyngtona - w o numer za małych slipach - z nadzieją, że jakiś poszukiwacz seksu wyciągnie kutasa, jeżeli to jest praca detektywa, to Manus rzeczywiście był detektywem.

Ponieważ uroda daje władzę, tak jak pieniądze dają władzę i naładowana strzelba daje władzę. A Manus ze swoją kwadratową szczęką i kośćmi policzkowymi mógł być ozdobą nazistowskiego

plakatu werbunkowego.

Kiedy Manus zwalczał jeszcze przestępczość, przyłapałam go któregoś ranka, jak odkrawa skórkę z chleba. Chleb bez skórki przypominał mi dzieciństwo. To było takie słodkie, myślałam, że robi mi grzanekę. I wtedy Manus staje przed lustrem w tym mieszkaniu, które wtedy dzieliliśmy, tylko w białych slipach i pyta, czy gdybym była gejem, miałabym ochotę go posunąć.

Potem przebrał się w czerwone slipki i pyta znowu. No wiesz, pyta, nadzieć go na rożen? Zaorać kowboja? To nie był poranek, który chciałabym zachować na wideo.

- Chodzi mi o to - powiedział Manus - żebym z przodu wyglądał imponująco, a z tyłu niewinnie. - Bierze kromkę chleba i wpycha ją sobie do slippek. - Nie martw się, mówi, w ten sposób poprawiają sobie wygląd modele od męskiej bielizny. Tym sposobem uzyskuje się gładkie i niezobowiązujące wypiętrzenie.

- Ustawia się bokiem do lustra i pyta: - Myślisz, że przydałaby się jeszcze jedna kromka?

Jego praca detektywa polegała na tym, że przy dobrej pogodzie szeleścił w krzakach, tylko w sandałach i w swoich szczęśliwych czerwonych slipkach, podczas gdy dwaj tajniacy w zaparkowanym niedaleko samochodzie czekali, aż ktoś złapie przynętę.

Zdarzało się to częściej, niż możesz sobie wyobrazić. Manus był jednoosobową kampanią na rzecz oczyszczenia parku Waszyngtona. Jako zwykły policjant nie mógłby nawet marzyć o takich sukcesach, a w dodatku nikt do niego nie strzelał.

Wszystko to miało posmak Bonda, Jamesa Bonda. Sztylet i peleryna. Pojedynek szpiegów. Plus znakomita opalenizna. Plus odliczenie od podatku opłaty za siłownię i za zakup nowych slipek.

Przeskok na pośrednika nieruchomości w Santa Barbara, który ściska mi dłoń i powtarza w kółko moje imię, Daisy St. Patience, jak wtedy, kiedy człowiek chce wyrzeć dobre wrażenie, ale nie patrzy na mnie i moje woale. Patrzy na Brandy i Denvera.

Oczarowany, niewątpliwie.

Dom jest taki, jak można było oczekiwać, oglądając go z zewnątrz. W jadalni stoi wielki stół na kozłach w stylu misyjnym pod żyrandolem z kutego żelaza, na którym można by się pohuścić. Na stole leży przetykana srebrem hiszpańska chusta z frędzlami.

Reprezentujemy osobistość telewizyjną, która pragnie pozostać anonimowa, mówi Denver pośrednikowi. Przeprowadzamy wstępny rekonesans w poszukiwaniu domu wakacyjnego dla tej bezimiennej znakomitości. Miss Alexander jest ekspertem od toksyczności produktów, wie pan, trujących oparów i płynów, wydzielanych przez budynki.

- Nowa wykładzina - mówi Denver - wydziela toksyczny formaldehyd nawet do dwóch lat od położenia.

- Znam ten zapach - mówi Brandy.

Było tak, że kiedy wypchane slipy Manusa nie prowadziły mężczyzn do zguby, Manus w trzyczęściowym garniturze jako świadek w sądzie opowiadał, jak to oskarżony zbliżył się do niego w drastycznie obnażony publicznie onanistyczny sposób i poprosił go o

papierosa.

- Jakby ktoś patrząc na mnie, mógł pomyśleć, że jestem palaczem - mówił Manus.

Nie wiadomo, który występki budził w nim większą odrazę.

Z Santa Barbara pojechaliśmy do San Francisco, gdzie sprzedaliśmy fiata spidera. Ja przez cały czas piszę na serwetkach: „może twoja siostra jest gdzieś w następnym mieście, może być wszędzie”.

W hacjendzie w Santa Barbara Brandy i ja znalazłyśmy benzedrynę i dexedrynę, sympatyczne quaaludy i somę, a także jakieś kapsułki, które jak się okazało, miały zmiękczać kał. I jakiś krem Solaquin Forte, który okazał się wybielaczem skóry.

W San Francisco sprzedaliśmy fiata i część prochów i kupiliśmy wielkie czerwone Podręczne vademecum lekarza, żeby nie kraść bezwartościowych zmiękczaczy kału i wybielaczy skóry. W San Francisco masa starych ludzi sprzedaje duże, bogate domy pełne prochów i hormonów. Mieliśmy demerol i darvocetN. Nie słabiotki darvocetN 50. Brandy czuła, że jest piękna, kiedy próbowałam na niej przedawkować, karmiąc ją dużymi stumiligramowymi dawkami darvocetu.

Po fiacie wynajęliśmy duży kabriolet seville. Dla siebie byliśmy członkami kompanii Zine.

Ja byłam Compem Zine.

Denver był Thorem Zine.

Brandy - Stellą Zine.

To w San Francisco zaczęłam aplikować Denverowi tajną terapię hormonalną, żeby go zniszczyć.

Kariera detektywistyczna Manusa zaczęła przygasać, kiedy liczba jego zatrzymań spadła najpierw do jednego dziennie, potem do jednego tygodniowo, potem do zera, a potem do zera. Problemem było słońce, opalanie się oraz fakt, że się starzał i stał się już znany jako przynęta. Wszyscy starsi mężczyźni, których kiedyś aresztował, omijali go z daleka. A młodszy uważali, że jest za stary.

W odpowiedzi Manus stał się bardziej natrętny. Jego slipki coraz bardziej się zmniejszały, co wcale nie wyglądało lepiej.

Mówiło się o zastąpieniu go nowszym modelem, zaczął więc wdawać się w rozmowy. Zagadywać. Być zabawny. Rzeczywiście pracować nad podrywaniem facetów. Budować osobowość, a mimo to młodszy mężczyźni, jedyni, którzy nie uciekali na jego widok, ci młodszy mężczyźni też odmawiali, kiedy Manus proponował, żeby zaszli do lasu w krzaki.

- Nie, dziękuję - mówili nawet najbardziej napaleni młodzi ludzie, oglądając się za wszystkimi innymi.

Albo:

- Chcę być teraz sam.

Albo co gorsza:

- Spadaj, stary trollu, bo zawołam policjanta.

Po San Francisco, San Jose i Sacramento pojechaliśmy do Reno i Brandy przechrzcila Denvera Omeleta na Chase'a Manhattan. Zaglądaliśmy wszędzie, gdzie myślałam, że możemy znaleźć więcej

prochów. Pieniądze Evie mogły zaczekać.

Przeskok do Las Vegas, gdzie Brandy przemianowała Chase'a Manhattana na Eberharda Fabera. Jedziemy naszym kabrioletem wzdłuż przewodu pokarmowego Las Vegas. Wszystkie te rozedrgane neony, czerwone tylne światła jadące w jednym kierunku, białe światła jadące w przeciwnym kierunku. Las Vegas wygląda tak, jak można sobie wyobrazić raj w nocy. Nigdy nie podnosimy dachu w naszym kabrioecie, mamy go od dwóch tygodni i jeszcze ani razu go nie podnieśliśmy.

Kiedy tak krążyliśmy po centrum Las Vegas, Brandy siedziała z tyłkiem na pokrywie bagażnika i z nogami na tylnym siedzeniu, ubrana w obcisłą kieckę bez ramiączek z metalizowanego brokatu, różową jak płonący środek znaku drogowego, z obsypanym kamieniami gorsetem i odpinaną długą narzutką z jedwabnej tafty z bufiastymi rękawami.

Wyglądała tak wspaniale, że Las Vegas z całym swoim olśniewającym blaskiem był jednym więcej dodatkiem do kreacji Brandy Alexander.

Brandy unosi ramiona w tych długich, różowych, operowych rękawiczkach i wydaje okrzyk. Wygląda i czuje się w tej chwili wspaniale. I odpinana długa narzutka z jedwabnej tafty z bufiastymi rękawami odpina się.

I odlatuje w ruch uliczny.

- Objedź ten blok! - wrzeszczy Brandy. - Tę narzutkę muszę zwrócić w sklepie jutro rano.

Odkąd detektywistyczna gwiazda Manusa zaczęła przygasać, musieliśmy ćwiczyć na siłowni codziennie, czasem dwa razy dziennie. Aerobik, solarium, dieta, wszystkie stacje męki. Był kulturystą, jeżeli to oznacza, że pije się napoje z suplementami diety sześć razy dziennie nad zlewem w kuchni. Potem Manus sprowadzał pocztą kąpielówki, jakich nie można kupić w tym kraju, małe woreczki na sznurkach, wykonane w najnowszej technologii, które wkładał, jak tylko wracaliśmy z siłowni, a potem chodził za mną i dopytywał się, czy nie ma zbyt płaskiego tyłka.

Czy gdybym była gejem, uważałabym, że powinien przystrzyc sobie włosy łonowe? Gdybym była gejem, czy uważałabym, że wygląda, jakby za bardzo się starał? Że jest zbyt powściągliwy? Czy ma klatkę wystarczająco wypracowaną? A może zbyt masywną?

- Nie chciałbym po prostu, żeby faceci brali mnie za wielkiego, tępego mięśniaka - tłumaczył Manus.

Czy nie wyglądam, wiesz, zbyt ciotowato? Geje interesują się tylko facetami, którzy zachowują się normalnie.

- Nie chcę, żeby faceci widzieli we mnie tylko wielki bierny tyłek - mówił Manus. - To nie ma wyglądać tak, jakbym od razu się kładł i każdy mógł mnie przelecieć.

Manus zostawił pierścień włosów i środków brązujących dookoła wanny i oczekiwał, że ja to wyszoruję.

Zawsze w tle czaiła się myśl o przeniesieniu do zadań, przy których jesteś wystawiony na strzał, bo bandyci nie mają nic do stracenia, jeżeli cię zabiją.

I może Manus mógłby zgarnąć jakiegoś starszego turystę, który zabrnął przypadkiem w tę spotkaniową część parku Waszyngtona, ale przeważnie szef komisariatu wiercił mu dziurę w brzuchu, żeby zaczął szkolić swojego młodszego następcę.

Zazwyczaj Manus wyciągał srebrne metaliczne stringi w tygrysie pasy ze splątanej masy w swojej szufladzie z majtkami. Potem wciskał tyłek w to małe nic i oglądał się w lustrze bokiem, z przodu i z tyłu, a potem ścigał je z siebie i rzucał ten mały kawałek obrazka zwierzęcia na łóżko, żeby tam je znalazła. I tak to szło z paskami zebry, paskami tygrysa, cętkami lamparta, potem z gepardem, panterą, pumą, ocelotem, aż musiał iść.

- To są moje szczęśliwe stringi ratownika - powtarzał. - Powiedz szczerze.

I to ma być, mówiłam sobie, miłość.

Szczerze? Nie wiedziałabym, jak zacząć. Wyszłam z wprawy.

Po Las Vegas wynajęliśmy rodzinną furgonetkę. Eberhard Faber stał się Hewlettem Packardem. Brandy włożyła długą białą suknię z pikowanej bawełny, z głębokim rozcięciem i otwartymi bokami do zapinania, zdecydowanie nieodpowiednią dla całego stanu Utah. Zatrzymaliśmy się i posmakowaliśmy Wielkiego Jeziora Słonego.

Uznaliśmy, że wypada to zrobić.

A ja zawsze palcem pisałam na piasku albo na zakurzonej karoserii:

„może twoja siostra jest w następnym mieście”.

Pisałam: „masz, weź jeszcze vicodin”.

Kiedy Manus nie potrafił już przywabiać mężczyzn, zaczął kupować gejowskie świerszczyki i uczęszczać do gejowskich klubów.

- Badania terenowe - tłumaczył.

- Możesz iść ze mną - mówił - tylko nie trzymaj się zbyt blisko, bo nie chcę wysyłać niewłaściwych sygnałów.

Po Utah Brandy przemianowała w Butte Hewletta Packarda na Harpera Collinsa. Tam, w Montanie, wynajęliśmy forda probe i Harper prowadził, a ja siedziałam ściśnięta na tylnym siedzeniu.

- Jedziemy sto dziesięć mil na godzinę - powtarzał co jakiś czas Harper.

Brandy i ja tylko wzruszałyśmy ramionami.

Przekraczanie prędkości wydawało się czymś bez znaczenia w miejscu tak rozległym jak Montana.

„może twojej siostry nie ma nawet w stanach”, pisałam szminką na lustrze w motelu w Great Falls.

I tak, żeby Manus nie stracił pracy, chodziliśmy do barów dla gejów, gdzie siedziałam sama i powtarzałam sobie, że dla mężczyzn uroda znaczy co innego. Manus flirtował, tańczył i posyłał drinki po barze każdemu, kto wyglądał na chętnego. Czasem przysiadł na sąsiednim stołku barowym i szeptał mi kątem ust:

- Nie mogę uwierzyć, że on jest z tym facetem - mówił. I kiwał mi nieznacznie głową, żebym zrozumiała, o którego faceta chodzi.

- W zeszłym tygodniu nie zwracał na mnie uwagi - pienił się Manus pod nosem. - Nie byłem dla niego dość dobry, a ten świński blondyn, ten szmatławy śmieć ma być niby lepszy?

- Faceci są tacy popierdoleni - mówił Manus, pochylając się nad swoim drinkiem.

Mogłam się tylko zgodzić.

I wmawiałam sobie, że to jest w porządku. Każdy związek, w którym mogłabym być, miałby przecież swoje trudne chwile.

Przeskok do Calgary, w Albercie, gdzie Brandy nałykała się czopków nebalino w złotej folii, bo myślała, że to migdały w czekoladzie. Tak się wściekła, że przemianowała Harpera Collinsa na Addisona Wesleya. Przez większość czasu w Calgary Brandy chodziła w białej, pikowanej kurtce narciarskiej z kołnierzem ze sztucznego futra i białym bikini od Donny Karan. Było to zabawne i pomysłowe, i wszyscy czuliśmy się ożywieni i popularni.

Wieczory wymagały długiej do ziemi sukni płaszczowej w czarnobiałe pasy, której Brandy nigdy nie mogła dopiąć oraz czarnych wełnianych krótkich szortów pod spodem. Addison Wesley został Nashem Ramblerem i wynajęliśmy następnego cadillaca.

Przeskok do Edmonton, w Albercie, gdzie Nash Rambler zmienił imię na Alfa Romeo. Brandy chodziła w takiej króciutkiej krynolinie jak do ludowych tańców na czarne trykoty wpuszczone w kowbojskie buty. Miała też ten podnoszący biust skórzany gorset z powypalanymi piętnami do znakowania bydła.

- Nie cierpię, kiedy w kieliszku do martini widać szew - perorowała Brandy w sympatycznym barze hotelowym w Edmonton.

- Wyczuwam ślad formy. To takie pospolite.

Pełno koło niej facetów. Jak reflektory, pamiętam ten rodzaj

atencji. W całym tym kraju Brandy nigdy nie musiała zapłacić za drinka, ani razu.

Przeskok na Manusa, który stracił posadę niezależnego kontraktowego agenta w wydziale obyczajowym miejskiego departamentu policji. Moim zdaniem, nigdy naprawdę tego nie przeboleał.

Kończyła mu się kasa. Co nie znaczy, że kiedykolwiek miał duże konto w banku. Potem ptaki zjadły mi twarz.

Nie wiedziałam wtedy, że jest Evie Cottrell i że mieszka sama w swoim wielkim, pustym domu z tym całym swoim teksańskim majątkiem ziemskim i pieniędzmi z nafty, która powie, hej, trzeba tam to i owo zrobić. I Manus ze swoją niepoahamowaną potrzebą udowadniania, że wciąż jeszcze może obsikać każde drzewo. Ten „lustreczko, powiedz przecie” rodzaj władzy.

A resztę już wiesz.

Przeskok na nas w drodze, po szpitalu, po siostrach Rhea i na mnie, jak podrzucam hormony, provera, chmara i premarium, do wszystkiego, co on je i pije. Whiskey i estradiol. Wódka i ethinyl estradiol. To było tak łatwe, że aż przerażające. A on przez cały czas robił wielkie krowie oczy do Brandy.

Wszyscy przed czymś uciekaliśmy. Przed waginoplastyką.

Przed starzeniem się. Przed przyszłością.

Przeskok do Los Angeles.

Przeskok do Spokane.

Przeskok do Boise, do San Diego i Phoenix.

Przeskok do Vancouver, w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie byliśmy włoskimi imigrantami, dla których język angielski był drugim językiem, aż żadne z nas nie mówiło językiem ojczystym.

- Masz dwie piersi młodej kobiety - powiedział Alfa Romeo sprzedawczynie nieruchomości, nie pamiętam już w którym domu.

Z Vancouver wjechaliśmy z powrotem do Stanów Zjednoczonych jako Brandy, Seth i BubbaJoan z mianowania wielce profesjonalnych ust księżnej wśród księżnych. Przez całą drogę do Seattle Brandy czytała nam, jak to mała Żydówka z tajemniczą chorobą mięśni przekształciła się w Ronę Barrett.

Wszyscy rozglądaliśmy się za dużymi, bogatymi domami, kradliśmy prochy, kupowaliśmy i zwracaliśmy ubrania.

- Opowiedz nam odrażającą osobistą historię - mówi Brandy w drodze do Seattle. Przez cały czas Brandy mi szefuje. Choć sama jest tak bliska śmierci.

Rozpruj się i wywal, co tam w sobie nosisz.

Opowiedz mi moje życie, zanim umrę.

Zaszyj się z powrotem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Przeskok wstecz do sesji zdjęciowej w rzeźni, gdzie świńskie tusze bez wnętrzości wiszą gęsto jak frędzle z ruchomego łańcucha. Evie i ja mamy na sobie suknie wieczorowe z nierdzewnej stali od Bibo Kelleya, a łańcuch pędzi za naszymi plecami z szybkością około stu świń na godzinę.

- Co się działo dalej, kiedy twój brat został oszpecony? - pyta Evie.

Fotograf zerka na swój światłomierz.

- Nie - mówi. - Nie da rady.

- Dziewczęta, te tusze za bardzo się błyszczą.

Każda świnia przejeżdża przed nami wielka jak pęknięty pień drzewa, czerwona i lśniąca wewnątrz, a na zewnątrz pokryta piękną świńską skórą, z której ktoś opalił szczecinę za pomocą palnika. To każe mi pomyśleć, kiedy ja miałam ostatnio depilację.

- To co z tym bratem? - ciągnie swoje Evie.

A ja liczę, piątek, czwartek, środa, wtorek...

- Co się działo między tym oszpeceniem a śmiercią? - pyta Evie.

Te świnie przejeżdżają zbyt szybko, żeby kierownik artystyczny mógł je przypudrować. Ciekawe, jak świnie utrzymują skórę w tak dobrym stanie? Czy teraz farmerzy stosują kremy przeciwsłoneczne, czy co? Dochodzę do wniosku, że tak gładka jak one byłam chyba z miesiąc temu. W niektórych salonach tak używają nowych laserów, nawet z żelem chłodzącym, że równie dobrze mogliby używać lutownicy.

- Astronautko - Evie mówi do mnie - zadzwoń do domu.

Całe to świńskie miejsce jest za zimne na suknie z nierdzewnej stali. Faceci w białych kitlach i gumiakach spryskują prze grzaną parą miejsca po wnętrznościach świń i jestem gotowa za mienić się z nimi pracą. Jestem nawet gotowa zamienić się prac ze świniami.

- Policjanci nie uwierzyliby w tę historię z lakierem do włosów -

mówię do Evie. - Byli przekonani, że to zrobił nasz ojciec w ataku wściekłości. Albo że to mama wyrzuciła lakier do śmie ci. Nazywali to „zaniedbanie”.

- A może byśmy tak zmienili ustawienie i podświetlili tusz od tyłu? - pyta fotograf.

- Zbyt duży efekt stroboskopowy, kiedy będą przejeżdżać.

- mówi kierownik artystyczny.

- Dlaczego policjanci mieliby coś takiego podejrzewać? - pyta Evie.

- Nie mam pojęcia - mówię. - Ktoś bombardował ich anonimowymi telefonami.

- Czy nie można zatrzymać tego łańcucha? - pyta fotograf.

- Nie, chyba że powstrzymamy ludzi od jedzenia mięs - mówi kierownik artystyczny.

Wciąż jeszcze wiele godzin dzieli nas od końca pracy.

- Ktoś okłamywał policję? - pyta Evie.

Ci faceci od świń gapią się na nas, a niektórzy są niczego so bie. Śmieją się i robią nieprzyzwoite gesty ze swoimi błyszczący mi czarnymi wężami. Poruszają językami. Flirtują.

- Potem Shane uciekł - mówię Evie. - Po prostu. Dwa lat temu rodzice otrzymali telefon, że nie żyje.

Podchodzimy najbliżej jak się da do przejeżdżających świń jeszcze ciepłych. Podłoga jest bardzo śliska, a Evie zaczyna mi opowiadać o swoim pomysle na nową wersję Kopciuszka, w której ptaszki i zwierzątka zamiast szyć jej sukienkę, robią jej operację

kosmetyczną. Ptaki robią jej lifting, wiewiórki wstawiają implanty, węże wysysają tłuszcz. Prócz tego Kopciuszek jest na początku samotnym, małym chłopcem.

- Przy tym, jak rodzice koło niego skakali - mówię Evie - założę się, że mój brat sam włożył ten pojemnik lakieru do ognia.

Rozdział dwudziesty piąty

Przeskok do pewnego razu, nic specjalnego, tylko Brandy i ja robimy zakupy na głównej ulicy w jakimś miasteczku w Idaho, sklep Searsa, bar, sklep z wczorajszym pieczywem i biuro handlu nieruchomościami, do którego nasz Mr White Westinghouse wszedł poderwać jakiegoś pośrednika. Wchodzimy do sklepu z używaną odzieżą, tuż obok sklepu z czerstwym pieczywem i Brandy opowiada, jak to jej ojciec robił ten numer ze świniami, przed odwiezieniem ich do skupu. Mówi, jak karmił je przeterminowanymi deserami, które kupował całymi ciężarówkami w tego rodzaju sklepach. Słońce spada na nas przez czyste powietrze. Tylko krótki spacer dzieli nas od niedźwiedzi i gór.

Brandy patrzy na mnie z drugiej strony stojaka z używanymi sukienkami.

- Słyszałaś o tego typu kombinacjach? Ze świniami, kochanie?

Ten jej ojciec oszukiwał też na kartoflach. Trzeba do jutowego worka wstawić rurę od piecyka. Dookoła rury sypiesz dorodne kartofle z tegorocznych zbiorów, a do środka rury upychasz zeszłoroczne nadgniłe, pokaleczone kartofle, tak żeby kupujący nie

widzieli ich przez oczka worka. Potem wyciągasz rurę i zaszywasz ciasno worek, żeby nic się w nim nie przemieszczało.

Sprzedajesz kartofle na poboczu przy pomocy dzieci i nawet niższa cena przynosi ci zarobek.

Tamtego dnia w Idaho jeździliśmy fordem. Był brązowy w środku i na zewnątrz.

- Czy kiedyś w życiu słyszałaś o czymś tak pokrętnym? - pyta Brandy i przesuwa wieszaki, ogląda każdą sukienkę na stojaku.

Przeskok na Brandy i na mnie w sklepie z rzeczami używanymi na tej samej głównej ulicy, jak tłoczmy się za kotarą w przymierzalni wielkości budki telefonicznej. Największy tłok robi suknia balowa, w którą muszę ubrać Brandy, prawdziwa Grace Kelly wśród sukien, całą sobą krzycząca, że jest od Charlesa Jamesa.

Skomplikowane rusztowanie zmontowane w powłóce z mieniającej się, różowej organdy albo bladoniebieskiego weluru.

Te najbardziej niewiarygodne stroje, mówi mi Brandy, te wymyślnie skonstruowane kreacje balowe i suknie wieczorowe z obręczami i górą bez ramiączek, ze stojącymi kołnierzami i bufkami na ramionach, dopasowane w talii, z odstającymi bołerkami i fiszbinami, nie mają długiego żywota. Napięcia, rozciąganie satyny i krepdeszynu, usiłujących panować nad drutami i fiszbinami, walka materiału z metalem, to napięcie je niszczy. Kiedy część zewnętrzna się starzeje, materiał, ta część, którą widać, zaczyna słabnąć, elementy konstrukcji wewnętrznej zaczynają przebijać się na zewnątrz.

- Będą mi potrzebne co najmniej trzy darvony, żeby wcisnąć się

w tę suknię - mówi księżna wśród księżnych.

Otwiera dłoń, na którą wytrząsam żadaną porcję.

Jej ojciec, mówi Brandy, miał wołowinę z lodem, żeby maksymalnie nasączyć ją wodą przed sprzedażą. Miał ją też z paszą dla bydła, żeby zmieszać ją ze zbożem.

- Nie był złym człowiekiem - mówi. - Może trochę za bardzo trzymał się reguł.

Nie tych reguł, że trzeba grać czysto i uczciwie, mówi, ale tych, które każą chronić rodzinę przed biedą. I chorobami.

Czasem w nocy, mówi Brandy, jej ojciec zakradał się do jej pokoju, kiedy spała.

Nie chcę tego słuchać. Dieta oparta na prowerze i darvonie dała skutek uboczny w postaci czegoś w rodzaju emocjonalnej bulimii i Brandy nie potrafi zachować dla siebie żadnej obrzydliwej tajemnicy. Przyglądam sobie woale na uszach. Dziękujemy za pilnowanie swojego nosa.

- Mój ojciec siadywał czasem w nocy na moim łóżku, mówi, i budził mnie.

Nasz ojciec.

Suknia balowa odżyła w pełnej chwale na ramionach Brandy, przywrócona do życia, wykraczająca ponad rzeczywistość i baśnie, od pięćdziesięciu lat nie ma się gdzie w czymś takim pokazać. Zamek błyskawiczny, gruby jak mój kręgosłup, biegnie z boku i dochodzi pod pachę Brandy. Kliny gorsetu ściskają Brandy w talii, wypychając wszystko ku górze, jej piersi, nagie ramiona, długą szyję. Dół składa

się z warstw jasnożółtej jedwabnej tafty i tiulu. Tyle tu złotych haftów i perełek, że każda biżuteria byłaby zbyteczna.

- Ta suknia jest jak pałac - mówi Brandy - ale nawet po lekach to boli.

Złamane końce drutów usztywniających wystają wokół szyi i w talii. Płytki plastikowych fiszbinów kłują rogami i tną ostrymi brzegami. Jedwab grzeje, tiul drapie. Samo oddychanie powoduje napięcia wewnętrzne ukrytej konstrukcji stalowoceluloidowej, samo to, że Brandy żyje, sprawia, że wszystko wpija się w materiał i jej skórę.

Przeskok do nocy, kiedy ojciec Brandy mówił, szybko. Ubierz się. Obudź siostrę.

Czyli mnie.

Włóżcie kurtki i włączcie na skrzynię, mówił.

I tak robiliśmy, późno w nocy, kiedy stacje telewizyjne odegrały już hymn narodowy i skończyły nadawanie swoich programów. Na drodze nie było nikogo oprócz nas, rodzice w kabinie i my w tyle, Brandy i jego siostra, zwinięci na podłodze z falistej blachy, skrzyp resorów i szum wału napędowego przechodzą przez nasze ciała. Na wybojach nasze głowy jak dynie uderzają twardo o podłogę. Zakrywamy dokładnie dłońmi twarze, żeby nie wdychać opiłków drewna i wysuszonego nawozu, unoszących się w powietrzu. Zaciskamy powieki z tego samego powodu. Jechaliśmy nie wiadomo dokąd, ale próbowaliśmy się domyślić. Zakręt w prawo, potem w lewo, potem długi prosty odcinek z nieznaną prędkością, potem

następny zakręt w prawo przetoczył nas na lewy bok. Nie wiedzieliśmy, jak długo to trwa.

Zasnąć nie mogliśmy.

- Wiesz - mówi Brandy, stojąc bez ruchu, ale i tak rozwalając suknię - od szesnastego roku życia byłam właściwie samodzielna.

Z każdym oddechem, nawet przy płytkich, małych łykach powietrza po przedawkowaniu darvonu, Brandy się krzywi.

- Kiedy miałam piętnaście lat - mówi - zdarzył się wypadek i w szpitalu policjanci oskarżyli mojego ojca o molestowanie mnie. Ciągnęło się to bez końca. Nie mogłam im nic powiedzieć, bo nie było nic do opowiadania.

Robi wdech i się krzywi.

- Te wywiady, poradnictwo, terapia interwencyjna, ciągnęło się to bez końca.

Nasza furgonetka zwolniła i zjechała na żwirowe, nierówne pobocze. Podskakiwała i grzechotała jeszcze przez chwilę, potem stanęła.

Tacy byliśmy biedni.

Wciąż leżąc na podłodze furgonetki, odjęliśmy dłonie od twarzy. Kurz i sproszkowany nawóz opadły. Ojciec Brandy otworzył klapę i znaleźliśmy się na polnej drodze, biegnącej wzdłuż wyłaniającej się z mroku zygzakowatej linii wagonów towarowych, które powypadały z szyn. Zamknięte wagony były porozbijane. Z przewróconych platform stoczyły się pnie i belki. Cysterny wgniotły się i przeciekały. Wagony pełne węgla i drewna opałowego przekoziółkowały, rozsypując stosy

czarnego i złocistego ładunku. Ostry zapach amoniaku. Dobry zapach cedru. Słońce było tuż pod linią horyzontu i światło dochodziło do nas od spodu świata.

Była tam tarcica do załadowania na furgonetkę. Skrzynki budyniu kajmakowego. Skrzynki papieru maszynowego, papieru toaletowego, baterii dwudziestowoltowych, pasty do zębów, puszek z brzoskwiniami, książek. Dookoła przewróconych lawet z samochodami pełno było kryształków z potłuczonych szyb i fabrycznie nowe, porozbijane samochody leżały czystymi, czarnymi kołami do góry.

Brandy unosi górę sukni i zerka do środka na plaster estradermu na piersi. Odrywa izolację z drugiego plastra i przykleja go na drugą pierś, potem bierze kolejny bolesny wdech i krzywi się z bólu.

- Całe to zamieszanie uspokoiło się po jakichś trzech miesiącach, całe śledztwo w sprawie molestowania dziecka - mówi Brandy. - Potem po którymś treningu koszykówki wychodzę z sali i podchodzi do mnie jakiś mężczyzna. Mówi, że jest z policji i to jest poufny wywiad uzupełniający.

Brandy robi wdech, krzywi się. Ponownie odsuwa suknię, wyjmując spomiędzy piersi dużą tabletkę methadonu, odgryza połowę i resztę wrzuca z powrotem do środka.

W przymierzalni jest gorąco i ciasno z nami dwiema i tym wielkim dziełem inżynierii lądowej w formie sukni.

- Darvon - mówi Brandy. - Szybko, proszę. - I pstryka palcami.

Wygrzebuję następną czerwonoróżową kapsułkę i Brandy łyka

ją bez popijania.

- Ten facet - mówi Brandy - zaprasza mnie do swojego samochodu, żeby porozmawiać, tylko porozmawiać i pyta, czy jest coś, co chciałabym powiedzieć, a o czym bałam się mówić osobom z wydziału do spraw dzieci.

Suknia się rozpada, jedwab rozłazi się we wszystkich szwach, tiul pęka.

- Mówię temu facetowi, temu detektywowi, że nie, a on mówi:

„To dobrze”. Mówi, że lubi dzieci, które potrafią dotrzymać tajemnicy.

Z tego wykolejonego pociągu można było brać ołówki, po dwa tysiące w paczce. Żarówki nieuszkodzone i nie grzechoczące.

Surowe klucze po sto sztuk.

Furgonetka ma ograniczone możliwości, a poza tym nadjeżdżają inni i ludzie szuflami sypią ziarno na tylne siedzenia swoich samochodów, a inni przyglądają się nam, bo mamy zbyt duże stosy dobra, nie mogąc się zdecydować, co nam się bardziej przyda, dziesięć tysięcy sznurowadeł czy tysiąc słoików soli selerowej. Pięciuset sztuk pasków klinowych jednego rozmiaru nie potrzebowaliśmy, ale mogliśmy je odsprzedać, podobnie jak baterie aa. Skrzynki tłuszczu piekarskiego nie mogliśmy zużyć, zanim zjełczeje, tak samo jak trzystu pojemników lakieru do włosów.

- Ten gość z policji - mówi Brandy i wszystkie druty wystają z jej obcisłego żółtego jedwabiu - kładzie na mnie rękę, wsuwa ją w nogawkę moich szortów i mówi, że nie musimy wznowiać śledztwa.

Nie musimy sprawiać mojej rodzinie żadnych dalszych kłopotów - mówi Brandy. - Ten policjant mówi, że policja chce aresztować mojego ojca jako podejrzanego. On może ich powstrzymać. Mówi, że wszystko zależy ode mnie.

Brandy robi wdech i suknia się rozpada. Brandy oddycha i każdy oddech obnażają w nowym miejscu.

- Co ja wiedziałam? - mówi. - Miałam piętnaście lat. Nic nie wiedziałam.

W stu dziurach prześwieca jej nagie ciało.

Przy wykolejonym pociągu ojciec powiedział, że zaraz może zjawić się straż.

Ja zrozumiałam, że będziemy bogaci i że będziemy bezpieczni, ale jemu chodziło o to, że musimy się śpieszyć, bo nas złapią i wszystko stracimy.

Oczywiście, że to pamiętam.

- Ten gość z policji - mówi Brandy - był młody, miał dwadzieścia jeden lat, może dwadzieścia dwa. Nie był to jakiś obleśny staruch. To nie było okropne - mówi - ale to nie była miłość.

Suknia drze się coraz bardziej i szkielet rozpada się w różnych miejscach.

- Głównie - mówi Brandy - przez dłuższy czas byłam dezorientowana.

Tak wyglądało moje dzieciństwo, same wykolejone pociągi. Naszym jedynym deserem między szóstym a dziewiątym rokiem mojego życia był budyń kajmakowy. Dlatego nienawidzę kajmaku.

Nawet koloru. Zwłaszcza koloru. I smaku. I zapachu.

Jak w wieku lat osiemnastu poznałam Manusa? W drzwiach domu rodziców stanął diabelnie przystojny facet i spytał, czy brat dał jakiś znak życia, odkąd uciekł z domu?

Ten facet był trochę starszy, ale nie za bardzo. Góra dwadzieścia pięć lat. Dał mi wizytówkę z tekstem: „Manus Kelley. Niezależny kontraktowy agent policji obyczajowej”. Jediną rzeczą, jaką prócz tego odnotowałam, był fakt, że nie miał obrączki.

- Wiesz, jesteś bardzo podobna do swojego brata - powiedział. Miał olśniewający uśmiech. - Jak masz na imię? - spytał.

- Zanim wrócimy do samochodu - mówi Brandy - muszę ci coś powiedzieć o twoim przyjacielu.

Obecnie Mr White Westinghouse. Poprzednio Mr Chase Manhattan, poprzednio Nash Rambler, poprzednio Denver Omelet, poprzednio niezależny kontraktowy agent policji obyczajowej Manus Kelley. Odrabiam pracę domową: Manus ma trzydzieści lat. Brandy ma dwadzieścia cztery. Kiedy Brandy miała szesnaście, ja miałam piętnaście. Kiedy Brandy miała szesnaście, może Manus już był częścią naszego życia.

Nie chcę tego słuchać.

I po przepięknej, starej, bezbłędnej kreacji. Jedwab i tiul zsunęły się, opadły na podłogę przymierzalni, druty i fiszbiny połamały się i poodskakiwały, zostawiwszy tylko czerwone, już zanikające ślady na skórze Brandy, a Brandy stoi blisko w samej bieliźnie, o wiele za blisko.

- Zabawne, ale to nie jest pierwszy raz, kiedy zniszczyłam czyjąś piękną sukienkę - mówi Brandy i mruga do mnie wielkim ciemnofioletowym okiem. Czuję ciepło jej oddechu i skóry, jest tak blisko mnie.

- Tej nocy, kiedy uciekłam z domu - mówi Brandy - spaliłam wszystkie ubrania, które moja rodzina wywiesiła na dworze.

Brandy wie, kim jestem, albo nie wie. Otwiera przede mną serce albo się ze mną drażni. Jeżeli wie, mogła skłamać o Manusie. Jeżeli nie wie, to mężczyzna, którego kocham, jest zboczoną, przerażającą seksualną hieną.

Albo Manus, albo Brandy, któreś z nich paskudnie mnie okłamuje, mnie, wzór cnót i prawdomówności w tym towarzystwie.

Manus albo Brandy, nie wiem, kogo nienawidzić.

Ja i Manus albo ja i Brandy. To nie było straszne, ale to nie była miłość.

Rozdział dwudziesty szósty

Musi być jakiś lepszy sposób, żeby zabić Brandy. Żebym mogła się uwolnić. Jakieś szybkie i ostateczne zakończenie. Jakiś rodzaj krzyżowego ognia, od którego mogłabym się oddalić.

Evie teraz mnie nienawidzi. Brandy wygląda jak ja kiedyś. Manus jest wciąż tak zakochany w Brandy, że poszedłby za nią na koniec świata, nawet jeżeli nie bardzo wie dlaczego. Musiałabym tylko postawić Brandy na wprost lufy strzelby Evie.

Łazienkowe rozmowy.

Żakiet od kostiumu Brandy z jego niezwykle wąską talią i stylowymi rękawami trzy czwarte nadal leży złożony na akwamarynowym blacie przy wielkiej umywalce w kształcie muszli.

Podnoszę żakiet i z kieszeni wypada moja pamiątka z przyszłości. Pocztówka z czystym, wybielonym słońcem niebem w dniu otwarcia Kosmicznej Iglicy w roku 1962. Wystarczy wyjrzeć przez okrągłe okno łazienki, żeby zobaczyć, co zostało z przyszłości. Zalana przez barbarzyńców w sandałach, moczących w domu soczewicę, przyszłość, której pragnęłam, przepadła.

Przyszłość, jaką mi obiecywano. Wszystko, czego oczekiwałam.

Tak jak wszystko miało wyglądać. Szczęście i pokój, i miłość, i wygoda.

„Kiedy przyszłość przestała być obietnicą i stała się zagrożeniem?”, napisał kiedyś Ellis na odwrocie pocztówki.

Wsuwam pocztówkę między broszury o waginoplastyce a foldery na temat labioplastyki wetknięte do książki Miss Rony. Na okładce widnieje huragan Blondynka przy zachodnim wybrzeżu jej twarzy. Blond burza jest upstrzona perłami, wśród których tu i ówdzie błyska coś jakby brylanty.

Wygląda na bardzo szczęśliwą. Wkładam książkę z powrotem do wewnętrznej kieszeni żakietu Brandy. Zbieram kosmetyki i prochy rozsypane na blatach i chowam je. Słońce wpada przez okrągłe okna pod bardzo już niskim kątem i wkrótce będą zamykać pocztę. Wciąż mam nieodebrane pieniądze z ubezpieczenia Evie. Co najmniej pół miliona dolarów, jak sędzę. Nie mam pojęcia, co można zrobić z

takimi pieniędzmi, ale jestem pewna, że coś wymyślę.

Brandy wpadła w stan wymagający natychmiastowej pomocy fryzjerskiej, więc nią potrząsam.

Ciemnofioletowe oczy Brandy otwierają się, zamykają, otwierają i pozostają zmrużone.

Jej fryzura przyklepała się z tyłu całkowicie.

Brandy unosi się na łokciu.

- Wiesz - mówi - jestem na haju, więc mogę ci to powiedzieć.

- Patrzy na mnie, jak pochylam się i podaję jej rękę, żeby wstała.

- Muszę ci powiedzieć - mówi Brandy - że cię kocham. Nie wiem, co ty na to, ale chciałabym, żebyśmy byli rodziną.

Mój brat chce się ze mną żenić.

Podaję Brandy rękę. Brandy opiera się o mnie, opiera się o blat.

- To nie byłoby nic siostrzanego - mówi. - Pozostało mi jeszcze trochę czasu z treningu przygotowawczego do prawdziwego życia.

Kradzież prochów, sprzedawanie prochów, kupowanie ciuchów, wypożyczanie luksusowych samochodów, zwracanie ciuchów, zamawianie drinków, to nie jest coś, co nazwałabym prawdziwym życiem, nawet w przybliżeniu.

Upierścienione dłonie Brandy otwierają się i rozpościerają materiał spódnicy.

- Wciąż jeszcze mam oryginalne wyposażenie - mówi.

Wielkie dłonie wciąż poklepują i głaszczą jej krocze, kiedy Brandy odwraca się bokiem do lustra i patrzy na swój profil.

- Miałam się go pozbyć po roku, ale wtedy spotkałam ciebie -

mówi. - Od tygodni siedziałam na walizkach w hotelu Congress, z nadzieją, że zjawisz się, żeby mnie uratować. - Brandy odwraca się drugim bokiem do lustra. - Tak bardzo cię kochałam, pomyślałam, że może jeszcze nie jest za późno?

Brandy przeciąga błyszczącym po górnej, potem po dolnej wardze, odciska wargi na bibułce i wrzuca wielki, grafitowy pocałunek do toalety w kształcie muszli ślimaka.

- Czy wiesz, jak spuścić w tym wodę? - pyta nowymi wargami.

Przesiedziałam parę godzin na tym sedesie i nie, nie mam pojęcia, jak się tu spuszcza wodę. Wychodzę na korytarz, więc jeżeli Brandy chce do mnie gadać, będzie musiała wyjść za mną.

Brandy staje chwiejnie w drzwiach do łazienki, gdzie kafelki spotykają się z wykładziną korytarza. W jednym pantoflu złamała sobie obcas. Poleciało jej oczko w pończosze tam, gdzie oparła się o framugę. Złapała się wieszaka na ręczniki, żeby chwycić równowagę, i zdrapała sobie lakier na paznokciu.

- Ja pierdołę - mówi olśniewająca analna królowa doskonałości.

- To nie jest tak, że ja naprawdę chcę być kobietą - krzyczy za mną księżna wśród księżnych. - Zaczekaj! - krzyczy. - Robię to tylko dlatego - krzyczy Brandy - że to największy błąd, jaki potrafię wymyślić. Jest to coś głupiego i destrukcyjnego, i każdy kogo spytasz, powie ci, że popełniam błąd. To dlatego muszę to zrobić.

- Nie rozumiesz? - pyta Brandy. - Jesteśmy uczeni, żeby iść przez życie słuszną drogą. Żeby nie popełniać błędów. Ja myślę - mówi Brandy - że im błąd wydaje się większy, tym większa szansa, że

uda mi się wyrwać i zacząć prawdziwe życie.

Jak Krzysztof Kolumb płynący ku katastrofie na skraj świata.

Jak Fleming i jego pleśń.

- Prawdziwe odkrycia rodzą się z chaosu - krzyczy Brandy - z wyprawy do miejsca, które sprawia wrażenie złego, głupiego i niepotrzebnego!

Jej władczy głos rozlega się w całym domu.

- Nie odchodź ode mnie, kiedy znajduję chwilę, żeby powiedzieć coś o sobie! - krzyczy.

Jej przykładem jest kobieta, która wspina się na górę, nie ma racjonalnego powodu, żeby wspinać się z takim wysiłkiem, i dla niektórych ludzi jest to głupota, kuszenie losu, błąd. Alpinistka cierpi może głód i chłód, jest przez wiele dni wyczerpana i obolała, ale wspina się aż na sam szczyt. I może to ją zmienia, ale na dowód tego ma tylko swoje własne słowa.

- Ale ja - mówi Brandy, wciąż w drzwiach łazienki, wciąż zapatrzona w swój zadrapany paznokieć - ja robię ten sam błąd, tylko o wiele gorszy, ból, pieniądze, czas, porzucenie przez dawnych przyjaciół i w końcu całe moje ciało jest moją opowieścią.

Operacja zmiany płci to dla niektórych osób cud, ale jeżeli się jej nie chce, stanowi ostateczną formę samookaleczenia.

- Nie, żeby bycie kobietą było czymś złym - mówi. - To mogłoby być cudowne, gdybym chciała być kobietą. Chodzi o to - mówi Brandy - że jest to ostatnia rzecz, której pragnę. To tylko największy błąd, jaki potrafiłam wymyślić.

I dlatego jest to droga do największego odkrycia.

Dlatego, że jesteśmy tak uwięzieni w naszej kulturze, w byciu ludźmi na tej planecie z takimi mózgami, jakie mamy, z dwiema rękami i nogami tak jak wszyscy inni. Jesteśmy tak uwięzieni, że każda próba ucieczki, jaką jesteśmy w stanie wymyślić, staje się kolejną częścią pułapki. Wszystko, czego możemy zapragnąć, wynika z odebranej tresury.

- Moim pierwszym pomysłem było amputowanie sobie jednej ręki i jednej nogi, lewych albo prawych - patrzy na mnie i wzrusza ramionami - ale żaden chirurg nie chciał mi w tym pomóc.

- Rozważałam aids jako doświadczenie - mówi - ale wtedy wszyscy mieli aids i to było takie głównonurtowe i pospolite. Jestem prawie pewna - mówi - że to właśnie siostry Rhea powiedziały mojej rodzinie. Te suki potrafią być strasznie zaborcze.

Brandy wyciąga z torebki parę białych rękawiczek, takich z białym perłowym guziczkiem na wewnętrznej stronie przegubu. Naciąga obie rękawiczki na dłonie i zapina guziczki. Ten biały kolor nie jest dobrym pomysłem. W białym jej dłonie wyglądają jak przeszczepione od gigantycznej Myszki Miki.

- Potem pomyślałam o zmianie płci - mówi - drogą operacyjną. Te siostry Rhea - mówi - myślą, że to one mnie wykorzystują, ale naprawdę to ja je wykorzystuję dla ich pieniędzy, ale pozwalałam im myśleć, że to one mnie kontrolują i że to wszystko był ich pomysł.

Brandy podnosi stopę, żeby spojrzeć na złamany obcas i wzdycha. Potem schyla się i zdejmuje drugi pantofel.

- Nic nie wynikało z nalegań sióstr Rhea. Nic a nic. Po prostu był to największy błąd, jaki przyszedł mi do głowy. Największe wyzwanie, jakie mogłam przed sobą postawić.

Brandy odrywa obcas od dobrego buta i staje w dwóch brzydkich pantoflach bez obcasów.

- Trzeba wskakiwać w środek katastrofy obiema nogami - mówi i wrzuca obcasy do kosza na śmieci.

- Nie jestem hetero i nie jestem homo - mówi. - Nie jestem bi. Chcę wyjść poza etykiety. Nie chcę całego swojego życia wciskać w jedno słowo. W jedną opowieść. Chcę znaleźć coś innego, jakieś miejsce, którego nie ma na mapie. Chcę prawdziwej przygody.

Sfinks. Tajemnica. Pustka. Nieznana. Nieokreślona. Nierozpoznawalna. Nieuchwytna. Tymi słowami Brandy nazywała mnie w moich woalach. Nie jakaś zwykła opowieść, która się toczy, a potem, a potem, a potem, a potem, aż do śmierci.

- Kiedy cię spotkałam - mówi - zazdrościłam ci. Chciałam mieć twoją twarz. Pomyślałam, że taka twarz wymaga więcej odwagi niż jakaś operacja zmiany płci. Że doprowadzi cię do większych odkryć. Że uczyni cię silniejszą, niż ja mogłabym być kiedykolwiek.

Zaczynam schodzić po schodach. Brandy w swoich nowych pantoflach na płaskim obcasie, ja totalnie zdezorientowana, schodzimy do hallu, gdzie zza drzwi gabinetu słychać głęboki głos Mr Parkera, powtarzający w kółko: „Tak dobrze. Rób tak”.

Brandy i ja stoimy chwilę pod drzwiami. Czyścimy się nawzajem z paprochów i poprawiam Brandy przyklepaną z tyłu

fryzurę. Brandy podciąga rajstopy i obciąga żakiet.

Książka z pocztówką schowana w kieszeni, fiut schowany w rajstopach, nie widać ani tego, ani tego.

Otwieramy podwójne drzwi gabinetu i widzimy Mr Parkera i Ellisa. Mr Parker ma zsunięte spodnie, jego goły owłosiony zadek sterczy do góry. Pozostała część jego nagości jest wetknięta w twarz Ellisa. Ellisa Islanda, poprzednio niezależnego kontraktowego agenta policji obyczajowej Manusa Kelleya.

- O, tak. Rób tak. Bardzo dobrze.

Ellis wykonuje swoją pracę celująco, rękami podtrzymuje gołe pośladki futbolowego stypendysty, wsysając tyle, ile się zmieści w jego twarzy młodzieńca z kwadratową szczęką wprost z nazistowskiego plakatu. Ellis dławi się i stęka, przerywając swój wymuszony stan spoczynku.

Rozdział dwudziesty siódmy

Ten człowiek w okienku poste restante, który zażądał mojego dowodu tożsamości, i tak musiał wierzyć mi na słowo. Fotografia w moim prawie jazdy równie dobrze mogła być fotografią Brandy. Trzeba dużo pisania na skrawkach papieru, żeby wyjaśnić, jak ja teraz wyglądam. Przez cały czas mojego pobytu na poczcie rozglądam się dokoła, żeby sprawdzić, czy nie jestem dziewczyną z okładki na plakacie fbi pod tytułem „poszukiwana”.

Prawie pół miliona dolarów to około dwudziestu pięciu funtów dziesięcio - i dwudziestodolarowych banknotów w kartonie.

Plus w środku z pieniędzmi liścik na różowym papierze od Evie, bla, bla, bla, zabiję cię, jak cię jeszcze kiedyś w życiu zobaczę.

I o to chodzi.

Zanim Brandy zdąży zobaczyć, kto jest adresatem, zdrapuję kartkę z nazwiskiem.

Jako modelka miałam zastrzeżony numer telefonu i Brandy nie mogła mnie znaleźć w żadnym mieście. Nigdzie mnie nie było. A teraz jedziemy z powrotem do Evie. Do przeznaczenia Brandy. Przez całą drogę powrotną ja i Ellis piszemy pocztówki z przyszłości i wypuszczamy je przez okno samochodu, jadąc międzystanową numer pięć z prędkością półtorej mili na minutę. Co dwie minuty jesteśmy o trzy mile bliżej Evie i jej strzelby.

Z każdą godziną o dziewięćdziesiąt mil bliżej do przeznaczenia.

Ellis pisze: „Nasze narodziny są błędem, który przez całe życie usiłujemy naprawiać”.

Elektryczna szyba lincolna z szumem uchyla się na pół cala i Ellis wpuszcza kartkę w strumień powietrza.

Ja piszę: „Spędzasz całe życie, stając się Bogiem, a potem umierasz”.

Ellis pisze: „Kiedy nie dzielisz się swoimi kłopotami, nie lubisz słuchać o kłopotach innych”.

Ja piszę: „Bóg nas przez cały czas obserwuje i zabija nas, kiedy stajemy się nudni. Nigdy, przenigdy, nie powinniśmy być nudni”.

Przeskok na nas, jak studiujemy w gazecie dział nieruchomości w poszukiwaniu bogatych domów na sprzedaż. Robimy to zawsze w

każdym nowym mieście. Siedzimy w sympatycznym ogródku kawiarni, popijamy cappuccino z wiórkami czekolady i przeglądamy gazetę, a Brandy dzwoni do biur sprzedaży, żeby sprawdzić, które z tych domów są jeszcze zamieszkane. Ellis sporządza listę domów na jutro.

Meldujemy się w dobrym hotelu i pozwalamy sobie na drzemkę. Po północy Brandy budzi mnie pocałunkiem. Ona i Ellis wychodzą sprzedać towar, który zdobyliśmy w Seattle. Możliwe, że się pieprzą. Nic mnie to nie obchodzi.

- O, nie - mówi Brandy. - Miss Alexander nie będzie dzwonić do sióstr Rhea, kiedy jest w mieście. Co więcej, postanowiła, że jedyna wagina, jaką warto mieć, to ta, którą się kupuje samemu.

Ellis stoi w otwartych drzwiach na korytarz i wygląda jak superman, z którym chciałabym pójść do łóżka i żeby uratował mi życie. Jednak od czasu Seattle jest moim bratem, a nie można kochać się w bracie.

- Dać ci pilota? - pyta Brandy.

Brandy włącza telewizję i na ekranie jest Evie, przestraszona i zdesperowana, ze swoją wielką, nadmuchaną, tęczową fryzurą we wszystkich odcieniach blond. Evelyn Cottrell, Inc., przez wszystkich z lubością odpisywana na straty, błąka się w swojej obszytej cekinami sukni po widowni studia i wmusza w ludzi mięsopodobne produkty.

Brandy zmienia kanał.

Brandy zmienia kanał.

Brandy zmienia kanał.

Po północy Evie jest wszędzie, częstując tym, co ma na srebrnej tacy. Widzowie w studio nie zwracają na nią uwagi, bo oglądają siebie w monitorze, schwytni w pętlę rzeczywistości oglądania siebie oglądających siebie i usiłują, tak jak to robimy za każdym razem, kiedy spoglądamy w lustro, ustalić, kto to tam właściwie jest.

Ta pętla, która nigdy się nie kończy. Evie i ja robiłyśmy tę inforeklamę. Jak ja mogłam być taka głupia? Jesteśmy tak totalnie uwięzieni w sobie.

Kamera pozostaje przy Evie i prawie słyszę, jak ona powtarza: Kochaj mnie.

Kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, kochaj mnie, a będę, kimkolwiek tylko zechcesz. Wykorzystaj mnie. Zmień mnie. Mogę być szczupłą z wielkim biustem i wielką burzą włosów. Rozbierz mnie na części. Zrób ze mnie, co chcesz, tylko mnie kochaj.

Przeskok do pewnego razu, kiedy Evie i ja robiłyśmy te sesje w składnicy złomu, w rzeźni, w kostnicy. Zawieźliby nas wszędzie, żebyśmy wyglądały dobrze przez porównanie, i teraz widzę, że najbardziej nienawidzę w Evie tego, że jest taka próżna, głupia i pusta. Ale jeszcze bardziej nienawidzę jej za to, że jest tak podobna do mnie. Tak naprawdę nienawidzę siebie i dlatego nienawidzę właściwie wszystkich.

Przeskok do następnego dnia, w którym obrabiamy parę domów, okazała rezydencję, dwa pałace i zameczek pełne prochów. Około trzeciej spotykamy się z pośredniczką w olśniewającej sali jadalnej w

rezydencji na West Hills. Wszędzie wokół nas krzątają się pracownicy cateringu i kwiaciarze. Rozstawiony stół jadalny ugina się pod srebrami i kryształami, serwisami do herbaty, samowarami, świecznikami, kieliszkami. Kobieta, ubrana jak strach na wróble w niemodne tweedy, odwija te srebrne i kryształowe prezenty i zapisuje coś w malutkim czerwonym notatniku.

Wokół nas wzbiera fala coraz to nowych kwiatów, bukietów irysów, róż i lewkonii. Całą rezydencję wypełnia słodka woń kwiatów, ostry zapach ptifurek i faszerowanych pieczarek.

To nie nasz styl. Wymieniamy z Brandy spojrzenia. O wiele za dużo tu ludzi.

Ale pośredniczka już do nas podchodzi z uśmiechem. Z akcentem płaskim i rozciągniętym jak teksański horyzont kobieta przedstawia się jako pani Leonardowa Cottrell. I wyraża radość z poznania nas.

Ta pani Cottrell chwyta Brandy pod łokieć i oprowadza ją po pałacowym parterze, a ja zastanawiam się, czy zostać, czy uciekać.

Pokaż mi przerażenie.

Błysk.

Pokaż mi panikę.

Błysk.

To musi być matka Evie, wiesz, że to ona. A to musi być nowy dom Evie. Zastanawiam się, jak to się stało, że tu trafiliśmy. Dlaczego akurat dzisiaj? Jakim cudem?

Cottrell od nieruchomości prowadzi nas obok tej swojej

tweedowej sekretarki i wszystkich prezentów ślubnych.

- To jest dom mojej córki, ale ona i tak spędza całe dnie w dziale meblowym Brumbacha w śródmieściu. Dotychczas ulegaliśmy jej małym obsesjom, ale miarka się przebrała i teraz wydajemy ją za męża za jakiegoś osła.

Pochyla się bliżej.

- To było znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażacie, zmuszenie jej, żeby się ustatkowała. Wiecie, że spaliła poprzedni dom, który jej kupiliśmy?

Obok osobistej sekretarki leży na stole stos drukowanych złotymi literami zaproszeń na ślub. To są odmowy. Żałujemy, ale nie możemy przybyć.

Wygląda na to, że sporo tych odmów. Ale zaproszenia są ładne, złote litery, czerpany papier, złożona na trzy karta z zasuszonym fiołkiem w środku. Kradnę jedną z odmów, po czym doganiam panią Cottrell z Brandy i Ellisem.

- Nie - mówi Brandy. - Za dużo tutaj ludzi. Nie możemy oglądać domu w tych warunkach.

- Tak między nami - mówi pani Cottrell - nawet najdroższy ślub świata byłby wart swoich pieniędzy, jeżeli uda nam się wepchnąć Evie w ramiona jakiegoś nieszczęśnika.

- Nie chcemy pani zatrzymywać - mówi Brandy.

- Choć z drugiej strony - mówi pani Cottrell - istnieje kategoria „mężczyzn”, którzy lubią takie „kobiety”, jak Evie jest teraz.

- Naprawdę musimy już iść - mówi Brandy.

- Mężczyzn, którzy lubią szalone kobiety? - pyta Ellis.

- To był dla nas wielki wstrząs, kiedy Evan przyszedł z tym do nas. Ma szesnaście lat i mówi: „Mamusi, tatusiu, chcę być dziewczynką” - mówi pani Cottrell.

- Ale zafundowaliśmy mu to - mówi. - Odpis od podatku to zawsze odpis od podatku. Evan powiedział nam, że chce być światowej sławy modelką. Zaczął nazywać siebie Evie, a ja następnego dnia wymówiłam prenumeratę „Vogue”. Uznałam, że narobiło już dość szkody w mojej rodzinie.

- No to gratulacje - mówi Brandy i ciągnie mnie w stronę wyjścia.

- Evie była mężczyzną? - mówi Ellis.

Evie była mężczyzną. Muszę na chwilę usiąść. Evie była mężczyzną. I widziałam jej blizny po implantach. Evie była mężczyzną. I widziałam ją nago w przymierzalniach.

Pokaż mi całkowicie nowe spojrzenie na moje dorosłe życie.

Błysk.

Pokaż mi cokolwiek w tym całym popierdolonym świecie, co jest tym, na co wygląda!

Błysk.

Matka Evie przygląda się uważnie Brandy.

- Czy próbowała pani kiedyś być modelką? - pyta. - Jest pani niezwykle podobna do przyjaciółki mojego syna.

- Chyba córki - warczy Brandy.

A ja przeglądam ukradzione zaproszenie. Ślub, połączenie Miss

Evelyn Cottrell z Mr Allenem Skinnerem, odbędzie się jutro. O jedenastej antę meridiem, jak informują złote litery. Po czym odbędzie się przyjęcie w domu panny młodej.

Po czym wybuchnie pożar.

Po czym nastąpi morderstwo.

Obowiązują stroje wieczorowe.

Rozdział dwudziesty ósmy

Suknia, w którą wbiłam tyłek na ślub Evie, jest ciaśniejsza niż ciasna. Można powiedzieć, że przylega do kości. Jest to tania kopia Całunu Turyńskiego w kolorze białobrazowym, tak skrojona i udrapowana, że błyszczące czerwone guziki zapinają się w miejscach ran. Ręce zakrywają mi całe jardy zmarszczonych czarnych jedwabnych rękawiczek. Szpilki mam wysokie pod sufit. Okręcam z pół mili czarnego tiulu od Brandy wysadzanego brylancikami dookoła mojej blizny, tego błyszczącego ciasta wiśniowego w miejscu, gdzie kiedyś miałam twarz, owijam go ciasno, aż widać mi tylko oczy. Rezultat jest ponury i makabryczny. Mam poczucie, że sprawy wymknęły się nieco spod kontroli.

Nienawiść do Evie wymaga teraz więcej wysiłku niż kiedyś.

Całe moje życie oddala się od jakichkolwiek powodów, żeby ją nienawidzić. Oddala się w ogóle od wszelkich powodów. Wystarczy kubek kawy i kapsułka dexedryny, żeby nie czuć nawet łagodnej niechęci do czegokolwiek.

Brandy ma na sobie przeceniony kostium od Boba Mackiego z

krótką spódniczką i wielką, nie wiem, z cienką, wąską, wszystko mi jedno. Jest w kapeluszu, bo to jednak ślub. Na nogach ma jakieś buty ze skóry jakiegoś zwierzęcia. Dodatki obejmujące biżuterię, no wiecie, kamienie wykopane z ziemi, cięte i szlifowane, żeby odbijały światło, osadzone w stopach złota i miedzi, ciężar atomowy, stopione i kute młotkami, a wszystko takie pracochlonne. Tak jak cała Brandy Alexander.

Ellis ubrany jest w coś dwurzędowego, powiedzmy garnitur, jedno rozcięcie z tyłu, czarny. Wygląda tak, jak mógłbyś sobie wyobrazić siebie w trumnie, jeżeli jesteś mężczyzną, dla mnie to nie problem, bo Ellis nie odgrywa już w moim życiu żadnej roli.

Ellis pręży się dumnie, bo udowodnił, że potrafi uwieść coś w każdej kategorii. Nie, żeby obciążenie łaski Mr Parkerowi awansowało go na króla pedałów, ale teraz ma zaliczoną Evie i może po jakimś czasie będzie mógł wrócić do służby i dostać dawne zajęcie w parku Waszyngtona.

Bierzemy więc tłoczone złotem zaproszenie na ślub, które ukradłam, Brandy i Ellis łykają po percodanie i wchodzimy na otwarcie ceremonii ślubnej.

Przeskok na jedenastą antę meridiem na West Hills w okazałej rezydencji szalonej Evie Cottrell, łatwo sięgającej po broń Evie Cottrell, nowo poślubionej Mrs Evelyn Cottrell Skinner, jakby mnie to coś teraz obchodziło. I. To jest takie oszałamiające. Evie, ona sama mogłaby być weselnym tortem z warstwami szarf i kwiatów piętrzących się wokół jej wielkiej krynoliny, wyżej i wyżej, aż do

ściśniętej talii, a wyżej jej wielki teksański biust, wypchnięty gorsetem. Jest jej tyle do dekorowania, zupełnie jak na choince w centrum handlowym. Z jednej strony w talii ma bukiet kwiatów z jedwabiu. Jedwabne kwiaty nad uszami przytrzymują woal zarzucony na pokryte lakierem włosy w różnych odcieniach blond. W tej krynolinie i z tymi wypchniętymi w górę teksańskimi grejpfrutami ta dziewczyna idzie, jakby jechała na swojej osobistej platformie w karnawałowej paradzie.

Brandy, pełna interakcji szampana i percodanu, spogląda na mnie.

A ja jestem zdumiona, jak mogłam nie zauważyć, że Evie była mężczyzną. Wielkim blondynem takim samym jak teraz, tylko z tą brzydtko pomarszczoną, no wiesz, moszną.

Ellis chowa się przed Evie i usiłuje wybadać, czyjej nowy mąż może być kolejnym łupem na drodze powrotu do jego kariery specjalnego kontraktowego agenta obyczajówki. Z jego punktu widzenia chodzi o to, czy on wciąż jest niezawodną przynętą, i zbiera dowody, że może zapuszkować po dłuższej walce każdego mężczyznę. Wszyscy tutaj myślą, że oni są głównymi bohaterami tej opowieści. To zdecydowanie dotyczy wszystkich na świecie.

A wszystko razem stało się już zupełnie niewybaczalne. Przykro mi, mamusiu. Przykro mi, Boże. Teraz już nie żałuję niczego. Ani nikogo.

Nie, naprawdę, wszyscy tutaj nie mogą się doczekać, kiedy zostaną skremowani.

Przeskok na pierwsze piętro. W głównej sypialni wiano panny młodej leży gotowe do spakowania. Tym razem przyniosłam własne zapalki i zapalam nimi oderwany kawałek złoconego zaproszenia. Przytykam to zaproszenie do kapy na łóżku, do wiana, do zasłon. To najśłodsza chwila, kiedy ogień przejmuje kontrolę i za nic już nie ponosisz odpowiedzialności.

Biorę wielką butlę Chanel N° 5 z łazienki Evie, wielką butlę Joy i wielką butlę White Shoulders i polewam całą sypialnię zapachem miliona kwiatów z karnawałowej parady.

Ogień, ślubne piekło Evie idzie śladem kwietnego alkoholu i wygania mnie na korytarz. To właśnie mi się w ogniu podoba, że może mnie zabić równie szybko jak każdą inną osobę. Jak nie może wiedzieć, że jestem jego matką. Jest taki piękny i potężny, i bez względów dla kogokolwiek, to właśnie mi się w nim podoba.

Tego nie można powstrzymać. Tego nie można opanować.

Z każdą sekundą w strojach Evie jest coraz więcej i więcej ognia i teraz akcja posuwa się bez żadnego udziału z mojej strony.

Schodzę po schodach. Krokpauzakrok. Niewidzialna gwiazda estrady. Choć raz wszystko idzie po mojej myśli. Nawet lepiej niż się spodziewałam. Nikt nic nie zauważył.

Nasz świat pędzi prosto przed siebie w przyszłość. Kwiaty i faszzerowane pieczarki, goście weselni i kwartet smyczkowy, wszyscy pędzimy razem na planetę Brandy Alexander. Księżna wśród księżnych jest w hallu frontowym i nadal jej się wydaje, że ona tu rządzi.

Mam uczucie pełnej i całkowitej władzy. Przeskok do dnia, kiedy wszyscy umrzemy i wszystko to nie będzie miało znaczenia. Przeskok do dnia, kiedy na tym miejscu będzie stał inny dom i mieszkający w nim ludzie nie będą wiedzieć, że my kiedyś istnieliśmy.

- Gdzie byłaś? - pyta Brandy.

W najbliższej przyszłości, mogłabym jej odpowiedzieć.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Przeskok na Brandy i na mnie, jak nie możemy nigdzie znaleźć Ellisa. Evie i cała banda Cottrellów z Teksasu nie mogą też znaleźć pana młodego i wszyscy śmieją się nerwowo. Wszyscy chcą wiedzieć, która to druhna z nim się wymknęła. Ha, ha.

Ciągnę Brandy do drzwi, ale ona mnie uspokaja. Zniknięcie Ellisa i pana młodego... setka pijanych teksańczyków... ta idiotyczna panna młoda przebrana w wielką ślubną suknię... Brandy za nic nie chce tego przegapić.

Przeskok na Evie, wyjeżdżającą na swojej platformie paradnej z pokoju gospodarczego, ręce ma zaciśnięte w pięści, woal i włosy powiewają za nią luźno. Evie krzyczy, że zastała w pokoju gospodarczym tego pierdolonego pedała swojego nowego męża, leżącego dupą do góry i uprawiającego seks z kochaniem wszystkich.

Ach, ten Ellis.

Pamiętam wszystkie jego pornosy i wszystkie szczegóły seksu analnego, oralnego, wszystkie te rimming, fisting, felching. Próbując

seksu oralnego z samym sobą, można wylądować w szpitalu.

Urocze.

I rzecz jasna, odpowiedzią Evie na to wszystko jest zawinąć krynolinę i pobiec na górę po strzelbę, tyle że teraz większość jej sypialni zajmuje pachnąca Chanel N° 5 ściana ognia, w którą Evie musi wjechać na swojej paradnej platformie. Wszyscy dzwonią komórkami pod 911 po pomoc. Nikt nie pofatygował się do pokoju gospodarczego, żeby sprawdzić, co tam się dzieje.

Ludzie wolą nie wiedzieć, co się tam wyrabia.

Bądź tu mądry, ale wygląda na to, że teksańczycy prędzej akceptują pożar domu niż seks analny.

Pamiętam moich starych. Skato i złote deszcze. Sado i maso.

W oczekiwaniu, aż Evie spali się na śmierć, goście nalewają sobie po nowym drinku i zbierają się w hallu u stóp schodów.

Z pokoju gospodarczego dobiegają odgłosy głośnych klapsów, tych bolesnych, kiedy się popluwa na rękę.

Brandy, która nie dba o konwenanse, wybucha śmiechem.

- To będzie kupa śmiechu - mówi do mnie kątem grafitowych warg. - Wsypałam do ostatniego drinka Ellisa garść środków przeczyszczających.

Ach, ten Ellis.

W całym tym zamieszaniu Brandy mogłaby pozostać niezauważona, gdyby nie ten jej śmiech.

Bo widzisz, akurat wtedy Evie wyłoniła się ze ściany ognia na szczycie schodów. Strzelba w dłoniach, z sukni ślubnej pozostało

metalowe rusztowanie, z jedwabnych kwiatów we włosach druciki, cała blond fryzura spalona, a Evie powoli, krokpaузakrok, schodzi po schodach ze strzelbą wycelowaną w Brandy Alexander.

Wszyscy patrzą w górę na Evie, mającą na sobie tylko druty i popiół, całe jej wspaniałe transseksualne ciało z talią osy usmarowane potem i sadzą, wszyscy oglądamy Evelyn Cottrell w jej wielkiej chwili zjednoczenia.

- Ty! - krzyczy Evie.

Krzyczy wzdłuż lufy strzelby do Brandy Alexander.

- Znów mi to zrobiłaś. Drugi pożar!

Krokpaузakrok.

- Nie wystarczy ci, że jesteś najlepsza i najpiękniejsza - mówi Evie. - Większość ludzi, gdyby wyglądała tak pięknie, do końca życia chodziłaby po wodzie.

Krokpaузakrok.

- Ale nie ty - mówi Evie. - Ty musisz wszystkich zniszczyć.

Pożar z pierwszego piętra pełźnie w dół po papierowej tapecie, goście weselni łapią swoje torby i okrycia, i pośpiesznie wychodzą na dwór z prezentami ślubnymi, srebrami i kryształami.

Z pokoju gospodarczego wciąż słychać ten odgłos klapsów.

- Ciszej tam! - krzyczy Evie i zwraca się z powrotem do Brandy.

- Może ja spędzę parę lat w więzieniu, ale ty trafisz dużo wcześniej do piekła!

Słychać odgłos odwodzonego kurka.

Ogień pełza po ścianie w dół.

- O Boże, tak, Jezu Chryste! - krzyczy Ellis. - O Boże, już dochodzę!

Brandy przestaje się śmiać. Większa i piękniejsza niż kiedykolwiek, prawdziwie królewska i obrażona niesłusznym oskarżeniem, jakby wszystko to było jakimś kiepskim żartem, Brandy Alexander unosi olbrzymią dłoń i spogląda na zegarek.

Za chwilę zostanę jedynaczką.

W tej chwili mogłam jeszcze wszystko powstrzymać. Mogłam zrzucić woalkę, powiedzieć prawdę, uratować życie. Ja to ja.

Brandy jest niewinna. To moja druga szansa. Mogłam otworzyć wtedy, przed laty, okno swojego pokoju i wpuścić Shanea. Mogłam nie dzwonić tyle razy na policję z sugestiami, że to nie był wypadek. Przeszkadza mi w tym tylko to, że Shane spalił moje ubrania. I to, że po okaleczeniu stał się centrum uwagi. I jeżeli teraz zrzucę woalkę, będę tylko potworem, czymś niedoskonałym, oszpeconą ofiarą. Będę tylko taka, jak wyglądam. Tylko prawda, cała prawda i nic, tylko prawda. Uczciwość jest najnudniejszą rzeczą na tej planecie Brandy Alexander.

A Evie celuje.

- Tak! - wrzeszczy Ellis z pokoju gospodarczego. - Tak, zrób to, wielki chłopcze! Pokaż mi to! Strzelaj!

Evie mruży jedno oko.

- Teraz! - wrzeszczy Ellis. - Strzelaj mi prosto w usta!

Brandy się uśmiecha.

Ja nie robię nic.

A Evie strzela Brandy Alexander prosto w serce.

Rozdział trzydziesty

- Moje życie - mówi Brandy. Umieram i powinnam zobaczyć całe swoje życie.

Nikt tu nie umiera. To nieprawda.

Evie ulżyła sobie, rzuciła strzelbę i wyszła na dwór.

Policja i ratownicy są w drodze, a reszta gości weselnych walczy na zewnątrz o ślubne prezenty, kto co dał i co kto ma prawo zabrać z powrotem. Wszystko to składa się na wesołe zamieszanie.

- Chcę zobaczyć swoje życie - mówi Brandy Alexander cała we krwi.

- Masz prawo zachować milczenie - odzywa się Ellis z jakiegoś bocznego pokoju.

Przeskok na mnie, puszczam dłoń Brandy, moja dłoń jest ciepła i czerwona od przenoszonych przez krew patogenów, i piszę krwią na płonącej tapecie.

„Nazywasz się Shane McFarland.

Urodziłeś się dwadzieścia cztery lata temu.

Masz o rok młodszą siostrę”.

Ogień już pożera moją górną linijkę.

„Zaraziłeś się rzeźaczką od specjalnego agenta policji obyczajowej i rodzina wyrzuciła cię z domu.

Poznałeś trzy cioty, które dały ci pieniądze na rozpoczęcie zmiany płci, bo nie przyszło ci do głowy nic, na czym by ci mniej

zależało”.

Ogień pożera już moją drugą linijkę.

„Spotkałeś mnie.

Jestem twoją siostrą Shannon McFarland”.

Piszę krwią prawdę, wyprzedzając o parę chwil ogień, który ją trawi.

„Pokochałeś mnie, bo chociaż nawet mnie nie poznałeś, wiedziałeś, że jestem twoją siostrą. Na pewnym poziomie wiedziałeś od samego początku i dlatego mnie pokochałeś.

Podróżowaliśmy po całym Zachodzie i znów razem dorastaliśmy.

Nienawidziłam cię, odkąd tylko pamiętam.

I ty nie umrzesz.

Mogłam cię uratować.

I ty nie umrzesz”.

Ogień i moje pisanie idą teraz łeb w łeb.

Przeskok na wykrwawiającą się na podłodze Brandy, większość jej krwi starłam, żeby mieć czym pisać, Brandy wyteżę wzrok, żeby czytać, a ogień pożera linijkę po linijce całą naszą rodzinną historię. Zdanie „I ty nie umrzesz” jest już nad podłogą, na wysokości twarzy Brandy.

- Kochanie - mówi Brandy - Shannon, złotko moje, ja wiedziałam od samego początku. To była robota Miss Evie. To ona powiedziała mi, że jesteś w szpitalu. O twoim wypadku.

Taka ze mnie modelka od rąk. I taka kretyńska.

- A teraz - mówi Brandy - wszystko mi opowiedz.

„Przez ostatnie osiem miesięcy faszerowałam Ellisa Islanda żeńskimi hormonami”, piszę.

Brandy śmieje się krwią.

- Ja też! - mówi.

I jak tu się nie śmiać?

- A teraz - mówi Brandy - szybko, zanim umrę, co jeszcze?

„Wszyscy kochali cię jeszcze bardziej po tym wypadku z lakierem do włosów” - piszę.

I:

„I to nie przeze mnie wybuchł ten pojemnik lakieru”.

- Wiem - mówi Brandy. - Ja to zrobiłam. Byłam taka nieszczęśliwa jako przeciętne, normalne dziecko. Chciałam, żeby coś mnie uratowało. Chciałam doznać przeciwności cudu.

- Wszystko, co powiesz, może być wykorzystane w sądzie przeciwko tobie - mówi Ellis z jakiegoś innego pomieszczenia.

A ja piszę na listwie:

„Prawda jest taka, że to ja sama strzeliłam sobie w twarz”.

Nie ma już więcej miejsca, na którym można by pisać, nie ma już krwi, którą można by pisać, i nie ma już nic do powiedzenia.

- Sama sobie odstrzeliłaś twarz? - pyta Brandy.

Kiwam głową.

- Tego - mówi Brandy - nie wiedziałam.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Przeskok do pewnego czasu, w żadnym szczególnym miejscu, tylko prawie nieżywa Brandy na podłodze i ja, która klęczę nad nią z rękami zakrwawionymi weselną krwią księżnej Alexander.

- Evie! - krzyczy Brandy.

I osmalona głowa Evie pojawia się w drzwiach frontowych.

- Brandy, kochanie - mówi Evie - to była najwspanialsza ze wszystkich urządzonych przez ciebie katastrof!

Evie podbiega też do mnie i całuje mnie paskudną nadtopioną szminką.

- Shannon, nie wiem, jak ci dziękować za urozmaicenie mojego nudnego życia rodzinnego.

- Miss Evie - mówi Brandy - możesz mówić, co chcesz, dziewczyno, ale zupełnie nie udało ci się przestrzelić kuloodpornej części mojej kamizelki.

A teraz przeskok do rzeczywistości. To ja jestem głupia.

Przeskok do rzeczywistości. Postrzeliłam się sama. Pozwalałam Evie myśleć, że to Manus, a Manusowi - że to Evie. Pewnie to wzajemne podejrzenie w końcu ich rozdzieliło. Skłoniło Evie do trzymania pod ręką nabitej strzelby na wypadek, gdyby Manus przyszedł po nią. Ta sama obawa skłoniła Manusa do zjawienia się w jej domu z rzeźnickim nożem.

Prawda jest taka, że nikt tutaj nie jest tak głupi ani tak zły, jak to przedstawiam. Z wyjątkiem mnie. Prawda jest taka, że w dniu wypadku wyjechałam za miasto. Z opuszczoną do połowy szybą po stronie kierowcy wysiadłam i strzeliłam przez szkło. W drodze

powrotnej do miasta, na autostradzie, zjechałam na wylot do Growden Avenue, prowadzący do szpitala La Paloma.

Prawda jest taka, że byłam uzależniona od swojej urody, a to nie jest coś, od czego łatwo można się odwrócić. Będąc uzależniona od stałego podziwu, musiałam przejść na pełny odwyk.

Mogłam ogolić głowę, ale włosy odrastają. Nawet z ogoloną głową mogłam wyglądać zbyt ładnie. Mogłam nawet zwracać na siebie jeszcze większą uwagę. Miałam możliwość, żeby się roztyć albo rzucić się w pijaństwo w celu zrujnowania swojej urody, ale ja chciałam być brzydka i jednocześnie zachować zdrowie.

Zmarszczki i starzenie się były zbyt odległe w czasie. Musiał być jakiś sposób, żeby zbrzydnąć w jednej chwili. Musiałam rozprawić się ze swoją urodą szybko i w sposób nieodwracalny, żeby nie mieć pokusy powrotu.

Wiesz, jak to jest: patrzysz na garbate kobiety i myślisz, jak im się poszczęściło. Nikt nie wyciąga ich wieczorami z domu, nie pozwalając im dokończyć prac doktorskich. Nie wrzeszczą na nie fotografowie od mody, kiedy dostaną infekcji od wrastających włosów łonowych. Patrzysz na ofiary poparzeń i myślisz, ile czasu zaoszczędzają, bo nie oglądają się w lustrze, żeby sprawdzić, czy słońce nie wysuszyło im cery.

Potrzebowałam codziennej pewności swojej brzydoty. Żeby być jak kaleka od urodzenia, jak ułomna, oszpecona kobieta, która może prowadzić samochód z opuszczonymi szybami i nie przejmować się tym, co wiatr wyprawia z jej fryzurą, takiej wolności poszukiwałam.

Miałam dość pozostawiania niższą formą życia tylko z powodu swojego wyglądu. Żyjąc z niego. Oszukując. Nie mając na swoim koncie żadnego autentycznego osiągnięcia, ale i tak przykuwałam uwagę i zyskiwałam uznanie. Czułam się zamknięta w getcie urody. Zaetykietowana. Okradziona z motywacji.

W ten sposób, Shane, jesteśmy jak najbardziej bratem i siostrą.

To był największy błąd, który, jak sądziłam, może mnie uratować. Chciałam zrezygnować z myśli, że nad czymkolwiek panuję.

Wstrząsnąć wszystkim. Zostać uratowaną przez chaos. Przekonać się, czy dam sobie radę, chciałam zmusić się, żeby po raz drugi dorosnąć. Wysadzić w powietrze moją strefę komfortu.

Zwolniłam przed zjazdem i wjechałam na pobocze, na tak zwaną ścieżkę awaryjną. Pamiętam, że pomyślałam, jak a propos. Pamiętam, że myślałam, jakie to będzie podniecające. Moja zmiana wizerunku. Oto moje życie miało się zacząć od nowa.

Tym razem mogłam zostać słynnym neurochirurgiem. Albo malarką. Nikt nie zwracałby uwagi na mój wygląd. Ludzie widzieliby tylko moją sztukę, to, co zrobiłam, a nie to, jak wyglądam, i za to by mnie kochali.

Na końcu pomyślałam, że wreszcie będę się znowu rozwijać, zmieniać, dostosowywać, ewoluować. Będę odpowiadać na wyzwania.

Nie mogłam się doczekać. Wyjęłam rewolwer ze schowka.

Włożyłam rękawiczkę, żeby nie mieć śladów prochu, i trzyma

łam rewolwer w wyciągniętej ręce za wybitą szybą. Przy odległości dwóch stóp nie było nawet mowy o celowaniu. Mogłam się w ten sposób zabić, ale wtedy ta myśl nie wydawała się już zbyt tragiczna.

Przy tej zmianie wizerunku wszystkie kolczyki, tatuaże i przypalania wypadają strasznie blado, wszystkie te rewolucje w modzie są tak niegroźne, że wkrótce same stają się modą. Te papierowe tygryski, próby lansowania brzydoty, które w końcu tylko wzmacniają piękno.

Sam strzał to było, jakby mnie ktoś mocno uderzył, tyle pamiętam. Pocisk. Minęła minuta, zanim zdołałam skoncentrować wzrok, na miejscu pasażera była moja krew, smarki, ślina i zęby.

Musiałam otworzyć drzwi i podnieść rewolwer z miejsca, gdzie wypadł mi z ręki. Pomogło mi to, że byłam w szoku. Rewolwer i rękawiczka są w kanale burzowym przy szpitalnym parkingu, gdzie je wyrzuciłam, na wypadek, gdybyś chciał dowodu.

Potem dożylna morfina, małe jak do manikiuru nożyczki z sali operacyjnej tnące moją sukienkę, miniaturowe stringi, fotografie policyjne. Ptaki zjadły moją twarz. Nikt nigdy nie podejrzewał prawdy.

Prawdą jest, że trochę po tym wszystkim spanikowałam. Pozwoliłam ludziom myśleć nie wiadomo co. Przyszłość nie jest odpowiednim miejscem, żeby od początku zacząć kłamać i oszukiwać. Nikt tutaj nie ponosi żadnej winy oprócz mnie. Uciekłam, bo odbudowa mojej szczęki stanowiła zbyt dużą pokusę, żeby podjąć na nowo tę samą grę, grę w piękny wygląd. Teraz mam przed sobą

całą swoją nową przyszłość, która gdzieś tam na mnie czeka.

Prawda jest taka, że bycie brzydką nie jest takie ekscytujące, jakby się mogło wydawać, ale może to być okazja do czegoś lepszego, niż kiedykolwiek podejrzewałam.

Prawda jest taka, że żałuję.

Rozdział trzydziesty drugi

Przeskok do izby przyjęć szpitala La Paloma. Dożylna morfina.

Małe jak do manikiuru nożyczki z sali operacyjnej tną kostium Brandy. Nieszczęsny penis mojego brata, siny i zziębnięty, wystawiony na widok publiczny. Policyjne zdjęcia i krzyki siostry Katherine: „Róbcie te zdjęcia! Szybko róbcie te zdjęcia! On nadal traci krew!”

Przeskok na salę operacyjną. Przeskok na salę pooperacyjną.

Przeskok na mnie, jak biorę siostrę Katherine na stronę, i mała siostra Katherine ściska mnie tak mocno na wysokości kolan, że omal nie zwałam się na podłogę. Patrzy na mnie, obie jesteśmy u mazane krwią, i proszę ją na piśmie:

„proszę. spełnij moją jedną wielką prośbę, jeżeli naprawdę chcesz coś dla mnie zrobić”.

Przeskok na Evie, ustawioną jak w programie telewizyjnym pod gorącymi światłami w domu meblowym Brumbacha, która opowiada swojej matce, Manusowi i swojemu nowemu mężowi, jak poznała Brandy Alexander kilka lat wcześniej niż my wszyscy w jakiejś grupie wsparcia osób zmieniających płeć.

O tym, że każdy potrzebuje od czasu do czasu jakiejś wielkiej katastrofy.

Przeskok do jakiegoś dnia w niedalekiej przyszłości, kiedy Manusowi wyrosną piersi.

Przeskok na mnie, jak klęczę przy szpitalnym łóżku mojego brata. Skóra Shane'a, jest tak blady, że nie wiadomo, gdzie kończy się wypłowiwały niebieski szpitalny szlafrok, a gdzie zaczyna się Shane. To jest mój brat, chudy i blady, z cienkimi rękami i kogucią piersią. Przyklepane kasztanowe włosy na czole, takim go pamiętam z czasów, kiedy razem dorastaliśmy. Poskładanego z patyków i ptasich kości. To Shane, którego zapomniałam. To Shane sprzed wypadku z lakierem do włosów. Nie mam pojęcia, dlaczego zapomniałam, ale Shane zawsze wyglądał tak mizernie.

Przeskok na naszych rodziców, jak wyświetlają rodzinne filmy na ścianie swojego białego domu. Okna sprzed dwudziestu lat idealnie dopasowane do obecnych okien. Trawa równo z trawą. Duchy Shanea i mnie jako maluchów zgodnie biegających w koło.

Przeskok na siostry Rhea krzątające się wokół szpitalnego łóżka. Czepki przykrywają ich peruki. Maseczki chirurgiczne na twarzach. Na bladozielonych kitlach siostry przypinały sobie broszki ze sztucznej biżuterii a la księżna Windsoru: lamparty połyskujące brylantami i topazami. Kolibry wysadzane szmaragdami.

Co do mnie, to chcę tylko, żeby Shane był szczęśliwy. Mam dość bycia sobą, paskudną sobą.

Pokaż mi wyzwolenie.

Mam dość tego świata pozorów. Świń, które tylko wyglądają na tłuste. Rodzin, które tylko wyglądają na szczęśliwe.

Pokaż mi wybawienie.

Od tego, co tylko wygląda na wspaniałomyślność. Co tylko wygląda jak miłość.

Błysk.

Nie chcę już więcej być sobą. Chcę być szczęśliwa i chcę mieć Brandy Alexander z powrotem. To jest mój pierwszy prawdziwy ślepy zaułek w życiu. Nie mam dokąd iść, nie taka, jaka jestem teraz, nie jako osoba, którą jestem. Tutaj jest mój pierwszy prawdziwy początek.

Shane śpi, a siostry Rhea krzątają się wokół niego i ozdabiają go małymi upominkami. Spryskują go L'Air du Temps, jakby był jakąś paprotką.

Nowe kolczyki. Nowa apaszka od Hermesa na głowę.

Kosmetyki leżą w równych rzędach na tacce chirurgicznej, która krąży wokół łóżka.

- Krem nawilżający! - mówi Sofonda i wyciąga odwróconą dłoń.

- Krem nawilżający - powtarza Kitty Litter i z klapnięciem kładzie jej tubkę na dłoń.

- Korektor! - mówi, wyciągając rękę, Sofonda.

- Korektor - powtarza Vivienne i kładzie na dłoń Sofondy inną tubkę.

Shane, ja wiem, że nie możesz tego słyszeć, ale to nic nie szkodzi, bo ja nie mogę mówić.

Krótkimi, lekkimi pociągnięciami małej gąbki Sofonda rozprawdza korektor na ciemnych workach pod oczami Shane'a.

Vivienne wpina brylantową broszkę w szpitalny szlafrok Shane'a.

To Miss Rona uratowała ci życie, Shane. Książka w kieszeni zakietu osłabiła pocisk i tylko cycki ci eksplodowały. To powierzchowna rana, tylko skóra i silikon.

Wchodzą kwiaciarze z wiązkami irysów, róż i lewkonii.

Twoje silikony rozpadły się, Shane. Pocisk przedziurawił silikon i musieli ci go wyjąć. Możesz teraz mieć biust, jaki tylko zechcesz. Tak powiedziały siostry Rhea.

- Podkład! - mówi Sofonda, wcierając podkład w linię włosów Shane'a.

- Ołówek do brwi! - mówi, a na czole występują jej krople potu.

- Ołówek do brwi - powtarza Kitty i podaje jej ołówek.

- Wytrzymaj mnie! - mówi Sofonda.

I Vivienne ociera jej tamponem czoło.

- Ołówek do oczu! - mówi Sofonda. - Citissimol Muszę już iść, Shane, kiedy ty nadal sobie śpisz. Ale chcę ci coś dać. Chcę ci dać życie. To moja trzecia szansa i nie chcę jej stracić. Mogłam otworzyć ci okno swojego pokoju. Mogłam powstrzymać Evie przed strzeleniem do ciebie. Prawda jest taka, że tego nie zrobiłam, daję ci więc moje życie, bo ja go już nie chcę.

Wciskam swoją kopertówkę pod wielką, upierścienioną dłoń Shane'a. Widzisz, wielkość dłoni człowieka to jedyna rzecz, której

chirurgia plastyczna nie potrafi zmienić. To jedyna rzecz, która będzie zawsze zdradzać dziewczynę taką jak Brandy Alexander. Nie ma sposobu, żeby ukryć te dłonie.

Tutaj jest cała moja identyfikacja, moje świadectwo urodzenia, moje wszystko. Możesz być odtąd Shannon McFarland.

Moja kariera zawodowa. Dziewięćdziesiąt stopni uwagi. Jest twoje. W całości. Każdy. Mam nadzieję, że to ci wystarczy. To wszystko, co po mnie zostało.

- Podkład! - mówi Sofonda i Vivienne podaje jej najjaśniejszy z fioletowych cień do oczu.

- Kolor do powiek! - mówi Sofonda i Kitty podaje jej następny cień.

- Konturówka! - mówi Sofonda i Kitty podaje jej najciemniejszy odcień.

Przejmij moją karierę, Shane. Niech Sofonda zdobędzie dla ciebie najlepszy angaż, nie jakieś gówniane pokazy dla lokalnej dobroczynności. Jesteś teraz Shannon, kurwa, McFarland. Wal prosto na szczyt. Chcę za rok włączyć telewizor i zobaczyć, jak nago pijesz dietetyczną colę w zwolnionym tempie. Niech Sofonda załatwi ci wielkie ogólnokrajowe kontrakty.

Zostań sławny. Bądź wielkim społecznym eksperymentem w osiągnięciu tego, czego nie chcesz. Znajdź wartość w tym, co jak nas uczono, jest bezwartościowe. Znajdź dobro w tym, co jak mówi świat, jest złe. Ja daję ci swoje życie, bo chcę, żeby cały świat cię poznał. Chcę, żeby cały świat uścisnął to, czego nienawidzi.

Znajdź to, czego się najbardziej boisz, i zamieszka tam.

- Zalotka! - mówi Sofonda i podkreśla śpiące rzęsy Shane'a.

- Tusz do rzęs! - mówi i maluje rzęsy tuszem.

- Znakomicie - mówi Kitty.

- To jeszcze nie koniec - mówi Sofonda.

Shane, daję ci moje życie, moje prawo jazdy, moje stare świadectwa, bo jesteś bardziej podobny do mnie niż ja sama. Bo mam już dość nienawiści, mizdrzenia się i wmawiania sobie starych historii, które nigdy się nie zdarzyły. Mam dosyć bycia zawsze tylko sobą i sobą, i zawsze sobą.

Lustreczko, powiedz przecie.

I proszę, nie szukaj mnie. Stań się nowym ośrodkiem zainteresowania. Odnieś wielki sukces, bądź piękny, kochany, bądź wszystkim, czym ja chciałam być. Mnie to już nie interesuje. Ja chcę być niewidzialna. Może zostanę tancerką brzucha w tych swoich woalkach. Albo siostrą zakonną i będę pracować w kolonii trędowatych, gdzie każdemu coś brakuje. Albo będę bramkarzem hokejowym i będę nosić maskę. Wielkie parki rozrywki zatrudniają tylko kobiety do chodzenia w przebraniach postaci z filmów rysunkowych, bo ludzie boją się, że jakiś przebrany pedofil mógłby molestować ich dziecko. Może więc będę wielką myszą. Albo psem. Albo kaczoem. Jeszcze nie wiem, ale jestem pewna, że coś znajdę. Nie ma ucieczki przed przeznaczeniem, ono nadchodzi nieuchronnie. W dzień i w nocy, przyszłość biegnie nam naprzeciw.

Głaszczę bladą dłoń Shanea.

Oddaję ci moje życie, żeby udowodnić samej sobie, że mogę, że naprawdę mogę kogoś kochać. Nawet, kiedy mi za to nie płacą, mogę dawać miłość, szczęście i urok. Widzisz, mogę jeść odżywki dla niemowląt, nie mówić, nie mieć dachu nad głową i być niewidzialna, ale muszę wiedzieć, że mogę kogoś kochać. Kompletnie i całą sobą, na zawsze, bez nadziei i nagrody. Muszę kogoś kochać wyłącznie jako akt woli.

Pochylałam się, jakbym mogła pocałować twarz brata.

Zostawiam swoją torebkę i wszystko, czym jestem, pod dłoń Shane'a. I pozostawiam za sobą opowieść, że byłam tak piękna, że mogłam wejść do pokoju naćpana, w obcisłej sukience i wszyscy się odwracali, i patrzyli na mnie. Milion reporterów robił mi zdjęcia. Pozostawiam też za sobą myśl, że to zainteresowanie warte było ceny, jaką za nie zapłaciłam.

Potrzebna mi jest nowa opowieść.

Taka, jaką siostry Rhea wymyśliły dla Brandy Alexander.

Taka, jaką Brandy wymyśliła dla mnie.

Jaką muszę się nauczyć wymyślić dla siebie. Napisać swoją własną opowieść.

Niech mój brat będzie teraz Shannon McFarland.

Ja nie potrzebuję tego rodzaju zainteresowania. Już nie.

- Konturówka do ust! - mówi Sofonda.

- Błyszczczyk! - mówi.

- Pacjent krwawi! - mówi.

I Vivienne pochyla się z ligniną, żeby zetrzeć nadmiar grafitowej

pomadki z brody Shane'a.

Siostra Katherine przynosi mi to, o co prosiłam, błyszczące osiem na dziesięć zdjęć mnie w białym prześcieradle. Nie są ani dobre, ani złe. Są takie, jak ja wyglądam. Prawda. Moja przyszłość. Najzwyklejsza zwyczajność. I odwijam swoje woalki, wycinane hafty, muślin i koronki, i zostawiam je w nogach Shane'a, żeby je tam znalazł.

Nie są mi potrzebne w tej chwili ani w następnej, ani w jeszcze następnej, ani nigdy.

Sofonda utrwała makijaż pudrem i wtedy Shane'a zabierają. Mojego brata, chudego i bladego, patyki i ptasie kości, i mizernego już nie ma.

Siostry Rhea powoli zdejmują swoje chirurgiczne maseczki.

- Brandy Alexander - mówi Kitty - superkrólowa.

- Dziewczyna najwyższej klasy - mówi Vivienne.

- Teraz i na zawsze - mówi Sofonda - i to wszystko.

Kompletnie i całą sobą, na zawsze, bez nadziei, teraz i na zawsze kocham Brandy Alexander.

I to wszystko.

Chuck Palahniuk ur. 21 lutego 1962 r. w Pasco w stanie Waszyngton, jeden z najpopularniejszych współczesnych pisarzy amerykańskich, autor minimalistycznych powieści, pełnych gorzkiego cynizmu i czarnego humoru.

Studiował dziennikarstwo w Portland i w tym mieście

pogranicza dorastał do roli pisarza, zbierając doświadczenia i obserwacje.

W Polsce dotychczas ukazały się następujące książki:

Rozbitek

Fight Club

(filmowa wersja w reżyserii Davida Finchera przyniosła autorowi światową sławę)

Udław się

(w 2001 r. trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”, a w 2008 r. została przeniesiona na taśmę filmową)

Dziennik

Uchodźcy i wygnańcy

(autobiograficzny przewodnik po Portland)

Opętani

Spis treści